

De. II 1

TOM CCXLI

ROK 61

SERYA 8

ZESZYT 72

**BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.**

L U T Y .

1901.

TOM I. — ZESZYT 2.

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ulica Warecka № 14.

1901.

Treść zeszytu.

	Str.
II. POETA MYŚLI, — przez Adama Krasińskiego . . .	205
II. KOLONIA POLSKA W BERLINIE, — przez d-ra Kazimie- rza Rakowskiego	234
III. SPRAWA DOŁĘGI, powieść (dalszy ciąg), — przez Józefa Weyssenhoffa	273
IV. JÓZEF VERDI, — przez Władysława Bogusław- skiego	307
V. STOWARZYSZENIA ROLNICZE, — przez J. Jeziorań- skiego	336
VI. ROK JUBILEUSZOWY W RZYMIE, — przez Romanusa .	364
VII. PIŚMIENICTWO.	
Al. Kraushar: „Towarzystwo warszawskie przyjaciół nauk 1800—1832“. Monografia historyczna, oparta na źródłach ar- chiwalnych, — przez A. Rembowskię .	378
VIII. KRONIKA MIESIĘCZNA.	
Sprawa nowej biblioteki publicznej w Warszawie. — Ś. p. Ludwi- ka Godlewska (Exterus). — Oddziały ruchomo przy instytucie oftalmicznym i działalność ich w roku 1900. — Paszkwil w słowie drukowa- nem. — Kilka słów o potrzebie organizacy pośrednictwa w pracy. — Z ruchu wydawni- czego	385
IX. WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE ^{2, 3}	400



De. II. 1.

POETA MYŚLI.¹⁾

IX.

Obydwa młode umysły dostrzegły rozbratu wielkich haseł z prawdą życia i zdały sobie sprawę z przewrotu, jaki się w społeczeństwie gotował. Reeve, gdy powiedział, że stanie w szeregu wśród swoich, zrywa z marzeń najmiłszem obcowaniem i raz obranej nie opuści drogi. Sposobić się będzie do życia politycznego. Kraśniński daleko szerszy widnokrąg objął myślą. Nie żądania dnia, ale zadania dziejowe i sprawy dziejowe wiążąc z przekazanymi przez wczoraj, pokusi się wcielić teraźniejszość do dramatu przeszłości, a nawzajem przeszłość wskrzesić w prawdzie dni teraźniejszych.

Nie zadowolnił się tem, co przyjacielowi o spokoju biernym wypowiedział. Powraca do swej tezy i rozszerza ją, żądny myśl do coraz dalszych wieść krańców. Mówi Reeve'owi o zadumaniu w przeszłości, które nie jest rozmarzeniem się sennem w bezsilnej woli, ani nirwaną. Przeciwno temu uczuciu całą mocą duszy powstaje i widzi

¹⁾ Patrz zeszyt styczniowy, str. 32.

w niem przeciwieństwo męskiego hartu i chrześcijańskiej zasługi. Błogosławioną i najwyższą życia wewnętrznego mocą jest mu wspomnień obcowanie serdeczne.

W tem uczuciu przywiązania i w miłości żywej wspomnień objawiła się wielka Krasińskiego poezya. Jak myśl przejmująca wrażeń, by je w pracy natężonej poznać, zgłębić i we wszelkich związkach z innemi wyrozumieć, rośnie mu w system rozbudowany, stawa się filozofią, tak patrzącemu w siebie stwarzają żywą poezyę wspomnienia. Wspomnienia miłości i nienawiści, trudów, pożądań i zwycięstw, dziejów duszy raczej, niż obrazów ziemi. Nad tym światem panował, a były mu posłuszne, wierne i ukochane. W pamięci żyły, garnąc się, jak się garną mieszkańcy pól błogosławionych, ku sobie, i stawały się, jak cienie szczęśliwe i wybawione od trosk żywota — stawały się pięknem. Z tego piękna poezya wyrosła wielka, skoro nadzieja kazała mu wierzyć, że nie zamierają czyny święte i że w świecie ducha, jak w ciał świecie, nic bez powrotu nie ginie.

„Nadzieja snem jest rozbudzonego, jak mówi Alcoin“, — pisze Zygmunt do Reeve'a „wspomnienie zaś jest trybunem duszy, który broni ją od rozpaczny. Człowiek ze silną nadzieją może się sprzeniewierzyć sobie, nie sprzeniewierzy się człowiek z wielkimi wspomnieniami“. I wspomnienie porównuje jeszcze do róży, która kolców nie ma, a w sercu rozwija się i kwitnie. Wiersz sobie często powtarzał umiłowany:

Gdy się przeszłość w duszę wneći,
 Lśni promiennem w niej obliczem.
 W porównaniu z snem pamięci
 I nadziei sen jest niczem.

Sen nadziei, ale nie ta nadzieja, która żywot daje, gdyż razem jest i wiarą, i miłością. Ta bowiem, gdy się nią Krasiński przejął, stała się jeszcze silniejszym natchnieniem i poezyą od wspomnień. Jeżeli już teraz patrzy w przyszłość i odkrywa jej drogi, a czyni to z popędu wewnętrznego, czując swe powołanie, że odgadywać mu dano dni tajemnice, to jeszcze nie uświęcił się, by mocy tej zbożnie używać. Rośnie w nim to powołanie i poezya. Myśli mu niosą coraz szerzej, coraz więcej, coraz szybciej prawdę odkrytą w duszy i z uczuć głębi wydobywają światłości. Rodzi się Konrad, poeta my-

śli. Z fantazyjnego rojenia, jak z kwiatów zwiędłych, suche opadają liście,—poezya, która się budzi, nigdy nie będzie pieśnią wyobraźni,—strojem barw,—nigdy w niej nie objawi się jasny maj stokrociami w darni szmaragdowej, ni lato przetykane bławatami wśród złotych łąków, ni szkarłat zachodzących słońce na jesiennem niebie, ni w sinem świetle księżycy zimne płaszczyzny śniegu; ale wołaniem będzie, skargą będzie, hymnem, i będzie szczękiem walki, jękiem pobojuwiska, Bożym sądem. Sen pamięci da poezyę postaciom, da bohaterom oczy i głos, by wypowiadali swą duszę, da rozmaitość i szczerotę ich myślom—siła nadziei da poezyę czynom ich i pragnieniom, a nie dozwoli, by się zatrzymali na pożądaniach małych, ale poruszy serca do miłości, która oddal obejmuje. Z tych się mocy rodzi Krasińskiego poezya, a ma w sobie i siłę, i prawdę, jeno inaczej mierzyć ją potrzeba, niż kształtów świetlane opisy. Gdzie myśli nie potrafił tak przelać w uczucie, że się w niem, jak krew w ciełe, rozplynęła, zbyt silny ciężar pojęć nałożył słowom, tam winien wobec poezyi własnej i winien tam, gdzie przesadny, niejasny, miary nie dzierzący, lecz ma nie tylko skarb myśli, ale wspaniałą poczuciem poezyę, by się okupić. Poetą wzrastać sam będzie, gdy przyjaciela chce widzieć wyniosłym, gdy nawołuje go do czynu, własną wypowiada prawdę, pragnąc w niej, jak w zwierciadle, ujrzeć Reeve'a. Nawoływań tych coraz więcej i coraz usilniejsze, w miarę jak potężnieje w nim poczucie i powołanie poezyi.

„Powiedz mi Henryku“ — pyta — „czy masz w tej rozmarzonej i nie skupionej duszy, którą-bym tak pragnął widzieć zbudzoną i energiczną, czy masz żywą wiarę, najwyższą w samego siebie, gorącą wiarę, że jesteś poetą... że Bóg dał ci lirę, byś śpiewał wspaniałe myśli dni przeszłych i łączył w śpiew przeczucie i przepowiednie dni, które nadejść mają? Czy masz w tajnikach duszy, w ukrytem, świętem miejscu twej moralnej istoty coś, co cię pcha, co ci palce na piórze przynymka, gdy piszesz... coś, co ci powtarza, że musisz spełnić cel, zdziałać coś szlachetnego i pięknego“ (10-go listopada 1831 roku Genewa).

Gdy Reeve, opisując posiedzenie parlamentu, porwany wrażeniem przedstawił obraz Izby i pierwszego lorda ministra, jak stoi przed tronem i dłoń, i siwą brodę wznosi opromienioną blaskiem zachodzącego słońca, a powiada: proszę Boga, by światło prawdy zabłysło i oświeciło wasze myśli, szlachetni lordowie; Krasiński przeczytał list z radością i tryumfuje. „Oto poezya, poznałem cię w tem całym—ten obraz wspaniałały i tyle mi sprawił wrażenia, że widziałem i tron, i siwe włosy lorda Grey, i światło słońca—zem usłyszał ten głos uroczysty, który wołał o prawdę i sprawiedliwość na gło-

wy ludzi zaślepionych, szlachetnych lordów Anglii (16 października 1831).

Ponawia wezwanie i aż cały drga uniesieniem, by stworzyć w przyjacielu to, co w nim samym żyje i czego nie chce powiedzieć o sobie, aż w Petersburgu w nocnej głuszy oczy snem zdziwione otworzy i zawoła: anch'io sono pittore!

Teraz nie milknie w wołaniu do Reeve'a—ty bądź nim—a o sobie mówi, że mógł-by być, lecz nie będzie, niestety.

„Przeczytaj z uwagą twego Wanderera i dodaj, dodaj jeszcze do niego. Czytaj Ballanche'a, czytaj Michelet'a przedmowę do dziejów świata, potem rzymską historję. Cały świat myśli danym ci będzie, a wtedy rzuć te idee w twą formę i ty, poeto, zrób z nich Wandererowi twemu świetlany ogon, jak u komety“ (10-go listopada 1831 roku).

„Walcz, walcz“—woła—„jako twórczy duch, a nie senny, i chociażbyś miał zginąć, śmierć będzie wówczas jeszcze twojem zwycięstwem moralnem“. Zdawało-by się, że w młodym głosie Zygmunta brzmi już wezwanie z Resurrecturis:

„Bądź arcydziełem nieugiętej woli, bądź tą przegraną, której cel daleki“—wezwanie, w którem się wyraża niestrudzona praca nad sobą człowieka. Młodzieniec potępiający wszelką martwość i marność, iskrę tchnąć pragnie, zarzewie czynu w serce przyjaciela. Sam zbyt się nieszczęśliwym czuje i skępowanym, by zawierzyć wzywającym głosom, tym dźwiękom anielskim, które w sercu nosi.

A jak doskonale niemoc tę swą poznaje i tłómaczy, przeciwstawiając warunkom, w których Reeve siły swe rozwinać może. „Tyś człowiekiem cywilizacyi“—pisze—„człowiekiem rozwoju, a dodaj do tego jeszcze człowiekiem Północy. Twoja siła energią barbarzyńca i światłem i wiedzą Południa, lecz bez gnusności, bez miękkości południa. Twojem wszystko, gdy do walki się zbierzesz, w twych żyłach zapali się krew świeża, dzielna, zdrowa, krew saksońska, skandynawska, normandzka. Przed tobą i na rozkazy twoje świat cały doskonałenia się. Możesz wybierać i chwycić do woli mistyczne marzenia Wschodu, święte prawdy Chrześcijaństwa, bogactwa Europy. A ja ściśnięty, zduszony, wśród cywilizacyi mało rozwiniętej, przygnieciony cywilizacją wczoraj zaledwie powstałą, cóż zrobić mogę, jakiemiż są moje nadzieje“ (tamże).

„Zaprawdę dziwny we mnie amalgam“—mówi w innym liście. „Jestem spadkobiercą mało rozwiniętej cywilizacyi, a sam zdobyłem europejską—wszedłem w nią—dnem i nocą ją studyowałem, a wreszcie, gdym się jej chciał oddać, w chwili, gdym pragnął odrzucić całą przeszłość i upoić się przyszłością, w noc piękną księżycową zbłądzi-

lem pod ciemne portyki, które mnie zawiodły do krzyża w pośrodku starego rzymskiego cyrku — i ten krzyż mnie powstrzymał. Tedy — przyznaj to — znajdziesz we mnie kontrastów tysiące, z przeszłości feudalnej i przeszłości polskiej, dużo miłości i wiele nienawiści, wiary w Chrześcijaństwo i tu i owdzie nadziei dumnej w przyszłość. Wszystko to razem czyni mnie podobnym do barbarzyńcy z VI wieku“ (list z listopada 1831, Genewa).

Jaka w tem wyznaniu znajomość siebie i jakie zwiastowanie dzieł, będących wyrazem owych wielkich przeciwieństw, dzieł, w których i święte prawdy Chrześcijaństwa, i bogactwa Europy, i mity Wschodu stawają na mistrza rozkazy i stają się „Nieboską“ i „Irydionem.“

X.

Wstają myśli „Irydiona“ i „Nieboskiej“ społem, coraz to bardziej spełne i objawione. W liście z 1-go grudnia 1831 roku mówi o różnicy dwóch światów, dwóch cywilizacji: zachodniej i polskiej. W Polsce żyją jeszcze uczucia poetyczne — sądzi — uczucia niepodległości, wiary, honoru, gdy Europa pragnie już tylko dobrobytu. Rewolucya, która przyjdzie, społeczną będzie, nie polityczną — a odbierze własność, ziemię, bogactwa, to jest dobre łóżka, dobre kominy i dobre obiady śpiącym, obiadującym i grzejącym się dobrze, by oddać je tym, którzy nie śpią, marzną i z głodu przymierają. My ustąpimy i ustąpić musimy innym — tak przenikliwym wzrokiem patrząc przewiduje — a słowa ojca z petersburskiego listu stają się w ustach syna przepowiednią. „Świata koleje ku temu idą, by ci, co nie posiadają, posiadli, a ci, co posiadają, nie posiadali więcej“. Nie o najwyższą sprawiedliwość, ale o ról zamianę toczy się walka, a Łazarz, siedzący dziś u drzwi bogacza, jutro zepchnie go, i na pohybel mu zawoła, i sam zasiądzie, by używać. „Szlachta“ — pisze Krasieński — szczęśliwą była nasycona zwierzęcą rozkoszą, i padła pod nogami trzeciego stanu cierpiącego, pełnego boleści. Dziś stan ten trzeci na miękkich się wyleguje tapczanach, a zrzuci go stąd na ziemię lud, gdyż lud ma za sobą siłę i moc tortury“ (1 grudnia 1831 r., Genewa).

Zdawać-by się mogło, że przemówił Pankracy. Ale Krasiński nad Pankracego i nad brabiego Henryka wyrósł duszą. Przejrzał nędzę i złudę hasła, które się zuchwale głosi postęmem, i z twardą konsekwencją doprowadził dzieje postępu tego do nieuniknionej kolei nowego wybuchu nienawiści, nowych pożądań i nowych zbrodni.

„Postęp, jeżeli tem istnieje w świecie, by dobra materialne jedynie zapewnić ludziom, jest nikczemnym postęmem“. I dodaje: „jedni, ci, co posiadają, spokoju pragną, drudzy żądają walki, by posiadać, i postęp rodzi się wszędzie, gdzie walka wre, ale pogańską ma wielkość wyłącznie“. Dla tego sercem, ląknącym sprawiedliwości, wierzy w zagładę, w jakiś wielki, nowy potop, który ludzkość zbawić ma i skażone dusze odnowić. „Gniew Boży odnowi ziemię“, — woła — „kościoly upadną, aby się znowu podnieść, lecz równocześnie upadną domy gry, uciech i prostytutcyi, uciśnienia i więzienia“. W przepysznym obrazie mówi, że: „Proch szary i drobny osiadzie z ruin gmachów na polach, jak nasienie rzucone, i krew pola zaleje, a ciało użyźni rozkład, aże przyjdzie dzień, w którym świeże zboża na łanach kołysać się będą. I nie nam — przepowiada — o złotych myśleć kłosach, dzieci je nasze zbierać będą wśród zbielalych kości. Naszym udziałem walka, która nam tu w niczem nie posłuży, ale dusze nasze wzniesie i uświęci do Nieba“ (List z 25 listopada 1831 r., Genewa).

Nietylko słowa „Nieboskiej“ panują w tych zdaniach, ale są jakby zapowiedzi myśli, które autor wypowie po latach w utworach czysto filozoficznego nastroju. Czyż tak mało zrozumiana Legenda z Trzech Myśli nie jest wyrazem tej koniecznej, tej pełnej poświęcenia walki, która służy, „by duszę wnieść i uświęcić ku niebu“, a zarazem i dla zgotowania przyszłości lepszej, tych złotych kłosów, „które dzieci nasze zbierać będą“.

Ze słów tych posiewu rychłe rozrosną plony i poznawać nam dadzą bujność, żywotność i siłę, ową siłę kielkowania, jaką myśl Krasińskiego posiadała. Jakoż żywił w swej piersi myśli i nie pozwalał im ginąć. Nie były ziarnem, rozrzuconem niedbale, ani jako motyle jednodniowe. Nie były też podobne ptakom wędrownym, których śpiew milknie wśród drzew i znowu innym odzywa się tonem, ale trwałość w sobie miały i rozrost. Wiele jest niedostatków wyobraźni naszej i w pojęciach zawodów, ale się przecież umysł uświęca, gdy wiary, lub chociaż przyjaźni sobie dotrzymuje i przywiązania trochę dla swych myśli chowa. Z myślą własną, jak z ludźmi, przestawać można, a ufność w obcowaniu się rodzi szczerze i wiernie, i taką, jeżeli nie większą, filozofii zasługa i to myśli umiłowania owocem.

Jest teraz, gdy duch młodzieńca dźwiga się z pogrążeń rozpacznych, ze zniszczenia serdecznych nadziei, ogromna tego ducha

w odrodzeniu się potęga. Z każdego wrażenia, czy to swych uczuć, czy rozmów, czy przeczytanych książek wyciąga treści, wiąże, jak muzykę, w akordy, łączy z nagromadzonem bogactwem i nie traci w drobnem marnotrawstwie. W późniejszych latach spotka się z umysłem, równie wnikającym w rzeczy, z Augustem Cieszkowskim, w niezadługim czasie zbliży się do Konstantego Danielewicza, z którym wspólnie toczyć będzie filozoficzną rozmowę. Jeden, jak drugi, porównie uzupełnią, ugruntują mu wiarę w rozwój ludzkości, i harmonijnie rozwiną pojęcia, nie stworzą mu atoli nowych światów. Wiary i pojęcia Krasieńskiego były już, zaiste, żywemi, i mimo niepewności, mimo chwilowych zбочeń, nie zaginęły, ale przetrwały, i z własnej piersi poeta je na nowo odtworzył. Tą pracą umysłową, gorącą, nieustanną, dziwnie ścisłą, w dwudziestym roku życia Krasieński wznosi się już na niezwykle wyżyny. Pisze Reeve o dziwnych kazaniach Effinghama Wilsona, a Zygmunt zaraz zjawisko to tłómaczy, nawiązując do innych. Dowody mnożą się dla niego i utwierdzają mu wiarę w rozpadnięcie się teraźniejszego ustroju społecznego. W niepokoju dusz, w tajemniczych objawach widzi początek nowych czasów, brzemiennych zagładą, i powiada sobie, jak we wstępie „Irydiona“: już się ma ku końcowi starożytnemu światu — bogi i ludzie szaleją! Zdarzenia i porywy myśli były mu równie ważne, czy grecką czytał historję, czy upadek Rzymu, czy zwycięstwa rycerzy krzyżowych, czy walki rozpamiętywał wielkiej rewolucyi. Czyny i dzieła równie mu blizkiemi się zdawały, gdyż patrzył na nie, nie jako na wydarzenia chwili, ale jako na wiecznie ludzkie dzieje. wieczyście jednakim prawom podległe, dzieje namiętności, tryumfów, upokorzeń i pokuty ducha, pełne walki nieśmiertelnej.

Z wzmoczeniem się sił myśli, stało się, że wznosił się nad swary i przeciwieństwa chwili, jako ptak wznosi się nad wzgórze i pola, i objął wzrokiem szerokie królestwo różnych dziedzin. Było w nim i zatliło się iskrą genialne natchnienie.

I myśli Reeve'a krystalizować się i mężnieć poczynają wcześniej, niesłychanie wcześniej. Młody Anglik skierował się ku politycznemu zawodowi. Wszedł na drogę, prawdziwej naturze swej blizką, gdyż Reeve, miłujący piękno, nie był przenigdy poetą. Miał zaś w sobie darem niepospolitym przy jasnem pojmowaniu miarę, która mu myśl do czynu zbliżała i każde przedsięwzięcie czyniła prostem, miał także szlachetność nie leniwą, rozumną, chrześcijańską.

W roku 1831 rozpoczyna studia prawa w biurze adwokackiem, żywiąc nadzieje wyższych celów, karyery mówcy i męża stanu. Pełen dobrych chęci i nie jedynie jako przyjaciel Zygmunta do polskich dążeń przywiązany, ofiaruje się Niemcewiczowi i księciu Czartorys-

kiemu z tłumaczeniem broszur politycznych, oraz pomocą w pisaniu artykułów do gazet angielskich. Wzdrygnął się, słysząc o tem Krasiński. Nie żeby bronił Reeve'owi obranego kierunku, ani ujmował zasługi, ale przez miłość i przez przywiązanie do myśli, którą uświęcił w sobie, że Reeve musi stać się wielkim poetą. W gorącym pragnieniu, by nie zagięły dla ludzi nadzieje, jakie miał w sobie, chciał wielkie bogactwo myśli złożyć skarbem przyjacielowi, oddać, co miał najdroższego, i samemu ponieść się w ofierze, byle-by Reeve tworzył, byle-by Reeve zajaśniał promienny. To też praca nie twórcza wprost, ale przerabiająca myśl obcą, owe tłumaczenia broszur i przekłady wierszy, rażą go przykro. Niechaj-by przyjaciel szedł drogą zawodowej pracy i kształcił się w prawie, ale wara mu jać się niewolniczego przerabiania cudzej myśli, gdy tyle piękna chowa w duszy.

„Tyś poeta, wyrzekłeś to o sobie, i jesteś nim, inaczej-byś nigdy tego nie śmiał powiedzieć“ — woła, gdy mu list Reeve'a to zapewnienie przyniósł. Niespokojny, pytał się, widząc, że zapal pierwszych dni w przyjacielu ostyga i w zbyt ciasne zamienia się pragnienia, pytał się i nastawał: masz-li wiarę w siebie, żeś poetą? A gdy mu tem wyznaniem wzruszony Reeve odpowiedział: mam ją, Bóg mi dał lirę, jak mi dał dar języka, — Krasiński sławi siłę poezyi, którą-by w nim chciał widzieć. Uniesiony porywem własnej myśli, nie dostrzegł, ile w odpowiedzi Reeve'a zastrzeżeń, wiary niepewnej, ile granic, których wielki talent nie znosi. „Mam tylko uczucie piękna“ — mówił mu Anglik, „mam jedynie entuzjyzm kontemplatywny, i jeżeli kiedykolwiek entuzjyzmowałem się sobą, to raczej odczytując, com już wypowiedział, aniżeli czując, co mam jeszcze do powiedzenia“ (18 listopada 1831 roku). Małe estetyczne zadowolenie powiadają te słowa, nie żar ów wielki, żar, którym zbiera uczucie: „Ach. w sercu mojem są niebiańskie dźwięki, lecz nim ust dojdą, łamią się we dwoje“. W tym kontraście objawiają się dusze obydwóch przyjaciół, i miara Reeve'a, i Krasińskiego bezmierność. Ale Zygmunt kontrastu nie widział zrazu. Mówi Reeve'owi o powołaniu poety w czasach, które, jak nawałnica, na świat przyjdą. „Wysoko lirę trzymać trzeba, by krew jej nie zalała, gdyż krew bryźnie w powietrzu, lecz z odwagą i z natchnieniem w piersi można wśród huny chodzić pożarnej i pogardzać zabójcami, można się z losem swym zgodzić i ujrzeć zorzę, którą oczy duszy zdala rozpoznają, a oczy ciała nigdy nie zobaczą“ (25 listopada 1831 roku, Genewa). „Patrzaj na wiek nasz,“ — powtarza namiętnie, życie i śmierć rozwijają się w dzień w barwach najbardziej jasnych i ciemnych najbardziej. Żądza życia i agonja śmierci wystarczą nam aż nadto... Otwórz więc ramiona i ogarnij wszechświat! Twarzą w twarz spojrzuj na rodzaj ludzki, niechaj stanie z jednej, ty z dru-

giej strony, bądźcie wy tylko na świecie, a każdy z was będzie swą wielkość miał i swoją nieśmiertelność" (26 grudnia 1831 roku). Nie tłumacz, bądź sobą, sobą być powinienes, a nie innym—powtarza bezustannie. „Tą jedynie drogą dokonywa się rzeczy wielkich, a nie twojem powołaniem, abyś dokonywał małych. Tak zdało mi się czytać w Twoich oczach, gdy mówiłeś o miłości, o poezji, o Bogu“ (tamże).

Gdy tak pisał do najbliższego sobie duchem przyjaciela, był już Zygmunt Krasiński godzien miana poety. Z fantastycznych rojeń przez ból przeszedł umysł młodzieńca, nie słabnąc, ale myśli coraz potężniej niewoląc. Teraz Krasiński tworzy już swego Agaj Hana i pisze dzieje Samozwańca, zbrojną przeszłością myśląc o dniach dzisiejszych, „i wtedy bowiem świat cały miał ginąć, i zwycięzcy rzucali się na ruiny z chciwością i odwagą Hiszpanów Korteza“. „Odnajdziesz“ — mówi — „w Polakach. którzy na koniach swych przebiegają Rosyę od morza do morza, olbrzymi zapał, wiarę w siebie, uczucie siły indywidualnej barbarzyńców, którzy się rzucili na Rzym...“ (6 grudnia 1831 roku). W Agaj Hanie pragnie dać sobie zadośćuczynienie za smutną rzeczywistość, przenosząc się wyobraźnią w czasy, kiedy „żelazna rękawica Polaków miażdżyła nieprzyjacielską potęgę. Jest w nim ta sama jeszcze gorycz i nienawiść, jaką w Adamie szaleńcu widzimy, ale już budzą się nowe i wielkie pojęcia. Nie wypowiedział ich w Agaj Hanie, w duszy je nosi przejrzone, ale niedługo genialnie rozjaśnione objawi. Jak światła dalekich gromów przebiegają na skłonie widnokregu, tak w umyśle poety coraz bliższym blaskiem rozniecają się myśli, zaczem uderzą gromem i płomieniem w arcydziele. Przez rok wyteżonej myśli Krasiński wyrósł nad Reeve'a, i jeżeli zawsze górował nad nim polotem, wyobraźnią, żywością i pięknnością słowa. teraz wzbil się wysoko rozumowaniem. Lecz Anglik przyjaźni godnym pozostał, bowiem i wiernem, kochającym sercem, i szczerym hołdem umysłu uznał poetę w przyjaciela, któremu już w pierwszych czasach zwierzeń wróżył nieśmiertelność. Zbyt jasno myślał i zbyt jasno czuł, jaką drogę sam przeszedł, by nie podziwiać rozwoju niesłychanego w Zygmuncie i prawdziwej miary nie przyłożyć do myśli genialnego Polaka. Nie był jeszcze poznał arcydzieł Krasińskiego, gdy pisał do niego z przekonaniem szczerem te słowa: „Nie zapomnij nigdy, że masz władzę w sobie, by cię kochał i podziwiał każdy, kto zna polski język. Stworzysz sobie reputację własną, reputację poety, która nie wspólnego nie będzie miała z dziejami twej rodziny, ani z błędami przeszłych pokoleń“. W cytacie łacińskim dodał: „Curtius Rufus videtur mihi ex se natus“ (13 grudnia 1831 roku).

Broni się od tej chwały Krasiński: „Byliśmy równi czas jakiś,“ — odpowiada — „a nawet często jam ci mej duszy udzielał, ale ci rów-

nie często powtarzałem, że rychło mnie wyprzedzisz; dziś jesteś wyższy nademnie“. To więc, co mu Reeve mówił, przenosi na przyjaciela, nie przestając spodziewać się, że poezya uczyni wielkim młodego Anglika. O sobie sądzi, że sławy nie dostąpi, gdyby zaś opromienić go miała, nie pragnie jej od poczucia rodzinnego odłączyć. „Z pewnością, gdybym mógł mieć imię, nie chciał-bym oddzielić je od rodzinnego nazwiska, by, jak mówisz, natus ex se... przeciwnie, o ile-bym mógł, złączył-bym się z nimi, kłęcząc na ich grobowcach. Natchnienie moje przyjdzie mi z przeszłości“ (19 grudnia 1831 roku).

Po latach, w ostatnich listach, jakie pisał autor „Irydiona“ do Henryka Reeve'a, gdy ten już wszedł do urzędu spraw zagranicznych i polityczną swą karierę rozpoczął, tak mówi do powiernika pierwszych natchnień: „Henryku, mój przyjacielu, nie sądzę, żem zły wpływ na twą młodość wywierał, gdym ci często odradzał zajęcia prawnicze, i z całych sił mych parłem ciebie do czegoś, bardziej niezwykłego. A jednak te rady tak młodzieńcze, te wzywania ku nieskończoności — jam je tak często wyrzucał sobie później, myśląc, że cierpieć kiedyś na tem będziesz. Bogu dzięki, tak się nie stało!“.

I Krasieński widzi wyobraźnią, po dalszych jeszcze latach, gdy wiosna niepowrotnie przeminie, Reeve'a wpływem i stanowiskiem znacznego, a siebie o starganej sile, i widzi się przy serdecznym przyjacielu. Rozpamiętują przeszłość, młode pragnienia, młode siły, młode szczęście, chwile, w których obadwaj „w kwiecie pierwszej wiosny szliśmy tak dumni, tak pełni poezyi i nadziei... Ach, jeżeli ty kochasz,“ — woła, — „ja nie kocham lata! Lato do wiosny tem, co cnota do niewinności, rozum do serca, sztuka do natchnienia. Dla mnie we wszechświecie jedna-li chwila Boską, ta, gdy pączek różany w kwiat ma się rozwinąć, lecz skoro się rozwinie, skończone, skończone na zawsze... Ach, młodość, młodość, i nie poza nią na świecie“ (Wiedeń, 27 lutego 1837 roku). W uczuciu poety z Faustowego prologu, który młodość wspaniałem wielbi słowem, daje Krasieński świadectwo przyjaźni, i siebie i Reeve'a w jednym miłuje uczuciu. A byli obaj tego uczucia godni, i pożądały serca ich, i myśl pragnęła młodzieńczym zapatem, byli pięknymi we wzajemnem przywiązaniu i we wspólnej miłości szlachetni. Nie miał Reeve oschłej wiary, jak nie miał martwej nadziei Krasieński. Martwotą gardzili obadwaj, w obydwóch głębokim trwało poczucie religijne. „Nie wierzę w martwej natury istność,“ — pisze do Zygmunta Henryk, — „lecz sądzę, że z jednego stanu w drugi życie nasze zdobywa zmysły i nowe poczucia, a stopień, na którym jesteśmy, przecie wysoki, gdyż czujemy, że jesteśmy, i że dyskutujemy nad bytem tego, co nas otacza... Nie wierzę w doskonalenie

się człowieka, jako człowieka, ale w doskonalenie się duszy, jako duszy, odrzucając krańce przestrzeni i czasu... Tutaj stawia się kwestya zmartwychwstania ciał, której inaczej nie mogą przypuszczać... Jeżeli materya martwą — już skazana przez śmierć swą na nieśmiertelność nieistnienia, lub co najwyżej na byt zapożyczony od ożywiającego ducha, lecz żywa materya nie jest niegodną zgoła niebiańskiego swego towarzysza, a w stanie czystym, uświęconym, jedno i drugie przemienia się i podnosi...". Wypowiadając tę swą żywą wiarę, dodaje Reeve słowa Ewangelii: „w domu ojca mojego wiele jest pomieszek” (List z 23 października 1831 roku). Odpowiedzi na list ten w korespondencyi przyjaciół niema, ale dał ją Krasieński w Przedświcie, w Psalmach, a przedewszystkiem w niewydanym traktacie o Trójcy, dał w całej swej filozofii rozwoju dusz i ciał ku Bogu. Nieźmiernie żał, że nie wypowiedział już wówczas swoich myśli, gdy czytał słowa Reeve'a, iżby świadectwo dać, że i ta wiara od zarania poczęła się w świadomości poety i w pierwiastku przetrwała do czasu, gdy ją Cieszkowski ku większemu rozwojowi pobudził. Miał ją w swej piersi poeta niewątpliwą, gdy mówiąc o wierze i poezyi, tak w jednym z listów przyjacielowi powiada: „poezya nieśmiertelności poczuciem, a zarazem przeszłego istnienia pamięcią — poezya, to Ja w stosunku do Boga, ale nigdy z Bogiem nie zlany, i przez wieczność myśl Bożą poznawający — to Ja, który stawa się Bogiem, aby się nigdy Nim nie stać i wiecznie sobą pozostać” (ostatni list z roku 1835, Wiedeń).

Napisał słowa te w rok 1835, więc w roku wydania „Nieboskiej Komedyi“, azawarł w nich wieszczbę dalszego objawienia, myśl Psalmu Wiary, którą później zasadniczą całej swej filozofii uczynił.

XI.

Na tak rozwinięty i potężny już umysł, jak na niwę bogatą, padły nasiona, które wiatr nosił po całej Europie, tu rozsiewając obficie, owdzie porywając w tumanie, by rzucić nieliczne w odległe strony i krańce. Szedł ten wichur rewolucyjny przez Francję w dniach lipcowych, przeszedł przez Polskę w listopadowem powstaniu, a teraz zdawała się burza zaciągać nad Anglią. Odgłosy mordów i rabunków w imię wolności dochodziły z różnych stron, a w Genewie wieści zaburzeń lyońskich ozwały się głośniej od innych. Reeve, słysząc o nich od przyjaciela, przejęty wspólną myślą z Krasieńskim, pisze, że Lyończycy zrozumieli hasło dzisiejsze i nie krzyczą już: „śmierć lub

wolność“, słowo, które nie ma znaczenia, ale: „śmierć lub chleb!“ i lud ten, który od roku nie jadł, głód cierpi i pragnie krwi (29 listopada 1831).

Tak mówi Reeve, a widząc zepsucie kraju swego, przepowiada mu klęskę straszliwą. Krasiński świata przejrzał zepsucie i jeżeli ludzkość całą wielbi, gdzie spojrzy na ludzi, piekło nie zbawienie ogląda. „Ludzkość jest Boską, jako całość“—woła—„jako ludzie dyabelską“ (1 grudzień, 1831, Genewa).

Myślą tą świata ogarnia niekczemność i nazwie ją w przeciwieństwie do Dantejskiego dramatu „La umana Comedia“, ludzką komedią, a wreszcie „Komedią Nieboską“, stwarzając obraz jej w arcydziele. W takim nastroju podczas wycieczki w okolicę Genewy widzi scenę, która już nie myśli, ale wprost słowa, przyniesie do „Nieboskiej.“

Dwie dziewczyny w oberży w Ferney czyszczą kuchenne naczynia, w drugiej izbie siedzi przy winie kilkunastu gwardzistów. Jedna z dziewczyn, silny brutalny typ ludowy, szoruje talerze i śmieje się głośno. Krasiński wchodzi do izby, by wyczyścić fajkę; popatrzał i na myśl mu przyszło nagle zapytać się tej dziewczki, co też sądzi o lyońskich gwałtach. „Dobrze zrobili, Panie“—mówi mu w oczy czarna dziewczyna—„chcą równości. Dawno już, jak nam równość w niebie obiecują; niechże przedtem zacznijcie się na ziemi!“ A, gdy młodzieniec stara się jej wytłumaczyć, że równość taka będzie także tyranią: tak, tak odzywa się, wiemy, że równość niemożliwa, ale czyśmy nie dość długo przed wami kolan uginali. Na każdego kolej, na każdego czas do dyaska!“ Krasiński nie daje za wygraną, próbuje dyskusyi. Chcecie więc—mówi—byśmy wam służyli jako niewolnicy na to tylko, byście mogli jeść, pić i wygrzewać się. Mówicie: będziemy szczęśliwymi, lecz nie wierzycie, gdyż szczęścia na tej ziemi nie masz“. A na to mu dziewczucha, potrącając kociołek: „A dyć wiem to—ale przecież lepiej zjeść dobrze, niż źle. A wreszcie czas, byśmy wasze miejsca zajęli. Od iluż-to wieków na nich siedzicie!“ (list z 11 grudnia 1831).

Mnożyły się więc do wielkiego dzieła nagromadzone na fundament podatne myśli, ciosowym bryłom podobne. By uzupełnić dramat, musi Krasiński stworzyć Pankracego. Hrabia Henryk jasno już wyobraźni objawić się musiał, gdyż wszystko, co poeta wie o swej słabości i sile zarazem, to dziedzictwem złoży bohaterowi Nieboskiej, prócz wiary w Opatrzność, z której czerpie dla swej duszy otuchę, i prócz pokory, przeciwniczki pychy. Gdyby mu pokorę odjął i wiarę niezwalczoną w Bożą przyszłość, gdyby mu odjął dobrą wolę a pozostawił namiętności, byłby Krasiński Hrabią Henrykiem. To

wie o sobie i z tej prawdy czerpie, dając bohaterowi śmiertelne uczucie ziemskiej poezji i chwały i tworząc ze swych wspaniałych ułomności rycerza Świętej Trójcy, dając mu duszę wyniosłą i rozumną, a odbierając miłość, aby był, jako miedź brząkająca.

Pankracy nie posiada w tym stopniu uczuć Krasińskiego, jak Hrabia Henryk, nie ze wszystkiem jednak z obcych poecie stworzony zarodków. Rozum przenikliwy, pożądlivy, płomienny, ta siła przewidywania i panowania bezmiłosna, żyła w poecie. Ale w Pankracym do ostateczności ją rozwinął i nie sobie jedynie podobną uczynił, a raczej Łubieńskiemu, w którym pokrewną widział Pankracemu potęgę, zdolność olśniewania, zimną bystrość agitatora. Przeczytajmy listy, w których określa swego antagonistę i podobnym go czyni do rewolucyjnego trybuna, a zdawać się nam może, że maluje wodza tłumów z obozu pod Świętą Trójcą.

Miał więc założenie charakterów i dążeń. Cele ostateczne Pankracego wyczytał w przykazaniach filozofii rewolucyjnej, a zwłaszcza w dogmatach St. Symonistów. Oni, którzy systemy budowali i wierzyli w nieomyślność swych nauczania, runą wraz z porządkiem świata, przeciw któremu walczą, ale przewodnikami będą w tem zniszczeniu. Sądzę—pisze Krasiński do Reeve'a, „że St. Synoniści spełnią swoje przeznaczenie: przeznaczono im stanąć kiedyś na czele wielkiego ruchu poletaryuszy“ (27 stycznia 1832, Genewa). Z rodu tych obmyślicieli zagłady, o których mówi Krasiński, że w pismach swych rzeczy ludzkie topią w oceanie piękna, doskonałości i rozkoszy, a zarazem dążą do starej i surowej anarchii, idzie Pankracy, i jak oni „na-wpół fantastyczny, na-wpół przebiegły, układać umienajwyższe i najszlachetniejsze uczucia w matematyczne formułki“. Człowiek, którego teoria i czyny różnemi są, który grać potrafi w dzień walki, ale znajduje rzeszę uczniów i wyznawców posłusznych, fanatycznych, jak Leonard, i z pomysłów mistrza czyniących rzeczywistość (list z 17 lutego 1832, Genewa).

Znając prawdę Pankracego i Henryka, znając kłamstwa rzuca-
ne w świat, a które rosną i rozwijają się wspaniale, znając winy bez-
myślnych i zwątpienia przewidujących, mógł się zapytać poeta, jaki
wybór czynić między despotyzmem a demagogią. Sprawiedliwy i du-
chem nad poziome hasła wyniosły, nie widzi chwały ni dobra pod za-
dną z chorągwi przodujących w boju. Dla świata wieści jutro zło-
wrogie, pogrom, Dies irae, „bottomless perdition“, i to motto przed
Nieboską położy.

„Głoszę“—woła do Reeve'a— „twierdzą i wierzę, że nasze spo-
łeczeństwo zginie i my wszyscy w strasznem zginiemy wstrząśnieniu.
Jest to mą wiarą i chcę się nią szczyścić (tamże).

I wszystko odmieni się i nową szatą obłóczy, poezya, muzyka, sztuka, będą inne, jedna tylko wieczyście tą samą pozostanie: cnota“.

Tą wiarą Krasiński stworzył Nieboską Komedję. W ostatnim liście z Genewy do Reeve'a w oczekiwaniu na powrót przyjaciela, wspominając o cholery w Londynie, pisze i wystawia sobie wzburzenie ludowe, jakby slyszal okrzyki zastępów Pankracego.

„Dlaczego bogacze nie mrą tak, jak my. Patrzcie, oto mają lekarzy i pomocą oddzielają się od innych. Ach, jeżeli mamy umierać z głodu jutro, mścijmy się dziś! Do walki: na piki i siekiery, rozbijajcie okienne domów! Niechaj dywany pałaców lecą w kawały i padają jak kwiaty na ulicę w dzień święta!“

W tym samym liście powiada „wczoraj zacząłem mój 21-szy rok życia—mam w sercu coś podobnego do ognia“ (20 luty 1832 rok Genewa).

XII.

Na wiosnę 1832 roku przyjaciele rozstali się i pożegnali w Salzburgu. Półtora roku upłynęło od tej chwili, a Krasiński z Rzymu donosi Reeve'owi, że wydał „Agay - Hana“ i napisał „Nieboską Komedję“ (list z 19 grudnia 1833 roku).

Odkąd zdała od serdecznego druha Zygmunt w twardej petersburskiej zimie z ojcem i Danielewiczem, a więcej jeszcze z własnymi przebywał myślami, przerywając się dla nas dzieje dwóch umysłów i romansów, tak, wedle słów Reeve'a, do nowej podobnych Heloizy. Korespondencya stawa się wyłącznie spowiedzią polskiego poety, gdyż niema, nie dochowały się żadne późniejsze listy Anglika.

Dwudziestoletni Zygmunt Krasiński nie jest już tylko pełnym darów wyobraźni młodzieńcem, wyłoniła się w nim własna, niepodzielnie oryginalność i genialna rozbłysła umysłowość. W petersburskiej ciszy wstały myśli wielkie, rodzicielki dzieł i poeta zerwał się, wołając: anch io sono pittore. Spojrzał w siebie, jakby świat swój jednem chciał ogarnąć spojrzeniem, i poznał się wówczas i zawierzył sobie. „Tak, zaprawdę,“ — pisze do Reeve'a, — „poezya jest mojej duszy żywiołem“ (22 października 1832 roku). Zawierzywszy zaś sobie, badał kierunek i siłę myśli w długich, samotnych godzinach, które ze sobą, chory na oczy, przepędził. W ciemnym

pokoju, oderwany od świata widoków, innem światłem badał swoją prawdę i wszystko, co genewskie lata w trudzie i bólu nagromadziły, wszystkie posiewy myśli poczęły teraz bujną wschodząc rumią. „Nauczyłem się myśleć,“ — wyznaje, — „stanę się człowiekiem dzikim i silnym myślicielem. Wiesz, dawniej trzeba było wina, cygara, lub kobiety, bym się upoił; teraz upajam się myślą silnie i śledzę ją rozumowaniem“ (1 listopada 1832 roku). Wówczas spotkał się z umysłem Danielewicza i rozpałił się ku studyowaniu filozofii, o której później powie, że wartą miłości jest i że można być i w tym rodzaju Wertherem (20 stycznia 1833 roku, Petersburg).

„Nieboską“ ukończył w lecie 1833 roku. Wszystkie smutki, pragnienia, żale, rozpacz, gniew i gorycz, nadzieja i lęk, wiary i sny z lat dojrzwania złożyły się na arcydzieło, które samo imieniu twórcy daje nieśmiertelność. Nie będziemy próbowali mówić o „Nieboskiej“. Z chwilą, w której student genewski opuszcza brzegi Lemanu, przestać nam wypada w zamiarze szukania prawdy tej duszy i śledzenia jej rozwoju. Autor „Nieboskiej“ jest już genialnym poetą i potężnym przemawia wyrazem, o dziełach zaś pisano i pisać będą lepiej, niżbyśmy to kiedykolwiek potrafili uczynić. Dla tego też nie wejdzimy w rozbiór dalszych listów, w których tyle świetności i głębokości myśli i gdzie się autor sam tłómaczy najszczerzej. Niech je czytelnik pozna i sądzi. Nam troską było, by wykazać, jak w zaraniu twórczości umysł ten stawał się sobą, by poznać przedświt prawdziwy przed blaskiem, zawiązek kwiatu przed rozkwitem. A widzieliśmy wzrost coraz to większy, świadomość doskonalszą, której pełne arcydzieło, albowiem niema w „Nieboskiej“ myśli, Krasieńskiemu nieprzystępnej. W nichem twórczości tam niema bezwiednej, nieobmyślanej, ale niesłychanie poznane i przygotowane panują słowa.

Widzieliśmy obok świadomości tej i siły pierwiastki rozstroju w Krasieńskim, gdyż w nim, jako w każdym z ludzi, a bardziej jeszcze w niezwykłych, nie jedno żyje usposobienie, nie panuje spokój różnobarwny, ale w przeciwieństwie, w pasowaniu się uczuć rozwija się duch żywy. Tej prawdzie świadczą wszystkie listy. Chcąc zdać sobie sprawę z dążności, które Krasieńskiemu mocą stały się i prowadziły go do zwycięstwa, winniśmy sprawiedliwości raz jeszcze wskazać te, które były jego niemocą. Widnieją jako przeszkody na drodze rozwoju, i mówiliśmy o wpływie ich i znaczeniu, które trzeba wyraźniej jeszcze oświetlić. Dopomoże nam w tem sam poeta, znał bowiem siebie i od poznania błędów początek swej mądrości uczynił.

„Mój drogi,“ — pisze Zygmunt do Reeve'a, — „zazdroszczę ci tej siły, tej nieczułości, albo raczej tego spokoju, tej rezygnacyi. Ja-bym się na to nie zdobył“ (list z 26 lipca 1830 roku). Wyznanie to, które

w jednym z pierwszych listów złożył przyjacielowi, spowiedzią się staje dla wszystkich dni i kolei myśli, a w listach, coraz to pełniejszych ducha, poeta o nierówności swojej świadczyć nie przestaje. Co najsilniej odrazu uderza w listach, to szamotanie się ze sobą wyobraźni i rozumu. Pióro ponosi i ponosi wyobraźnia. Długie stronicie mówią kolejno o pożądaniamiach i zniechęceniach w równie gorącej mowie, a w czytelniku rodzi się sąd o braku miary w Krasieńskim. Wówczas wiersz jego i znów jeden z pierwszych z podwójną siłą pamięć nam przywodzi, i chcemy słyszeć prawdziwe i piękne:

Bóg mi odmówił tej anielskiej miary,
Bez której ludziom nie zda się poeta...

Ileż razy wraca to uczucie w prozie listów! W cichej rozmowie ze sobą i przed przyjacielem nie uniewinnia się młody umysł, ale przeciwnie, oskarża ciągle i bezmiernie, powtarzając, że nie zna spokoju, że się we wszystkim do szaleństwa doprowadza, do ostateczności, i w udręczeniu nie przestaje sobie folgować. W krótkich i zwięzłych wyrazach dał sąd o sobie, mówiąc Reeve'owi: „Jeżeli styl mój był gwałtownym, to przez to, że nigdy nie był na pośredniej drodze“ (20 listopada 1833 roku). Weźmy list, w którym spowiada się, szczerze, słabość swoją wyznając, list z 25 lipca 1831 roku: „Uważaj dobrze mój charakter nie ma nic stałego, tak, jak styl mój; dziecię skrajnych uczuć, przerzucam się ciągle z infamii do sławy, z pogardy do rozkoszy miłości własnej, ze złego do dobrego, z męstwa do bojaźni, rozbijany wszystkiem, co napotykam; mówię ci, dusza moja jest falą, która nie przestaje wznosić się i opadać... Nie mam przez kwadrans tego samego stanu. Uczucia moje z innej są treści, niż moja dusza. niż ja sam. Nic przeciw temu nie wydołam. Nieszczęście, że stworzony taki“. A teraz weźmy inny, wcześniejszy list, świadczący tej samej prawdzie i bliżej ją poznawać dający. Krasieński mówi w nim o miłości swej ku Henryecie i przedstawia ją coraz dalszą, bardziej snem, bardziej przeszłością i obrazem uczynioną, Henryetę, postać Galatei biorącą, gdy on być Pigmalionem nie potrafił. I w tem zapatrzeniu się na ideal, nie rzeczywisty już, ale przez siebie stworzony, widzi szaleństwo swego serca. „Jakżem żył zresztą,“ —zapytuje,— „samotny po większej części, egzaltując się przy dwóch świecach, wywołując światy i kształty poza prawami stworzenia, goniąc za silnemi wrażeniami, stwarzając sztuczne, oburzony na towarzystwo i kobiety, na każdego, kogo nie znałem, chory codziennie ciałem mdłym, głową, rękoma, piersią, lubiąc z usposobienia fizyczne wyteżenie, ale zmuszony jedynie nadużywać duchowo przez słabość przyrodzoną

ciała, a wówczas, pisząc, smarując, przywołując poezją krzykiem, gdyż ta duszy mej była rozpustą, mózg zamęczając, ręce na piersi krzyżując z nudów, nie mogąc wiersza jednego napisać, walcząc z prozą i myśląc czasem, że jestem poetą, a potem pogrążony, upadły na duchu, unikałem balów, zabaw, gdyż w nich wyrok śmierci, widziałem, zamykałem się w czterech ścianach i tam dręczyłem duszę, ciała dręczyć nie mogąc, gdyż czułem ją silniejszą od ciała. I przechodziłem kolejno od dzieciństwa przez wszystkie szaleństwa, szaleństwo cygar, polowania, zazdrości, pożądliwości, zemsty, miłości, natechnienia, pogardy dla drugich, gdyż wszystko we mnie jest chwili szaleństwem, co we mnie jest, i myślę, że mógł-bym z kawałka lodu stworzyć sobie kochankę, na mojem łonie drżącą; przeszedłem bowiem wszystkie stopnie głupstwa, byłem purchawką i zabijaką, wartogłowem i pedantem, ubierałem się we wszystkie śmieszności, napotkane na drodze, a wkrótce potem brzydły mi wszystkie i byłem Edmundem Fabre, Steinbockiem, Gaymullerem, Stackelbergiem kolejno, jeno że u mnie były to fazy tylko, a u nich status quo "... (2 października 1831 roku).

Ileż w tym liście przesadnej mowy, ale ileż prawdy! Proza wysiła się, by wypowiedzieć przyjacielowi, co w myśli nosi młodzieniec niecierpliwy, i burzą się, i szumią słowa, tłocząc się w zgiełku, jak u wrót zamkniętych. Skargą woła i tłumaczeniem rozjaśnia brak miary i egzaltację swą młody chłopiec, a poeta powtórzy po latach: „Bóg mi odmówił tej anielskiej miary“. Jakaż troska z drugiej strony o poznawanie siebie, jaka ciągła analiza uczucia! Krasiński przy rozigranych nerwowych myślach straszliwą przecie ma wiedzę o sobie, nieublaganie poznającą i sądzącą, a nigdy nieuśpioną. On chce przez wszystkie stany duszy przechodzić i chce z nich wyczerpać uczucia! Stąd wieczne mu w sercu tryska źródło utrapienia i więcej w nim żalości, niżby nieszczęście przynieść potrafiło, gdyż wie i przewiduje, a mniej, daleko mniej niepomnych siebie porywów, które się rodzą i giną bez pamięci.

W każdym prawie liście powraca żalodne i zniechęcone słowo o jakiejś chorobie. Od początku do końca korespondencji pełno wzmianek o ciągłych cierpieniach, a nie milkną one, lecz przeciwnie, zdają się rozrastać coraz bardziej. Krasiński niewątpliwie nie był silnym, a zwłaszcza wytrzymałym, ale nie był też ciągle słabowitym. Stał się słabszym, prowadząc życie wprost przeciwne higienie najprostszej. Pracował niezmiernie dużo i podziwienia godnym, ile pisał i czytał w Genewie. W pierwszym zaraz liście cytuje na wstępie Lamartine'a i mówi o Rousseau, wspomina dalej Boissiera: „Les retrouvons nous dans un Monde meilleur“: w drugim mówi o Lacretelle'u i cytuje Shelleya. Równocześnie pisze rozpoczęty romanś po polsku:

„Zawiszę“, nadto urywki przepisuje z prac swych francuskich dla Reeve'a; a ile ich przeróżnych i jak pisanych ścisłem, małem piśmem! Poza tem wykłady uniwersyteckie, których nie lekcewał, jak o tem świadczą pliki zachowanych notatek, dalej lekcye języków, a nade wszystko listy do ojca i do Reeve'a prócz innych, pełne objętością i treścią niemale. Gdzie czas był na hartowanie ciała, gdy nam listy te mówią tak często, że używał nocy i pisał natężony przy świecy, paląc cygaro i pobudzając się do czuwania. Reeve potwierdził mi to gdym się go wypytywał o tryb życia Zygmunta w Genewie. Palił cygaro, pił kawę czarną, chodził nerwowo po pokoju, przystawał i rzucał na papier myśli, to znów zrywał się niespokojny. Pisał godzinami całemi, arkusze zapisane ciskał pod stół, by mu nie zawadzały, i wstawał z rozpaloną głową, umęczony, z błyszczącemi oczyma. W ćwiczeniach ciała i sportach zaprawny, nigdy miary utrzymać nie potrafił, ale w przesadnej chęci dążył zawsze do najwyższego wysiłku, chcąc przełamać odrazu trudności i opanować zadanie, stąd, gdy nie wydołał, zniechęcony, tracił nadzieję i ochotę. Tak w rozrzutności sił trawił się i doprowadzał do stanu chorobliwego, do niezmiernego przeczulenia nerwów, które, niustannie drażnione, drgały, jak struny, wszelkimi nastrojami od rozpaczcy do upojenia.

Brak miary sprawia, że w listach tyle skargi i niepokoju. Stąd również rodzi się niesłychany rozstęp między myślą potężną już i daleko widzącą, a dziecinnym nieraz myśleniem. Wśród listów, mówiących rzeczy, poznane do głębi, jak wśród rzeźbionych, wyrazistych twarzy, trafiają się zwroty, dziecinnej pełne mowy, opisy wyprawy po kwiat do Bourdigny, walki z chłopami nad jeziorem, bali genewskich, lub historia obciętego pędu w teatrze—podobne zaprawdę do lalecznych główek, umalowanych naiwnie. Wrażenia nieraz między sobą się sprzeczały. O zgodę ich poeta mógł nie dbać, jeżeli jeno pragnął dawać wyraz i światło tej myśli, która go w chwili zajmowała. Mistrzem mógł być, słuchając jedynie geniuszu mijających godzin. Lecz pragnął więcej, chciał prawdy, wspólnej dla geniuszu i pojęć. Dla tego, niezadowolony, póki poznanych rzeczy w spójną całość nie pojednał, szukał zawsze i wszędzie łączni wyższych. Stąd różność i zmienność wrażeń nie uczyniły myśli dwulicową. Była w niej jednolitość dążenia, rosła ciągle filozoficzna żądza syntezy. Krasński brał w siebie obce nieraz uczucia i nieraz nie był sobą, ale nie starał się wprost naśladować, ile przerabiać je na własne, i przez to bogatszym się stawał, gdyż umiał brać, jak pszczoła, obce treści, i przez pracę zasobem swoim czynić, a nie oddał się cały ponętom łatwych uczuć i rozkosznych. Przeto oskarżenie, jakie do siebie zwrócił, że w nim nic stałego i uczucia z innej treści jak duszą, słusznem jest jedynie wówczas, je-

zeli się do nastroju i do wrażeń chwili odnosi, ale nieprawdą wobec dążności zasadniczej i głębokiej. Innym był, zaiste, niezmiernie innym człowiekiem. Brak miary okupywała w nim niewstrzymana żądza prawdy i poznawania. Tę energię duszy znał, jak znał jej słabość. Z niej czerpał natchnienie i zapal twórczy, a w tem poczuciu pisał do przyjaciela: „Energii, więcej energii! Widziałeś wielkie ognisko i opisałeś je dobrze. Oto sekret cały. Odczuwaj sam, sam patrz, a będziesz wielkim poetą. Byron był poetą wielkim rozpaczy, gdyż czuł rozpacz... Nie twierdzą, że trzeba przeto każdej uczestniczyć scenie, którą się opisuje, nie było-by się bowiem niczem nad nędznego bazarza. Gdzież był-by wówczas geniusz twórczy. Ale potrzeba mieć w sobie elementa scen, jakie się opisuje, jak Bóg w dniu stworzenia miał w sobie zarody żywiołów, i trzeba nadto być nieszczęśliwym raz, by opisać nieszczęście, widzieć walkę, lub manewra, by bitwy opisywać, i podobnie wszędzie we wszystkim“ (list z 18 września 1831 roku, Genewa). Wiedział więc z poczuciem szczerem, że z burzy wrażeń rosną mu prawdy, i czuł artystyczną wartość przejęcia się i poznawania coraz dalszego. A jednak przez to, że w porywie poznawania spocząć nie zapragnął i cieszyć się widokiem rzeczy blizkich i znanych nie chciał, łamał radości i psuł piękność dzisiejszą niecierpliwem oczekiwaniem jutra. W artystycznym tworzeniu była mu ta energia nieraz przeciwną piękności, gdyż niepohamowanie nosła myśli ku dalekim celom i nielitościwie dla stworzonego obrazu zbyt wczesnie je odrywała, niedosyć dla dzieła własnego serdeczna.

Profesor Tarnowski w książce swej o Krasińskim podnosi, jako cechę, bezosobistość jego poezyi. „Jest on jedynym może na świecie poetą.“ — mówi, — „w którego poezyi niema nic osobistego“, i pyta dalej: gdzież Krasińskiego Gustaw lub Szwajcarya? Sąd ten słuszny, ale jedynie o ile dotyczy jawnego święcenia dziejów własnych — i tu przecie niezupełnie. Hrabia Henryk, Irydion, Młodzieniec z Niedokończonemu Poematu, to przyjaciele, którym poeta część duszy swojej daje, których uczuciami swemi napełnia, by je w dziele objawili. Konrad i Gustaw Mickiewiczowski zaprawdę podobniejsi im, niż twarze z Pana Tadeusza. A zupełnie jawnem piętno uczuć Krasińskiego w ojcowstwie myśli, w najgłębszej zasadniczej treści jego bohaterów, i to widać już od pierwszych prób kompozycyi genewskich, a zwłaszcza odrazu w listach do przyjaciela. Nie jest to obserwacya oczyma i odmalowanie ludzi obcych z wzorów, z postaci żywych, ale, jakbym może najlepiej słowami poety powiedział: branie w pierś magnetycznie nastrojów i także magnetyczne odtwarzanie. Dla tego tak mało zawsze tej poezyi, która opowiada rzeczy widziane i tem samem słońcem krasi, jakie na nich świeciło. Ale to magne-

tyczne stwarzanie nie jest przenigdy instynktem! Przeciwnie, abstrakcja, wynik długiej pracy przetwarzania w sobie wrażeń, refleksja przez szukanie ich źródeł, przez zapatrzenie się w siebie i wydobywanie ze swej treści prawdy; oto co dziwnie wczesnie objawia się z Krasińskim. Instynktem jest pragnienie wrażeń, poddawanie się wszelkim nastrojom, pracą skupioną wydobywanie z nich prawdy i prawda. Dla tego był poetą myśli. Jeżeli mówimy, że młody chłopiec nie obiecuje zrazu myśliciela, to przeto, że ziarna złote nieliczne z początku i przykryte jakby rozkruszonym gruzem z obcych treści, prawdziwe wrażenia zaduszone egzaltowaną fantazją. Gdzie jednak błysnie prawda, jest zawsze odbiciem najzupełniej osobistego uczucia. Uczucie to zwraca się ku wspomnieniom, ale więcej ku pożądanom i częściej pyta: czy pragniesz?—niżeli: czy pamiętasz? Uczucie to patrzy w przyszłość żarliwie. Ma w sobie światło przedświt, światło, mrok rozwiązujące ku dniowi, mniej rozkoszne od barw tęczyowych zachodu, gdyż myśli zmusza ku rozbudzeniu się i czujności, miasto je kołysać i upajać harmonią. Poezja to zrywająca z pięknoscią dnia dzisiejszego, by zwiastować zawody i radości jutra, ale poezja wielka i siła jej w tem posłowaniu przyszłości. Nim jednak poeta pozna tę moc swą objawiającej myśli, musi pasować się ze sobą nieźmiernie. Młodemu Krasińskiemu dwie przeszkody stoją największe na drodze: gwar sprzecznych myśli i gorączka życia. Obydwie są brakiem miary.

Gwar myśli w każdej młodej głowie powstaje, jeżeli żadna poznawania. W dojrzewającym umyśle ciekawość nie idzie w parze z wydobywaniem pojęć, wyprzedza je daleko i sprawia zamęt rzeczy znanych z posłyszaniem, lub nawpół odgadniętymi, tem gorzej, im gorętsza imaginacja, a wola bardziej gorliwa. Wówczas młodzi twierdzą bez folgi i pytają bez granic, z równą wiarą w swój świat, na prędcie zbudowany, a dnia trzeciego burzyć gotowi wszystko, by uwierzyć w obce malowidła. Wie o tem szatan z „Nieboskiej“, rozwijając stary obraz Edenu.

Tę przeszkodę zwalczyć powinien każdy, gdy na człowieka zmężnieje, stwarzając sobie wiary, którym służy, i wyobrażenia, których bronić potrafi. Poecie i artyście zaprawdę trudniejszym zwycięstwo, bowiem się z własnym geniuszem potykać wypada. Silną myślą pokonał tę przeszkodę Krasiński.

Gorzej, kiedy się słabość nie chaosem pojęć jedynie, ale uczuć wiecznym niepokojem żywi. Tem cierpi Zygmunt, gdy się skarży przed przyjacielem i mówi: „zazdroszczę ci tej energii, tej siły, tej nieczułości...“ Dla niego bowiem trudno ująć hamulec wśród rozigranych uczuć i nieskończenie powtarza to skargą, gdyż wie o sobie

że własną winą cierpi, że służy sam sobie za kata, sam sobie robi koło i sam się w nie wplata.

Gdy wielkiem i prawdziwem cierpieniem uderzony, w smutku pamięcią wrócił do pierwszej młodości, tłómaczy się przed Reev'em z tej rozpalonej myśli, która mu nie dawała wytchnienia. Jak w liście u Gaszyńskiego cytowanym ¹⁾ spowiadał się przed ukochaną z pierwszych swych marzeń i porywów, ze swej modlitwy do Boga: „Boże, Panie Boże, zrób mnie kiedyś sławnym“, szeptanej przy dziecinnem łóyczku na kolanach, tak i przyjacielowi z żałością opowiada lata swojego dzieciństwa. Nie było sielskie, anielskie, ale górne i chmurne, jeżeli tak o latach dziecińczych mówić można. Kraszińskiemu los nie dał promiennych dni wiosny, z których na życie całe uśmiech na ustach zostaje. O całą dobę szczęścia uboższy od Mickiewicza, zaczął od chmurnego dzieciństwa, wiek kłęski przebył w młodości. Dla tego tak serdecznie napisał, stworzywszy postać Orcia w Nieboskiej: „czemuż o dziecię nie hasasz na kiju... Co znaczą twoje błękitne oczy pochylone, choć żywe, pełne wspomnień, choć ledwo kilka wiosen przeszło ci nad głową...“

Wcześniej, zanadto wcześniej zaczęło się wszystko w nim budzić, jak sam się żali, wołając: „Wytrzymać nie mogłem obłędu, co się rozwijał wewnątrz duszy mojej, żyć chciałem przed czasem, dla tego też w czasie nigdy nie żyłem“ (Gaszyński, wspomnienia str. 26).

„Cóżem uczynił, by tyle cierpieć“ — pisze do Reeve'a. — Ach to faryzejskie dzieje pytać cożem uczynił! Zaprawdę czyniłem źle i kary godne rzeczy. Gdy wrócę się do ubiegłych czasów, do wieku, gdy z dzieciństwa wyrastał, widzę siebie kroczącego ku tryumfalnej bramie młodości z sercem przepełnionem żądzą, której żadna zasada, żadna cnota nie powstrzymała na drodze złego. To młodadziejczyna nieszczęśliwa przeze mnie, to kobieta oczerniona, to tysiączne przykrości wyrządzone ojcu, to duma bez granic, to myśl wspaniała uczepiona do występku, do udawania, to orgie z kieliszkiem w rękę, to nienawiści niepomahowane i walki. Pan Bóg nie zapomina niczego“ (List z 12 września 1831, Genewa).

Dziecko wzrastało w niezdrowem otoczeniu, karmiąc nieustannie marzeniami fantazyę. Jeżeli skargę tę na własną duszę Krasziński z nie mniejszą egzaltacją napisał, jak skargi na sępią drapieżność niepokoju, jest w niej przeciwieństwo części prawdy i nie mała. Orgie i nienawiści, stworzone wyobraźnią, w rzeczywistości dziejami małej wagi, jakie każde dziecko przechodzi, jedno, że rozrastały się w myśli wra-

1) Wspomnienia niewydane.

zliwej, przybierały obrazy fantastyczne i nie ginęły w zapomnieniu, lada wesołym uśmiechem pokonane, ale w niej zamieszkiwać i pokutować mogły. Maluje Krasiński te dzieje w innym liście, gdzie opowiada Reeve'owi, jak w zbroi i szyszaku bujał po salach pałacowych i wbiegał do pokoju kuzynki Amelii. Tam, widząc ją otoczoną, rozumną, uroczą, patrzył się jej w oczy, jak w tęczę i wspinał się myślami z całym napięciem, by nie być dzieckiem, by słuchać rozmowy starszych i dzielić ich wrażenia. Upajał się tem wszystkim i z pulsującą skronią, błyszczącymi oczami, oczarowany, rozmarzony, tracił niewinność serca. Jak wspomina, pił herbatę zaprawną rumem, on dziecko pośród dorosłych, dorwawszy się zakazanego owocu, i czynił to z rozmysłem, gdyż mu przyjemnem było coraz to więcej się egzaltować. „Dziwna mieszanina występku i bojaźliwości dziecięcej“—mówi o sobie—„Straciłem duszy połowę i zdrowie całej młodości“ (list z 21 listopada 1831, Genewa).

We śnie pełnym zdarzeń a nieustannie podsycanym trwał i widział wkoło siebie świat inny, nie rzeczywistość, dla tego, patrząc na rzeczy, oglądał li swoją fantazję, a mówiąc o nich, zmieniał kształty i barwy dawał im despotycznie, zamiast brać z nich wzory. Zbyt młody powziął już myśl stwarzania, a zbyt nieznający stwarzał na podobieństwo snów swoich i w słowach mąciła mu się rzeczywistość, jak Orციowi modlitwa, jak Hrabiemu Henrykowi wiara w siebie, gdyż do nich tak bardzo podobny, z własnego życia dramat układał.

I mógł-by sobie rzucić oskarżenie, które później zwrócił do Słowackiego, że w bańce własnych siedzi marzeń, gdyby nie przezwyciężył tej zdradliwej natury, największego swego nieprzyjaciela na ziemi. W boju ciężkim ją przemógł, ale nie wyniszczył do ostatka i, wyswobodziwszy myśl, nie potrafił pragnień zawsze wyswobodzić, umocniwszy wiarę, nie był w stanie gorączki uczuć zawsze w posłuszeństwie ujarzmić i męczennikiem swych porywów pozostał.

Taka prawda tej duszy była, a już we wczesnej dobie Krasiński poznał ją i osądził. Nie zaślepiony. Od chwili, gdy powiedział o sobie: jestem słabym i nierównym, poczyna się jego dzielność. Myśl czujna i przenikliwa idzie na walkę z dorywczem, gorączkowym myśleniem. Wówczas Krasiński odkrył ze siebie świat, na który dotąd patrzył się wpółsenmy. Według tej prawdy sądzić go i poznawać trzeba, a widząc, ile miał porywów i zniechęceń, nie brać ich treści za dojrzałą, ani za umocnioną, ale szaleństwu powiedzieć wraz z poetą: znam ciebie. I zdać sobie sprawę z tej prawdy musimy jasno. Dziwnem zaiste, że ten sam człowiek, który nieraz tak wrażliwym jest, tak nadmiernie czułym, żebyśmy skłonni byli słowa jego za chorobliwą poczytywać egzaltację, w dziełach widnieje, jako władzca myśli

silnej i pełnej stałości. Zarzucić można dziełom tym artystyczne błędy, przesadę słów, umęczony styl, ale uznać musimy, że służą myśli własnej z niezachwianą wiernością. Gdy między „Irydionem” a „Przedświtem” poeta szukał nowej drogi, filozofia ta zmienia się, przeto sens utworu jest inny, ale niema nigdy w Krasińskim, twórcy dzieł od „Nieboskiej”, niesforności pomysłów i przekonań. A w człowieku ileż namiętności, jaka walka ze sobą, jaki niepokój.

Siła, która rośnie w nim ciągle, a której imię poznawanie siebie, walczy z tą kardynalną słabością, aby ją mimo wszystkiego pokonać, a jeżeli przez żywot cały Krasiński równowagi zupełnej w sobie nie zaznał, w duchu dochodzi do panowania nad sobą, w dziełach do panowania nad myślami. Jest w tem ogromne arcydzieło trudu, gdyż na nieszczęście przypadło mu w udziale, że od młodości pierwiastku i czerpał i cierpiał bez miary. Lecz wyższy nad swe namiętności, nie uczynił ołtarzy dla szaleństwa własnego, ale je poznał i potępił. Dlatego poezji swej najżywotniejszą treścią uczynił doskonalenie się w duchu, rozwój ludzi i światów ku Bogu, wiecznie ludzką nieśmiertelność.

XIII

Niech nas nie dziwią przeciwieństwa; gdzież niema ich w życiu i gdzież w sercach spokój niezakłócony? A chłopiec ów, siłami ciała i wychowaniem słaby, obrócił oczy ku ziemi, na której nie było wesoła. Nie miał on wiosny jednej takiej w życiu, ozłoconej nadzieją, promiennej, by z niej na lata uśmiech szczęścia pozostał: nie pamiętał bohaterskiego czasu, gdy ów mąż, bóg wojny, zrównał w myśli ubóstwiających go rycerzy czyny i cuda, gdy wprzągłszy w rydwan orły złote obok srebrnych, stał się ich wiarą, nadzieją i miłością.

Napoleońskie dzieje przeszły jak piorunowa burza. Gdy wzrosło młode pokolenie po ojcach, którzy krwią poznaczyli wszystkie drogi Europy, pewni aż do szaleństwa, że przyszłość dzierżą w swych dłoniach; dzieci nie zobaczyły świetności, o jakiej sniły, jaką z ojcowskiej przędły chwały. Świat zalegał przed nimi szary, przycichły pobudki, orły się spać pokładły.

Dla synów tych, urodzonych po klęsce, świat musiał być, jak zimny wieczór po słonecznych łunach. Płomienne słowa zwycięstw

przejęte w serca paliły tę generację słabych i nieszczęśliwszych, a rzeczywistość kazała im czekać, lub podejmować zadania w pracy, ciemniżącej ideały. Wówczas serca te ozwały się skargą ogromną i nadmiar nieuspokojonej żądz, jak wulkaniczną lawę, wyrzuciły w pieśń. Poezya romantyczna zrodziła się z bólu, z rozpacz, z rozczarowania.

Jak przepysznie wypowiedział Musset w swych wyznaniach, co się w duszy owej młodzieży rodziło. „Szczęśliwi — wola — którzy wzrok w niebo utkwili i przeszli nad przepaścią. Ludzie zrzucili ze siebie świecidła, ale i świetności. Nie ludźmy się — powiada — ten czarny strój, który naszych czasów noszą, jest strasznym symbolem; by to się stało, musiały zbrojce odpadać blacha za blachą, a z wyszyć kwiaty strzępić się za kwiatami. Młodzież przygotowana do zapanictwa o rzeczy wielkie widziała, jak pospolitość zapanowała wszechwładnie i młodość ich zaczęła wątpić o wszystkim. Zwątpienie szło jak zaraza, z gangesowych topielisk wyrosła, a młodzi oddawali mu niezżyte siły rozmiłowania w rozpacz i goryczy“ (Confessions d'un enfant du siècle).

W takich lat dobie przyszedł na świat Krasiński, jak innych tyłu, przed walką zwyciężony. Nie dziw, jeżeli chłopiec o gorących myślach przejął się smutkiem życia więcej nad innych, gdyż czuł tak bardzo, „że coraz podłej na tej ziemi być.“ „Silniejszy wpływ miały, niż papa może myślał kiedy, silniejszy mówię wpływ na moje uszy dziecinne jego opowiadania, i opowiadania jego towarzysów broni!“... Tak spowiada się ojcu, prosząc o pozwolenie wyruszenia w pole walki do kraju. „Takiej chwały nabyć i tym samym sposobem, było zawsze życzeniem mego serca“ (list do ojca 18 września 1831, Genewa).

A kiedy ojciec, zahartowany w bitwach, bystry umysłem, ale nie czujący, ile smutku przejęła w siebie ta dusza, ile cienia na tej młodości zaległo, z szorstkim uśmiechem wojskowego wyrzucał synowi nadmiar egzaltacyi, Zygmunt Krasiński dziewiętnastoletni, a tak już świadom siebie, odpowiada tłumaczeniem, w którym żyją myśli „Nieboskiej Komedyi“:

„Co zaś się tyczy mojej egzaltacyi, na którą się gniewa, i z której się śmieje kochany papa, czasami muszę rękę położyć na sercu i wyrzec pokornym głosem: mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa. Ale niech sobie papa zważy, w jaki wiek i w pośród jakich okoliczności się dostałem, z silnemi namiętnościami, z wyobraźnią z ognia. Zaiście, jeżeli kiedy masy bywały uniesione egzaltacją w każdym względzie — to teraz inaczej być nie może, bo jużci temu, kto zważa, oczywistem jest, że szybko zbliża się upadek terażniejszego towarzy-

stwa europejskiego, że wszędzie równowaga zerwana, nadpsuta zgoda, nadwątlone posady i pod zasłoną zawichrzeń i nieładu coś nowego, nieznanego, o którym nie domyślamy się nawet, nsiłuje wyjść na wierzch i świat ten zagarnąć" (26 listopada 1831, Genewa).

Patrząc przed siebie wyteżonym wzrokiem, widzi jak fale biją o brzegi i pryskają na skałach, słyszy jęk i szum ich przeciągły. „Spieszą się ludzie"—wola—„ze swojemi pismami, mowami, systemami, niema dnia, żeby czegoś nie wysłędzili, nie odkryli, żeby starych gałganów nie uszyli w świeże chorągwie, pod któremi zwolenników cisną się tłumy... Poeci szaleją i nie dają odpocząć drukarzom... Filozofowie marzą o nowych zbawicielach świata... W Paryżu St. Symoniści mają nadzieję, że nową wiarą świat ten stary odmłodnią, a tymczasem młodzież w nic nie wierzy, upija się marzeniami rozgorzałej wyobraźni, i kiedy się zatacza nad brzegiem przepaści, w którą to całe pokolenie runąć musi, chlubi się, że nową drogę odkryła i spodziewa się na niej zwycięstw i chwały" (tamże).

W takim nastroju wieku przyszło mu wstąpić w podwoje życia. Młody, niezwykle wcześnie odczuł przygnębienie, ale je zrozumiał niezwykle jasno i prawdziwie. Zrozumiałszy zaś, powiedział sobie, że wiek ten jest wiekiem poświęceń i pokuty (list do ojca z 14 maja 1831) i mimo pokus czasu i stokroć gorszych pokus własnej niepowściągliwości, wiary nie stracił. „Los mój jest pełnym goryczy"—mówi ojcu— „ale w Bogu ufam, On omylić nie może, bo ma całą wieczność za wydział swej sprawiedliwości" (tamże).

I stał się poetą myśli—poetą wielkim. Jeżeli myśli tej nie zawsze rozumieją ludzie, to nie dla niejasności jej, ale dlatego, że do niej zwykle nie dorośli. Sam w swej twórczości rósł pojmovaniem i rozjaśniały się przed nim widnokreśli dalekie, na które my jeszcze spoglądamy z podziwem. Był gwałcicielem czasu możnym i w dziełach swych wieszczem.

Nieszczęsnym zaś przeto, że przewidywał. Wśród ostatnich słów, jakie do przyjaciela Anglika napisał, tak mówi o tym darze, cierpienie wnoszącym: „O szczęśliwe dzieci, którym niebiosy użyczyły magicznego daru nieprzewidywania. Przewidywać, to czuć pierwszym wszelką gorycz i straszność zgotowaną ludziom; przewidywać, to przejść przez piekło za życia. Szczęście nam ludzkie bole kryje, nieszczęście objawia wszystkie naraz. „Ja widzę je—widzę!" (29 grudnia 1837, Wiedeń).

Był także myśli niezamierającej. Cokolwiek bowiem posiadał i przekonaniem uczynił, z tego potrafił z siłą miłości stwarzać i z apostołską wytrwałością i żarem serca głosić. Obecą mu była wszelka gminność zawsze i wszędy, przeklętym trad nmysłowy, martwota woli,

dla tego wyznanie spokoju wieczystego, nirwany, wstrętnem i przeciwnem duchowi. Dla tego też nie zbratał się z filozofią poetów ciała, z panteizmem, gdyż w niej zasługi i trudu zbawczego nie widział. Wiary i przekonania umocnił w sobie w walce z myślą filozoficzną niemiecką. W listach z roku 1836 i 37, a więc w czasie, gdy wykończył i wydał „Irydiona“, wypowiada żywo zajęcie się pismami Okena, Schellinga, zarazem niepokój, w jaki wtrąciły go rozmyślania, przetrząsające krytycznie całą prawdę stworzenia.

„Do dyabła“ — pisze do Reeve'a — „oni mi Mefistofelesem byli, ja ich Faustem“ (Florencia, 6 marca 1836).

Zdjęty trwogą widzi, że w oczach rysuje mu się gmach z takim trudem wzniesiony i chwiejną wierzeje. Szedł bowiem myślą do wszystkich krańców i konsekwencyi — za rozumowaniem Niemców, i jak oni stanął na rozdrożu, pytając, czy śmierć wieczny spokój i nicość przynosi, czy też otwiera nowy żywot nieskończonej pracy, nieustających czynów. Cel koniecznym każdej czynności warunkiem, celem najwyższym szczęście. Jeżeli się celu dosięgnie, kończy się czyn, a więc nastaje nicość, jeżeli przeciwnie czyn nie ustaje i celu nigdy nie sięga, to wieczna praca, zatem wieczny trud i ból. „Oto dylemat, o który sobie głowę kiedyś rozbiję“, woła w niepokoju serca (tamże).

Ale, choć pogrążony w wątpliwościach, nie odrzucił wezwania, jakie mu przyniosła filozofia, i nie wybrał wygodnej wyższości, która wszystkie walki myśli płonnemi zowie, by sławić własną chęć i własną wolę. „Nie jest rzeczą poety“ — powiada — „szaty dla swej namiętności przykrawać — świat to przeciwnie czyni i życie praktyczne. Poezja uwalnia ludzi od żądz, i do światła, do wolności powołuje. Poeta powinien prawdę najwyższą symbolizować, filozof odnajdywać ją, a Bóg nią jest... i niema innej poezyi, jak ta, która owe trzy słowa zawiera: Bóg w człowieczeństwie“ (8 czerwca 1837 Kissingen).

W przerwie lat kilku między wydaniem „Irydiona“ a „Trzech Myśli“, borykał się z rozumowaniem systemów poznawanych, wazył je i wahał się wśród zastrzeżeń, niepewny, ale szukający, nie ustający w trudzie. Wyprowadził konsekwencye przeciwne tej silnej wierze w indywidualną nieśmiertelność, jaką ma w dobie Irydionowej, nie przyjął przecie nicości i niebytu w znaczeniu bezwiednej a wszechmocnej nirwany za prawdę i zastrzega się przeciw temu wyraźnie. — Śmierć spokojem jest, jednością i szczęściem, ale nie jest nicością! Śmierć, to życie w sobie — żywot to życie poza sobą, na zewnątrz. By żyć w sobie, trzeba osiągnąć pełnię ducha, spokój, dla tego nieskończoność ducha może wcale przestrzeni nie zajmować. Innemi słowa-

mi: żyć, a nie być—to śmierć—a być z jakimś ułamkiem życia—to bytować jeszcze na tym świecie (30-go kwietnia 1837 roku, Wiedeń).

Tę samą filozofię spotykamy w „Synu Cieniów“. Jest to dążenie do absolutu, do zlania się całkowitego stworzenia ze Stwórcą, w pełni ducha—myśl, która od Neoplatonczyków przechodziła przez systemy rozliczne i najwznioślejszem pojęciem była panteizmu, uświęciła bowiem przyszłość i w zespoleniu z Bogiem, nie w bezmiar zapomnienia i nicości, ale w najwyższą wiedzę spłynąć kazala duchowi i powoływała ludzi, by w coraz to wyższych duchowych przejawach „Wyrastali na Boga“.

Nie zatrzymał się przecie na tej wierze i panteizm przewalczył w sobie, w dalszym rozwoju, w którym August Cieszkowski był mu duchem przewodnim. Powrócił do wiary, że jak myśl, tak i byt wiecznym jest, gdyśmy go z Rąk Bożych otrzymali, i że śmierci nie masz, przerywającej byt na zawsze—jeno żywot wieczny, tj. nieskończoność czynu, która nie wyłącza szczęścia, ale owszem je mnoży, bo miłością jest cała.

Wówczas jeszcze bliżej zespolił się z duchem wielkiego męża Bożego, Apostoła Pawła, którego już teraz rozpamiętywać począł. Jedyną i prawdziwą żądzą nazwał miłość, a Boga miłością i powiedział, co już był wyznał Reeve'owi, że żądza uświęconą jest w sobie, gdy dąży do piękna i dobra, powiedział prawdę swojej duszy, tę prawdę wielką, którą Stwórca mówi w Prologu Fausta do Szatana, a którą Aniołowie wybawionemu bohaterowi Göthego, porównie jak Trydionowi, śpiewają (list z 10 lipca 1835 roku).

Manowce, na jakie zaszedł między latami „Trydiona“ a „Przedświ-tu“, nie były tyle odrętwieniem myśli, ile woli omdleniem. Były to czasy miłości ku pani Joannie i rozstroju uczuć religijnych, chwile, w których mógł zazdrościć pochylonemu w kościele Piotrowym polskiemu pielgrzymowi modlitwy, i wołać w duszy, widząc kłęzącego chłopca: „daj podobną ideę, a świat stworzę“. Blask krzyża z Kolizeum przygasł przez chwilę i nie świecił mu tak samo w arenie, jak przed laty, a gdy Krasiński patrzył na amfiteatr, zdawało mu się, że widzi zastępy gladyatorów, dzikie bestye w szrankach, tłumy widzów, a wszystko w zamieszaniu, w szalonym korowodzie wiruje, miasto przed krzyżem upadać w upokorzeniu.

Lecz silniejszym i niezłomnem uczuciem powrócił do dawnej drogi. Pięknem jest w rozwoju tego ducha, że wielbi w filozofii nie ciekawość umysłu jedynie, ale powołanie duszy, wyznając zawsze błąd popełniony, i nie wstydzi się powiadać swojej winy; a w myśli rozwoju ciekawem, jak wróciła i rozpoczęła znów od wcześniejszych

pojęć, dawnego szlaku, przejrzawszy, że droga gubi się gdzieś nad przepaściami. W roku 1837 był Krasiński w poczuciu „Syna Cieniów“, a dwa lata wcześniej napisał te słowa, tak do Psalmu Wiary zbliżone: „Czy wiesz, Henryku, w czym jest w jednym słowie poezya? To indywidualność człowieka przez wszystkie czasy, przez wszelką przestrzeń, pod wszelakim kształtem na ziemi i na gwiazdach. Poezja — to nieśmiertelności przeczucie i wspomnienie zarazem upłynionego żywota“ (Wiedeń, 31 grudnia 1835 roku). A nieśmiertelność, według niego, człowiekowi własną, niepodzielną, wraz prawem jest i żywotem, z Bożej łaski nadanym. Krasiński mówi Reeve'owi, że niczego nad nią nie przekłada, i w rok niespełna przed zawahaniem się w tej wierze, woła do przyjaciela: „Nienawidzę czary życia i śmierci, którą mi podaje Sziwa. Uważaj, że wszelka panteistyczna poezja nie może być niczem innym, jak tem, czem są bożyszczą indyjskie. Ogromne i potworne, straszliwe i przygniatające. Jest coś zwierzęcego w podobnej poezyi, ludzki punkt widzenia ginie, a wówczas, według mnie, poezja przestaje prawdziwą być i harmonijną... Albowiem w jednym słowie jeden w całym świecie temat poetycznym jest. A nie jest nim ani Bóg, ani przyroda — jest nim człowiek, człowiek, który działa z nieśmiertelnej indywidualności wśród przyrody i z Bogiem, lub przeciwko Bogu. Poezja opiera się na przeczuciu nieśmiertelności indywidualnej“ (Florenca, 25 lutego 1836 roku).

Żądzą miłości i poznawania piękna wprawdzie przewyciężył się i dobył z panteistycznej myśli ku wyższemu celom; absolut bowiem, który dusze dla swej jedynie stwarza duszy i rozsiewa po to, aby je w swoim świetle płomiennem znów kiedyś roztopić, nie jest miłością, jest potworną siłą. Stworzenie w miłości, to danie innym żywota, danie cząstki siebie, bez uszczerbku dla Boga, stworzenie na obraz i podobieństwo swoje.

Krzyż z Kolizeum zaświecił Krasińskiemu raz jeszcze, ale już na żywot cały godłem i znakiem rycerskim pozostał. Pojął moc jego lepiej i głębiej poeta, przeto, że myśli nigdy nie dozwolił wypocząć przy zebranych płonie, ani w sennie ciszy radować się, że już swe zadanie spełniła; nie pozwolił jej mówić, że wiary pragnieniami rozwijać nie można, i nie zamknął w okresie małych żądań i nieubłaganych przykazań. Wierzył, że prawda żywą jest i naszą, a poznawanie jej zasługą, że ku niej rosnać zaprawdę nam dano, że to jest prawem naszym i przyrodzeniem zarazem.

„Mniemam,“ — pisał do Reeve'a, — „że myśl niczem innym nie jest, jak pośrednią drogą między pierwotnem uczuciem, zaciemnionem jeszcze, a ostatniem, pełnem rozjaśnienia... I widzę tu wspaniałe prawo Opatrzności, która wreszcie udziela nagrody za wysiłki duszy,

poezyę daje rachunkom matematycznym, zwycięstwo trudom i długo-trwałej walce“ (Rzym, 19 grudnia 1837 roku).

W tej prawdzie stworzył Zygmunt Krasiński nietylko arcydzieła swe, lecz i życia zasługę. Jak myślami, tak trudem żywota, pracą ciężką nad sobą, wzniósł się do coraz wyższych, prostszych i przejrzystszych uczuć, a wzrastały mu z nich nowe pożądanja i zadania nowe, a razem nowe siły ku poznawaniu prawdy jak owoc rośnie szlachetniejszy i lepszy na drzewie, które czujny zaszczepił ogrodnik. I mógł, widząc w sobie nieustanne dorabianie się królestwa Bożego wśród cierpienia i trudu, przewidzieć dalszy wzrost, wieczne drogi ducha i powiedzieć:

Ciało i dusza, to tylko dwa skrzydła,
 Które mi czasu i przestrzeni siła
 Duch mój rozcina w postępowym locie;
 Gdy się zużyją przez chwil i prób krocie,
 Odpadać muszą, lecz on nie umiera.
 Choć to się śmiercią nazywa u ludzi,
 On zwiędłe zrzuca

ADAM KRASIŃSKI.

Kolonia polska w Berlinie.

I.

Zasadniczym rysem współczesnego wychodźstwa polskiego do Niemiec jest to, że emigracyę powoduje potrzeba zarobkowania i dążność do podwyższenia skali zarobkowej. Bez wątpienia stwierdzić-by można, że w większych miastach, jak Berlin, Drezno, Frankfurt nad Odrą, Szczecin, Magdeburg, Halla i t. d. już na początku tego stulecia istniały kolonie polskie, składające się z kilkudziesięciu, a nawet kilkuset rodzin: lecz istnienie i tworzenie się tych kolonii nie powstało na tle tego wielkiego ruchu zarobkowego, jaki obecnie decyduje o miejscu pobytu dziesiątków tysięcy ludności polskiej i z coraz zwiększającą się siłą kieruje wychodźstwo ze wschodnich prowincyi Prus na Zachód. W tem znaczeniu więc można twierdzić, że kolonie polskie w Niemczech są produktem przeważnie ostatnich dziesięcioleci dziewiętnastego stulecia, w żadnym zaś razie początki ich nie sięgają pierwszej połowy dziewiętnastego wieku. Spis ludności, uskuteczniiony w 1861 roku, nie wykazuje np. w Westfalii ani jednego Po-

laka, prowincye nadreńskie i Brandeburgia (z Berlinem) podług tejże statystyki liczyły po 16 Polaków. Są to cyfry naturalnie niezgodne z istotnym stanem rzeczy, dowodzą one jednak, że w żadnej miejscowości w wymienionych powyżej prowincjach nie istniały zarobkowe osady polskie w tych rozmiarach, aby wydawały się godne wyszczerzenia.

Zły stan rolnictwa w prowincjach polskich, niezdolne warunki polityczne, natomiast względna swoboda, a przedewszystkiem wysokie ceny gospodarstwa domowego w okręgach przemysłowych w głębi Niemiec, jak niemniej wzrastająca potrzeba robotników w niemieckim rolnictwie — te oto przyczyny wywołały masowe wychodźstwo Polaków z Poznańskiego, z Prus Zachodnich i Wschodnich na Zachód.

Okolo 1865 roku, jak widać z urzędowych opisów powiatów: Gnieźnieńskiego, Wyrzyskiego, Inowrocławskiego i innych, jedynie żydzi emigrowali do Ameryki. Tymczasem wkrótce potem, bo już w roku 1873, obwody Bydgoski i Kwidzyński pod względem wychodźstwa stanęły na pierwszym miejscu w całych Prusach. Pomiedzy rokiem 1872 a 1877 emigrowało z Prus wsch. i zach. 44681, z Poznańskiego 21525, ze Szląska 12146 ludzi. Liczby te znacznie się podniosły w miarę wzrostu potrzeb rolnictwa i przemysłu niemieckiego.

Główny żywioł, z pomiędzy którego rekrutują się wychodźcy, stanowią przeważnie robotnicy miejscy, komornicy i chałupnicy. Chłop na gospodarstwie osiadły rzadko opuszcza strony rodzinne. Emigrując, wychodźcy, zabierają z sobą zazwyczaj 100 — 200 mk. Są to pieniądze zaoszczędzone; spostrzeżono, że emigrują przeważnie włościanie inteligentni, pracowici i oszczędni, lecz bezrolni.

Rozwój wychodźstwa polskiego do Niemiec oparł się na podstawie wydanego w roku 1867 prawa o dowolnem przesiedlaniu się ludności w granicach państwa (*Gesetz über die Freizügigkeit*).

Do wzbudzenia ruchu wychodźczego w znacznej mierze przyczyniła się wojna prusko-francuska z r. 1871. Jak wiadomo, prawie wszyscy Polacy, służący w armii pruskiej czynnej, w rezerwie lub landwerze, brali bezpośredni udział w wojnie, a potem przez czas dłuższy przebywali we Francji, należąc do armii okupacyjnej. Znajdując się długo wśród społeczeństwa o wysokich potrzebach kulturalnych, przyzwyczaili się sami do wygodniejszych warunków życia. Powróciwszy do kraju, nie mogli już przywyknąć do umiarkowanej skali potrzeb sfer robotniczych i nie mogli zadowolnić się skalą zarobkową polskich prowincyi. Z tego powodu woleli się przenieść dalej na Zachód i w rozwijającym się przemyśle niemieckim

szukać lepszego zarobku, a wśród społeczeństwa niemieckiego — możliwości zaspokojenia swej rozszerzonej skali potrzeb.

Jak emigrację polskiej ludności rolniczej można powiązać przyczynowo z wzrostem niemieckiego rolnictwa, tak samo emigrację rzemieślniczo-wyrobniczą z miast prowincjonalnych polskich można przyczynowo powiązać z szybkim wzrostem miast pruskich, przede wszystkim zaś z wzrostem Berlina. Potężny wzrost Berlina po wojnie francuskiej uczynił z przeradzającej się na stolicę zjednoczonych Niemiec stolicy Prus główny punkt atrakcyjny dla polskiego ruchu wychodźczego.

Już w roku 1875 widzimy w Berlinie około 35 tysięcy mieszkańców, którzy wyemigrowali z prowincyi polskich, a mianowicie: 5622 z Prus Zach. i Wsch., 18748 z Poznańskiego, 6984 ze Szląska i około 3-eh tysięcy z Królestwa (Artur Dix, *Das Slaventum in Preussen*). Nie są to bez wątpienia wyłącznie Polacy, jakkolwiek statystycy niemieccy za takich ich chcą uznawać. Zapewne przynajmniej trzecią część należy uważać za Niemców pochodzenia polskiego i Niemców rodowitych, którzy wyemigrowali z prowincyi polskich.

Na pierwsze te objawy silnego ciężenia ludności polskiej w kierunku zachodnim składała się, jak się zdaje, przeważnie robotnicza ludność, wcale wówczas nie odporna wobec germanizacyi. Wnosić to wolno z tego, iż dziś — po upływie ćwierci wieku — ze świecą trzeba szukać wśród kolonii polskiej w Berlinie Polaka, który się osiedlił w r. 1875, jakkolwiek większość członków ówczesnej kolonii polskiej powinna-by się znajdować dziś w pełni męskiego wieku. Widocznie te tysiące, naliżone przez statystyków ówczesnych, już dawno wsiąkły bez śladu w obce społeczeństwo, nieznaczna część zaś, ci mianowicie, którzy zdołali się dorobić czegoś, nie tracąc przy tem swej narodowości, — dawno już powróciła do kraju.

Pomiędzy 1875 a 1880 rokiem wychodźstwo z prowincyi polskich do Berlina szybko wzrastało. Spis ludności z 1880 roku wykazuje w Berlinie 164½ tysięcy mieszkańców, przybyłych z Poznańskiego, Prus Zachodnich i Szląska. Następnny spis ludności (w r. 1885) w pełni wykazał doniosłość tego ruchu na Zachód. W samym Berlinie okazało się 244 tysiące mieszkańców, przybyłych z czterech prowincyi wschodnich monarchii pruskiej. Co najmniej połowy tych emigrantów dostarczyła ludność polska. Obok tego poddanych rosyjskich, przeważnie Polaków z Królestwa, oraz Niemców z nadbałtyckich prowincyi naliczono w Berlinie do 41 tysięcy.

Obecnie ma być około 50— 60 tysięcy Polaków zamieszkałych w Berlinie.

Z wyjątkiem może jednego Monachium, wszystkie kolonie polskie w miastach niemieckich posiadają wspólną cechę — nieproporcjonalność, istniejącą pomiędzy liczebnym stosunkiem inteligencji do ludności zarobkującej za pomocą pracy rąk, do proletaryatu. Fakt ten wynika stąd, że najprostszą ludność wiejską z prowincji polskich stanowi główny element napływowy. Berlin, zaopatrując prowincję w wyroby przemysłu, kierując handlem, dając jednym słowem pro lukty zróżniczkowanej pracy społecznej, czerpie z prowincji w zamian surowy materiał martwy i surowy materiał ludzki: prostego, niewykwalifikowanego robotnika, siłę mięśni.

Z drugiej strony wschodni pas cesarstwa niemieckiego, jako mniej rozwinięty przemysłowo od prowincji zachodnich, posiada ów surowy materiał ludzki, czerpie zaś z Zachodu wyroby przemysłu; wytwarza się w ten sposób niejako handel zamienny, w którym jedna strona daje produkt zróżniczkowanej pracy, druga płaci za to ludźmi.

Taką jest geneza ekonomiczna emigracji z Poznańskiego, z Prus zachodnich, a po części i ze Szląska do Berlina.

Dlatego też wśród wychodźstwa polskiego w Berlinie liczebnie najsilniej reprezentowana jest klasa ludzi, którzy, stając po raz pierwszy na bruku berlińskim, nie więcej z sobą nie przynoszą prócz silnych, muskularnych rąk i tęgich barów. Lecz właśnie takich potrzeba ludzkiemu mrowisku najbardziej i o takich właśnie starają się agenci w Poznańskim, w Prusach i na Szląsku, rozumując trafnie, że robotnik niewykształcony, nie mający nic, prócz prostej siły pociągowej zwierzęcia, wychowany na wsi, najmniejsze będzie miał wymagania.

Spotykamy więc w Berlinie tysiące Polaków, zatrudnionych przy budowie domów, jako poławacze cegieł, w rozmaitych zakładach ekspedycyjnych, jako tragarze; widzimy ich w zimie wśród armii bezdomnych, których jedynym zajęciem jest zamykanie ulic ze śniegu i oczyszczanie ich z błota; oni-to kręcą koła rozpedowe u maszyn nie poruszanych motorem; oni pomagają wylądowywać i naładowywać roje berlinek, kręcących się po Sprei; spotkać ich można pomiędzy układającymi brak lub rury wodociągowe na ulicach kompaniami robotników; spotkać ich można przy najprostszych czynnościach w fabrykach.

Gdy z wiosną zaczyna się rozwijać gorączka budowlana, i jak grzyby po deszczu, wyrastają całemi dziesiątkami nowe budynki mieszkalne, fabryki i gmachy w niezabudowanych jeszcze dzielnicach Berlina, wtedy też roi się w tych miejscach nasz prosty lud roboczy, zaprzęgnięty zazwyczaj do najcięższych czynności, znosząc cegły, mieszając wapno, zwożąc piasek. Wtedy też aż zdaleka zalatuje

przechodnia gwar mowy polskiej, pokaleczonej nieuchronnemi germanizacjami, ale jędrnej, jak tryskające zdrowiem postacie, przeniesione żywcem z otoczenia wiejskiego do nowożytnego Babilonu. I nie dziwnego, że ich tu tak dużo: bo w kraju coraz bardziej brak robotnika na roli. Mocą wyobraźni widzieć niejako można jakby pojedyncze strumyki, płynące z najodleglejszych prowincyi polskich, aby złączyć się razem i jakby ławicą ludzi płynąć do stolicy Niemiec.

Przypływa więc tutaj ten materiał ludzki, obdarzony niezmierną zdolnością poddawania się wszelkim prądom i wehłaniania wszelkich wpływów, złych, czy dobrych: czysta to tablica, na której warunki życia mają dopiero napisać, czem ci ludzie będą: czy pożytecznymi obywatelami, czy też szumowinami milionowej stolicy.

Warunki te układają się w dwojakim kierunku: po pierwsze, wyściskając stempel germanizacyi na niezahartowanych i niezdolnych do oporu przeciętnych jednostkach; powtóre, smagając ich nielitościwie prawdziwym biczem Bożym — brakiem pracy. A jak różnorodne motywy powodują opuszczenie kraju i przeniesienie do Berlina tych tysięcy ludności polskiej, tak różnorodne pochodzeniem, wykształceniem, dawną towarzyską pozycją rodzaje wychodźców polskich cierpią pod brzemieniem wspólnego wroga: braku pracy.

Tu podpadły szlachcic, — dziś zbieracz ogłoszeń do obskurnego jakiegoś, straganiarskiego pisemka — ociera się o rzemieślnika polskiego, który się dorobił grosza na obczyźnie, choć przyszedł do Berlina bez butów; tam pozbawiony pracy robotnik prosi o pieniądze na powrót do kraju — młodego panka, w którym poznał rodaka po pełnym rozmachu sposobie wydawania pieniędzy.

Słowo „Polak“ w Berlinie zawiera też pozornie tyle pojęć sprzecznych, a jednak zgodnych z prawdą, że trudno z tych pojedynczych rysów złożyć jakiś typ ogólny. Zależy to zupełnie od miejsca i sfery towarzyskiej, czy słowo „Polak“ służyć ma za rekomendacyę, czy też wywołuje nieprzychylnę uprzedzenie. Przejdźmy się po tych dzielnicach Berlina, gdzie mieszka ludność zarobkująca z dnia na dzień. Tam najniżej stoją papiery nasze. Tam z leżącego w rynsztoku pijaka wyśmiewają się ulicznicy, wołając: „oller Polla ke; tam narodowość polska uważana jest w praktyce za „minder wertige Nation“, nie dlatego, żeby Polak miał gorzej pracować od innych, ale dlatego, że łatwiej go oszukać, na dudka wystrychnąć. Tam bieda polska bardziej jest łatwowierna, trudniej się orientuje w położeniu, a w niezaradności swej jest komiczną. Nie umie kołatać mocno, gdzie potrzeba, pół godziny stoi ze drzeniem przed drzwiami pracodawcy, zanim zdecyduje się zadzwonić, a łączy porywy do pracy z popędami do próżniactwa i życia kosztem drugich.

Na każdym kroku niemal odczuć można, że wychodźcom brak najelementarniejszych wiadomości praktycznych co do sposobu oryentowania się w wielkiem mieście, ale że brak im również poczucia narodowości: dlatego brak pracy i germanizacya dziesiątkuje wychodźstwo polskie w Berlinie — pierwsza, spychając całe masy do szeregów ludzi wykolejonych, druga — przetwarzając ich w Niemców.

W kraju, niestety, dotychczas za mało się troszczą o narodowe wychowanie emigrantów naszych. Chłop lub robotnik w kraju dotychczas jest zanadto pozostawiony samemu sobie pod względem narodowym: gazet polskich czyta za mało; zamilowania do książek nie zdołano w nim wystarczająco rozbudzić; pojęcia narodowości miesza z pojęciem wyznania; nie posiada pojęcia o przeszłości i terażniejszości narodu, a wskutek tego nie ma należytego pojęcia o obowiązkach obywatelskich. Wykształcenie polityczne i to „budzenie świadomości narodowej“, jakie dziś jest we zwyczajach w Poznańskim i w Prusach Zachodnich, do pewnego stopnia może wystarczyć dla kraju, lecz nie dla emigracyi, a to dlatego, że w kraju rozbudza się narodowość przede wszystkim u wyborców, a więc u ludzi, którzy już zbliżają się do trzydziestki. Natomiast doświadczenie wykazuje, że wychodzą z kraju na obczyznę młodzi ludzie, w wieku około dwudziestu lat. Ci idą na emigracyę jak jakie dzieci, zanim zapoznali się z gazetami polskimi, a gdy im zaczyna brakować opieki „dobrodzieja“ — t. j. księdza proboszcza, który zachęcał ich do wstępowania do towarzystw polskich, — to całe ich poczucie narodowe gdzieś znika. I potrzeba dopiero ciężkich trudów, aby na obczyźnie w niektórych z nich obudzić to poczucie.

Gdyby więc nie to, że kraj za mało dba o opuszczającą strony rodzinne młodzież, germanizacya nie czyniła-by wśród wychodźców takich postępów, jakie czyni. nie napotyając żadnego prawie oporu. W Berlinie też tej tylko okoliczności przypisać należy masową germanizacyę, że emigrująca z kraju młodzież nie przynosi żadnych prawie zasobów poczucia narodowego.

Nie nazywając danego towarzystwa po imieniu, zaznaczymy tu tylko, że istnieje w Berlinie bardzo liczne i bogate towarzystwo „katolicko-niemieckie“, które bodaj czy nie w większej części składa się z Polaków. Na zebraniach tego towarzystwa, stojącego pod opieką miejscowego duchowieństwa niemieckiego, nikt słowa polskiego nie usłyszy, a te setki wychodźców naszych, które się tam germanizują, pozostają w przekonaniu, że zdóżnego nic nie czynią, bo przecież to jest towarzystwo katolickie — a więc „swoje“.

Powyżej daliśmy wyraz zapatrywaniu, że liczba Polaków w Berlinie dochodzi do 60 tysięcy. Przypuszczalne to obliczenie opiera

się przedewszystkiem na znacznej liczbie tych niewykwalifikowanych w żadnym zawodzie prostych robotników, którzy rocznie tysiącami przybywają do Berlina. Jednakże jest to bardzo wątpliwe, o ile tych ludzi bez zastrzeżeń zaliczać można do Polaków, ponieważ niesłychanie szybko tracą poczucie swej narodowości. Poczucie to nie było w nich nigdy zupełnie świadome, a opierało się przeważnie na wpływie otoczenia w kraju, na mowie i na wyznaniu. Szkoła pruska nie nauczyła ich niemieckiego, po polsku czytać się nie nauczyli sami, więc i gazeta do nich nie trafi. W obcym otoczeniu, wyjęci z pod wpływów swego dusz pasterza, niedostępni dla drukowanego polskiego słowa, — zapominają, czem byli, nie wiedzą czem są; język ich — to dziwna mieszanina słów polskich i zdań niemieckich; ich święto — to dzień tygodniowej wypłaty, ich nabożeństwo to możność wyspania się przez dzień cały. Nie trafi do nich żadna odezwa jakiegось polskiego towarzystwa, zresztą celu zachowania narodowości nie pojmują; ponieważ większość przebywa niezwiązana żadnymi węzłami rodzinnymi, a więc żenią się z czasem naturalnie z Niemkami, a wtedy germanizują się zupełnie. Inni znów dostają się do organizacyi robotniczych partyjnych, w szeregi „rother Internationale“, która też germanizuje, choć w inny sposób.

„Dziennik Berliński“ w najlepszych swych czasach liczył do 1200 prenumeratorów, a na powszechne zgromadzenia (wiece) polskie przybywało około 2000 Polaków. Liczby te pozwalają mniemać, że około 5 tysięcy Polaków w Berlinie uznaje potrzebę organizacyi, potrzebę przeciwdziałania germanizacyi dobrowolnej za pomocą abonowania gazet polskich i przybywania na wiece. Liczymy drugie 5 tysięcy członków rodzin tych powyżej wymienionych, jakkolwiek przynajmniej połowa jest bez rodzin, a ci, co je mają, z rodziną przychodzą na wiece i zebrania towarzystw. Będzie więc 10 tysięcy. Dodajmy drugie tyle na Polaków, którzy się nie wynarodowili, choć do organizacyi nie należą i z nią styczności nie mają. Będzie więc 20 tysięcy w najlepszym razie, — a gdzież pozostająca reszta do 60 tysięcy? gdyż tyle powinno być istotnie, jeśli wnosić z rozmiarów emigracyi z kraju

Ta reszta — to owe tysiące prostych robotników, o których mówiliśmy powyżej; na wiec nie przychodzą, bo dowiedzieć się o nim mogli-by albo z gazety, której nie czytają, albo na zebraniu towarzystwa do którego nie należą; gazety nie czytają, bo nie byli na wiecu, o jej istnieniu nie wiedzą, czytać nie są w możności; — i towarzystw nie znają, bo tylko za pośrednictwem gazety, znajomych, lub wiecu wciągnięci do nich być mogli: słowem stoją poza obrębem jakiegokolwiek życia polskiego, są izolowani. I dlatego to właśnie na pierwszy rzut oka ta zorganizowana część polskiej

kolonii, te 5 tysięcy, te towarzystwa, wiece, zebrania wydają się nam całą kolonią polską, są zaś tylko jej jądrem: na prawdę tysiące nikną gdzieś w cieniu, pochłaniane bez odgłosu walki, bez oporu i bez śladu przez tryby stołecznego wielkiego miasta, które tysiąc po tysiącu przerabia na swą krew i nerwy i woła wciąż: więcej!

II.

Z jakich żywiołów składa się zorganizowana część kolonii polskiej w Berlinie?

Najprzód z robotników fabrycznych o pewnych kwalifikacjach zawodowych, które ich różnią od prostych robotników, o pewnej kulturze zachodniej i rodzimej; następnie z rzemieślników, którzy już z „gotowym fachem“ w ręku przyszli do Berlina, aby znaleźć dogodniejsze warunki bytu, a którzy, choć w kraju może na własną rękę pracowali, tu pracują dla hurtownych odbiorców, są więc też niejako robotnikami: dalej wypada wymienić już jako osobną warstwę — rzemieślników, którzy prowadzą samodzielnie przedsiębiorstwa w zakresie swego zawodu (nazywają się oni tu — jak i w Poznańskiem — „przemysłowcami“); wreszcie — kupców i wogóle w zawodzie handlowym pracujące osoby. Dwie ostatnie wymienione warstwy objąć można jedną nazwą — dorabiającej się klasy mieszczańskiej.

Pośród wykwalifikowanych robotników fabrycznych widzimy jednostki, które zdołały, dzięki wypadkom i swym zdolnościom, wybić się z pośród szarej masy prostych robotników, o jakich była mowa poprzednio. Drobni rzemieślnicy, jak ślusarze, szewcy, stolarze, krawcy i t. d., nie będąc w stanie utrzymać się o własnych siłach w Poznańskiem, idą do Berlina, aby podłać się zależności u wielkich hurtownych odbiorców i kapitalistów; gdy im szczęście dopisze, uciulanym groszem zakładają na własną rękę przedsiębiorstwo i stają się „przemysłowcami“. To samo rzec można o kupcach, którzy przyjeżdżają do Berlina w charakterze subjektów handlowych, aby z czasem założyć przedsiębiorstwa własne.

Organizacja przyjęła się u powyżej wyszczególnionych warstw dlatego pomyślnie, że usiłowania jednostek, do tego celu zmierzające, natrafiły już na pewien podatny grunt.

W klasie wykwalifikowanych robotników fabrycznych i w klasie rzemieślników spotykamy bardzo często objawy bezgranicznego przywiązania do kraju, objawy, z których pierwszym i najsilniejszym jest chęć dorobienia się zamożności i powrotu do kraju. Zresztą nierzadko widzimy w tej właśnie klasie ludzi, którzy połowę swego zarobku odsyłają pozostałej w kraju rodzinie, aby np. oczyścić z długów swą ojcowiznę.

Małżeństwa mieszane w tych sferach są rzadkie i uchodzą za zbrodnię przeciw narodowości. Żądza oświaty jest wielka i w dwojakim kierunku się ujawnia: po pierwsze, jako chęć poznania dziejów swego narodu, dążenie do przejęcia się rodzimą kulturą; a powtóre, jako dążenie do zapoznania się z kulturą zachodu.

Ułatwienie pracy w pierwszym z wymienionych powyżej kierunków, obrona przeciw germanizacyi, jest celem, który sobie wytknęły istniejące w Berlinie towarzystwa polskie.

Koloniję polską w Berlinie podzieliliśmy na część zorganizowaną w towarzystwa, uczęszczającą na wiece, czytającą gazety — i część, wprawdzie o wiele silniejszą, ale masowo zatracającą narodowy charakter. Ta pierwsza część — zorganizowana — stanowi koloniję polską w ścisłym znaczeniu.

Tworzenie się wśród wychodźców tej organizacyi, której pierwszym objawem są towarzystwa, jest socyologicznie nader ciekawe. Niezawsze pierwszy impuls do zakładania towarzystw wychodzi z zewnątrz, od inteligencyi, starającej się w ten sposób rozbudzać narodowy charakter. bardzo często proces ten dokonywał się zupełnie samodzielnie, co tembardziej zasługuje na uwagę, że kolonie zarobkowe polskie w Niemczech najczęściej wcale nie mają nikogo ze sfer inteligentnych, ktoby dbał o utrzymanie w nich narodowości; niema tych różnorodnych wieców, towarzystw, kółek i banków — jednym słowem tego wszystkiego, co w kraju jest wyrazem wspólności pracy, co w kraju łączy jednostkę ze społeczeństwem, budzi w niej poczucie narodowe i samowiedzę. Zamiast tego przeciętny wychodźca na obczyźnie spotyka się odrazu z wpływami obcego otoczenia, rozciągającemi się na wszystkie pola, a pod względem narodowości pozostawiony jest zupełnie własnym siłom. Szczęście jeszcze, jeśli utrzymuje stosunki z rodziną przez listy, stosunki zaś ze społeczeństwem przez czytanie jakiej gazety polskiej; a w większości wypadków jedno i drugie nie towarzyszy mu w pierwszych latach pobytu wśród obcych. Aż oto po latach kilku, gdy gromadka Polaków przebywająca w jednej miejscowości, odcięta przez długi czas od pnia rodzinnego, wydaje się już prawie zupełnie zgermanizowaną, — nagle, bez zewnętrznych i do-

tykałych przyczyn pojawi się wśród niej jakby powiew świeży, zwiastujący narodowe odrodzenie.

I staje się rzecz dziwna: bo jak z niezgrabnej, bezkształtnej poczwarki wyłania się piękny motyl, tak z szeregu tych zubożałych dla swego społeczeństwa osobistości, które zewnątrz już zupełnie przejęły się kulturą obcego narodu, odzywa się złote polskie serce, poczciwe przywiązanie do narodowości, gotowość służenia sprawie wszelkimi siłami. Niejeden już źle zaczął mówić po polsku, nie zważał na wychowanie dzieci, gazet polskich nie trzymał—a jednak, eadem jakims, utrzymał nienaruszone przywiązanie do kraju, które nagle się budzi z uspienia. Nadchodzi chwila—i te serca się budzą. Tworzą się pierwsze zawiązki towarzystw. Dzieje się to z początku raczej bezwiednie, niż świadomie. Ci ludzie na razie nie wiedzą, jak powinni się zabrać do dzieła, ale czują, że należy założyć towarzystwo, zbierać się co tydzień i wysłuchać jakiejś przemowy lub odczytu, nie tyle oświecającego umysł, ile umacniającego ducha, pokrzepiającego serce. Dlatego też najczęściej napotykanym odczytem jest odczyt na temat: „O potrzebie łączenia się w towarzystwach“.

Wychodźcy czują, że jak pierwszą odruchową czynnością człowieka budzącego się jest przetarcie sobie oczu, tak u nich pierwszym czynem powinno być założenie sobie towarzystwa, ugrupowanie się około jednego sztandaru i wytworzenie wspólnego ogniska pracy. Około tego ogniska gromadzą się siły, ku niemu dążą wysiłki ludzi dobrej woli. Po pierwszych udatnych próbach zawiązywania towarzystw następuje normalna ich działalność: odczyty budzące ducha, zakładanie bibliotek, regularne czytanie gazet, wreszcie wiece, jako manifestacje myśli politycznej i samodzielne jej objawy, spowodowane bieżącymi wypadkami politycznymi.

Taką drogą powolnego, lecz stałego rozwoju posuwała się kolonia polska w Berlinie i kolonie polskie w prowincjach nadreńskich. Szybciej i silniej rozwinąć się w nich mogło życie narodowe, bo są one i liczniejsze, i bardziej ożywione. Kolonie polskie w Lipsku, w Dreźnie, w Hamburgu i we Wrocławiu znajdują się obecnie w zaraniu tego rozwoju. Byt towarzystw jeszcze nie zupełnie ustalony, działalność ich niezupełnie wytknięta.

W małych fabrycznych osadach, gdzie zatrudniona choćby w mniejszej części ludność robotnicza polska stale się spotyka i komunikuje z sobą, dzięki warunkom pracy, lokalizującym całą kolonię w jednej grupie—założenie towarzystwa jest stosunkowo łatwą rzeczą; w wielkich zaś miastach, pomimo bez porównania większej liczby wychodźców, trudniej jest skojarzyć się do wspólnej pracy, z powodu przestrzeniowego rozstrzelania i rozbicia całej kolonii niejako na ato-

my. W małej osadzie kilkutyśięczna kolonia polska mniej się germanizuje, niż kilkudziesięciotysięczna w Berlinie, Wrocławiu i t. d.

Założenie towarzystwa polskiego w mieście niemieckiem jest dla kolonii naturalnie pierwszym nader doniosłym krokiem, ale jeszcze nie świadczy o zupełnem rozbudzeniu narodowości, początkowo bowiem prawie wszystkie towarzystwa noszą charakter wyłącznie religijny. I po dziś dzień nawet, po długim szeregu zupełnie świadomie podejmowanych usiłowań w celu nadania charakteru narodowego, strona religijna tu i owdzie rozwija się z uszczerbkiem narodowej.

I w Berlinie znaczna część polskich towarzystw nosi wybitnie religijny charakter; zazwyczaj nie wynika on jednak z istotnej, głębokiej religijności, lecz raczej stąd, że członkowie towarzystw są w stanie czuć i rozumieć tylko zewnętrzną, obrzędową stronę religijną uczucia, a nie mają zrozumienia i poczucia swych spraw narodowych. Jest to oczywiście wynikiem wychowania, jakie odebrali w kraju.

Tam czuwano nad ich religijnością, ale nie nauczono ich rozważać i pojmować spraw społecznych i narodowych. Znajdując się na obczyźnie, uważają się oni za Polaków, ale istotne poczucie narodowości rozwija się u nich dopiero w razie sprzyjających okoliczności. Przed pięciu laty jeszcze berliński organ polski stwierdził, że w wielu towarzystwach można było napotkać rozmaite zwyczaje kongregacyi wyłącznie religijnych, i kreślił taki oto obrazek posiedzenia jednego z towarzystw:

„W lokalu knajpiarskim zasiedli członkowie. Ten i ów pali cygaro, lub papieros. Przed zebranymi stoją szklanki z piwem, lub innemi napojami. Przed osobami, składającemi prezydyum, stoi obok kufli krzyż, przy świętościach religijnych palą się świece. Jednem słowem, towarzystwo robi sobie ołtarzyk w knajpie, przy napojach i paleniu.

„Przy takim zaimprovizowanym ołtarzyku, wśród dymu tytoniowego i trącania się kufłami, bywają czytane św. ewangelie i rozlegają się chórem dźwięki pobożnych pieśni...“

Dzisiaj co prawda już coraz mniej znaleźć można w Berlinie takich towarzystw, których jedyną treścią posiedzeń była-by obrzędowa strona religijna. Na porządku dziennym posiedzeń zaczynają się pojawiać odczyty, nieraz historycznej treści, a pobożne kantyczki ustępują miejsca żywej dyskusyi nad potrzebami emigracyi.

I tem się różnią właśnie towarzystwa, które powstały bez inicjatywy z zewnątrz, od tych, które zawdzięczają swój byt inicjatywie narodowo rozbudzonych jednostek: pierwsze, zanim się staną organizacyą, świadomie przeciwdziałającą germanizacyi, przebyć muszą fazę „religijną“, drugie zaś odrazu w wytkniętym kierunku pracują.

Jako przykład tego drugiego typu towarzystw, przytoczyć można powstałe w Schoenebergu (pod Berlinem) „tow. katol. robotników polskich“, którego sprawozdanie z r. 1893 zawiera następujący charakterystyczny ustęp, dotyczący jego powstania:

„W Berlinie i okolicy na tysiące się liczy robotników polskich, którzy mało, lub wcale nie dawali znaku życia, jako synowie jednego narodu. To się bowiem stać może tylko za pomocą łączności w towarzystwach.

„Otóż przed niedawnym czasem kilku ludzi dla sprawy polskiej dobrze myślących powzięło myśl zakładania towarzystw dla robotników polskich, aby takowi łącząc się w nie, jako Polacy, utwierdzali się w swej wierze i narodowości, i poznawszy swój cel, jako Polacy, tem więcej pracowali, jako klasa najliczniejsza, wraz z innemi polskimi stanami, ku obronie przed zagładą naszej narodowości, na którą prąd germanizacyjny z całą gwałtownością działa“.

Obecnie prawie wszystkie istniejące w Berlinie towarzystwa polskie należą do tego drugiego typu, scharakteryzowanego w powyższych słowach.

Ogółem istnieje w Berlinie około 30 towarzystw *), a mianowicie:

„Tow. Kupców Polaków.“

„Tow. przemysłowców polskich.“

„Tow. Obywateli Polskich“.

„Tow. Katol. Robotników Polskich“.

„Tow. Stella“.

„Tow. przemysłowe: Piast“.

„Tow. Polskich Piekarzy“.

„Tow. Polsko-Katolickie pod opieką św. Kazimierza“.

„Tow. Polsko-Katolickie“.

„Tow. Wulkan“.

„Tow. polsko-kat. na północy“.

„Tow. polsko-kat. robotników pod op. św. Józefa“.

„Tow. Narodowe Wzajemnej Pomocy“.

„Akademickie „Tow. Naukowe Polaków w Berlinie“.

„Tow. Polskich Obywatelek“.

„Tow. Polek pod op. św. Józefa“.

„Tow. Polek Wanda“.

*) Istnieją w Berlinie towarzystwa, nie należące do ogólnego „Komitetu towarzystw polskich w Berlinie“, których tworzenia się lub zanikania nie można, stwierdzić.

„Tow. Polek wzaj. pomocy p. op. św. Józefa“.

„Tow. Polek“.

„Tow. Polek Gwiazda“.

Śpiewackich towarzystw jest 3. Największe z nich, powstałe przez połączenie rozmaitych chórów, istniejących oddzielnie przy towarzystwach, jest: „Harmonia“. Dalej jest: „T-wo śpiewu polskiego“ i „T-wo śpiewu kościelnego św. Cecylii“.

Gimnastyczne towarzystwo jest jedno: „Sokół“.

Niezależnie od tego istnieje kilka towarzystw filantropijnych.

Jest towarzystwo „Przytulisko“, które udziela bezpłatnie schronienia przez 3 doby. Korzystają z niego najczęściej powracający o suchym chlebie do kraju biedacy, niekoniecznie z Berlina. Istnieje też stowarzyszenie „Miłosierdzia św. Wincentego à Paulo“. Członkowie stowarzyszenia tego wyszukują istotną biedę i rozdają zapomogi. Zapomóg tych udziela zazwyczaj towarzystwo przez czas dłuższy jednej i tej samej rodzinie zazwyczaj w postaci „bonów“ na chleb, mąkę lub mięso. System tych „bonów“, czyli kwitków, za których okazaniem otrzymuje się oznaczony na kwitku towar, utrzymał się, pomimo różnych niedogodności, dlatego, że wyłącza zakup alkoholycznych napojów.

Zupełnie na uboczu życia kolonii polskiej w Berlinie stoi grupa socjalnych demokratów. Nieliczna ich garstka jest ową „bête noire“, którą się pomawia—i nie bez słuszności—o chęć rozbicia kolonii polskiej i zniweczenia wszelkich dodatnich wyników jej pracy.

Dotychczasowe usiłowania tej grupy spelzły na niczem, głównie dzięki stanowisku, jakie niemieckie stronnictwo tej barwy zajęło wobec sprawy polskiej w Niemczech. Stronnictwo to oświadczyło się (zdaje się na zjeździe w Rybniku w r. 1897), prawie że z sympatjami dla systemu germanizacyjnego, a tem samem podcięło i uniemożliwiło propagandę wśród polskiego społeczeństwa. To też przedstawiciele doktryny tej wśród kolonii polskiej w Berlinie, gdzie hasło walki z germanizacją rozbrzmiewa nawet donośniej, niż w samym Poznaniu, nie mają żadnego praktycznego znaczenia, chyba teoretyczne, jako reprezentanci pewnego dziś w Niemczech bardzo silnego odłamu politycznego.

I poza obrębem Berlina są w pobliżu polskie towarzystwa. W bratnim Charlottenburgu jest „Tow. kat. robot. polskich: Braterstwo“, „Tow. gimnastyczne Sokół“, „Koło śpiewaków polskich“, oraz „Bezpłatna biblioteka polska“.

Na przedmieściach Berlina:

W Rixdorfie: „Tow. robotników polskich w Rixdorfie“.

W Weissensee: „Tow. polsko-katolickie św. Stanisława“.

W Schoenebergu: „Tow. kat. robotników polskich“.

W Kalkberge-Rüdersdorf: „Tow. kat. robot. polskich“.

W Königs-Wusterhausen: „Tow. budow. kościoła kat.“

Sama liczba towarzystw polskich wskazuje, że przyczyną ich zakładania były lokalne potrzeby danych dzielnic Berlina, lub jego przedmieść.

Nie ulega jednak wątpliwości, że był czas, gdy w tworzeniu się towarzystw polskich w Berlinie zauważyć było można pewną nadprodukcję. Przypisać ją można osobistym wpływom rozmaitych osób, chcących piastować urząd prezesów. W ciągu ostatniego dziesięciolecia dużo towarzystw znikło wskutek braku żywotności. Było np. „Tow. młodzieży jagiellońskiej“, „Dziewica polska“, „Polsko-dramatyczne towarzystwo“ i t. d., dziś już nieistniejące. Inne towarzystwa złączyły się w jedno: tak stało się np. z towarzystwem „Wulkan“ i towarzystwem „Orzeł“.

W ostatniem dziesięcioleciu dokonywał się w towarzystwach polskich wewnętrzny rozwój, którego śladów nie dopatrzymy się nieraz wprawdzie w liczbie członków, ale odnajdziemy je zato w liczbie książek w bibliotece i w szeregu odczytów. Dziesięć lat temu wszystkie prawie towarzystwa miały religijny charakter, a odczyty „świeckie“ były rzadkością. Dziś jest inaczej.

Towarzystwo „Obywateli“ liczyło w r. 1893 34 członków, miało w bibliotece 130 dzieł. Dziś liczy członków 92, ma zaś w bibliotece 340 dzieł. „Piekarze“ mieli w tymże roku 74 członków; dziś mają 120, własny lokal posiedzeń, dużo pism fachowych, zasobną bibliotekę i kilkaset marek oszczędności w kasie. W równej mierze rozwinęły się i inne towarzystwa polskie. Prawie we wszystkich posiedzenia odbywają się co tydzień, a przynajmniej co drugie posiedzenie są jakieś poważne odczyty, po nich zaś dyskusya. W braku odczytów oryginalnych, którykolwiek z członków towarzystwa odczytuje artykuły z gazet i rozpoczyna dyskusję.

Polacy, którzy, bawiąc przejazdem w Berlinie, chcą zapoznać się nieco z życiem berlińskiej kolonii polskiej, dostają się zazwyczaj na jedno lub dwa posiedzenia miejscowych towarzystw polskich. Takie przelotne zapoznanie się z działalnością towarzystw wystarczy, aby w najogólniejszych zarysach przyjrzeć się warunkom, wśród których rozwija się berlińska kolonia polska. Niejeden co prawda z gości z Królestwa lub z Galicyi doznaje niejakiego rozczarowania, gdy, udając się np. na posiedzenie „Towarzystwa przemysłowców“ i spodziewając się, że znajdzie tam pokaźną liczbę bogatych, a przynajmniej zamożnych fabrykantów, inżynierów i techników—słowem inte-

ligencyę, oddaną przemysłowi, — znajduje zamiast tego grono walczących z biedą, po większej części nawet nie samodzielnych pod względem ekonomicznym rękodzielników wszelkich zawodów. Lecz zato ileż to już gości, którzy w przelocie bawili w Berlinie, opuszczając posiedzenie takich towarzystw z dużym wewnętrznym zadowoleniem, każdy bowiem, słysząc wygłoszony odczyt i przysłuchując się dyskusji zgromadzonych rzemieślników, odnieść musi wrażenie, że ci ludzie pod wielu względami wyżej stoją od przeciętnego rzemieślnika w kraju i że reprezentują, czy też reprezentować będą, pewien dodatni czynnik w rozwoju społecznym.

Towarzystwa berlińskie — to nie korporacye, mające na celu pielęgnowanie znajomości literatury, sztuki, lub wykwintnej zabawy towarzyskiej; większość członków towarzystw polskich w Berlinie składa się z drobnych rzemieślników i przemysłowców, którym towarzystwo przedewszystkiem dostarczyć ma zaspokojenia potrzeb duchowych, nie zaś przysmaków literackich i artystycznych. Popularny odczyt z historii ojczystej, pogadanka przystępna z przyrodoznawstwa, a nadewszystko wyraziste a jędrne upomnienie o pielęgnowaniu języka i ideałów narodowych — oto najpożądany pokarm duchowy tej drużyny. Cięższego lub wybredniejszego duchowego pokarmu ona ani żąda, ani nie strawi.

Jasnym jest, że tego rodzaju potrzeby towarzystw polskich w Berlinie wymagają wyczerpującej pracy jednostek, pracy bezinteresownej, a często z wielu względów niewdzięcznej.

Jednostek tych jest niewiele, ale tylko dzięki tym jednostkom, zdającym sobie jasno sprawę z potrzeb i zadań berlińskiej kolonii polskiej, mogą towarzystwa istnieć i w swym szczupłym zakresie pracować. Liczba członków wynosi 60—70; najwyższą liczbę członków wykazuje „towarzystwo katolickich robotników“, bo blisko 300. Składki członków wynoszą najczęściej 10 fen. na miesiąc. Z tej niskiej kwoty trzeba pokryć wydatki na bibliotekę i t. p. Za salę posiedzeń zazwyczaj się nie płaci, ponieważ posiedzenia odbywają się w lokalach restauracyjnych, rezerwowanych dla towarzystwa na pewien z góry oznaczony dzień w tygodniu. Zebranie odbywa się przy piwie. Treścią posiedzenia jest zazwyczaj odczyt, wygłoszony przez jednego z akademików.

Podamy dla przykładu parę tematów: „O Mickiewiczu“, o „Odsieczy Wiednia“, „Pogląd na historię polską w XIX wieku“, „O czełkach“, „O Muzeum handlowem“, „O wystawie Paryskiej“, „O słońcu i gwiazdach“.

Po odczycie następuje dyskusya, zazwyczaj bardzo żywa. Zdąrzyło się piszącemu, jako prelegentowi, że go zapytał po odczycie

z historii polskiej jeden z członków towarzystwa katolickich robotników, „czy wierzy”, że sprawiedliwość na świecie ostatecznie zwycięży musi, bo jeśli nie, — tak prawil pytający — to w takim razie, czy warto ze złem walczyć?”

W tem zapytaniu skryształowało się poniekąd wszystko, co o duchowem życiu tej warstwy emigracyi można powiedzieć. Przebiegły gospodarz, i nawet rzemieślnik z małego miasteczka w Księstwie, nie zdobył-by się na ten budzący się z pierwszego snu sceptycyzm, który z czasem w zdrowy krytyczny pogląd przerodzić się zdoła; co najwyżej stać-by go było na tę naiwną wiarę, że co powie prelegent, na to już przysięgać śmiało można.

W dotychczasowej pracy przyświecał towarzystwom polskim jeden cel: uchronić zamieszkałych w Berlinie Polaków od germanizacyi, wspierać ich w biedzie i zachęcać do wytworzenia lepszego materialnego bytu za pomocą rozwijania w nich zmysłu oszczędności. Bieda jest obok germanizacyi tym drugim strasznym nieprzyjacielem, od którego obronić-by się chciała za pomocą organizacyi w towarzystwach kolonia polska. Uciekając od biedy z kraju, Polacy nie przywożą z sobą na grunt berliński zasobów pieniężnych — więc brak zajęcia, lub jakieś nieprzewidziane nieszczęście, choroba lub śmierć jednego z członków rodziny, wtrąca aż nazbyt często całą rodzinę w otchłań nędzy, tem straszniejszej, że wśród obcych ludzi. Aby członków swych w tych razach bronić od ostatecznej nędzy, prawie wszystkie towarzystwa mają swe specjalne kasy, z których wydają zasiłki w razie choroby lub śmierci członków.

Oddając zresztą najzupełniejszą sprawiedliwość berlińskim towarzystwom polskim wogóle, spotykamy wśród nich ujemne wyjątki, które nader smutne rzucają światło na ogół. Są to wprawdzie wyjątki, ale mają one swe znaczenie, jeśli chodzi o charakterystykę całości.

Wyjątki te spotykamy przedewszystkiem pod względem narodowym. Są towarzystwa, dla których pewien indyferentyzm narodowy i utrzymanie stosunków przyjaznych z Niemcami są maksymą postępowania. Jeszcze do niedawna na wielu zabawach polskich towarzystw napotkać było można masy Niemców, co oczywiście prowadziło do używania języka niemieckiego, gdyż wobec „gości” naturalnie Polacy muszą być grzeczni. Niektóre towarzystwa, dla których zabawy, zazwyczaj poprzedzone koncertem, lub przedstawieniem amatorskiem, są źródłem dochodów, starają się podwyższyć frekwencyę gości w ten sposób, że zachęcają Niemców do przybycia i wzięcia udziału w zabawie. Zdarza się nawet, że w tej pogoni za gośćmi zapominają o swej godności i drukują niemieckie afisze i zaproszenia.

Przed dwoma laty polskie towarzystwo śpiewackie naraziło się na silne zarzuty za taką reklamę, graniczącą ze zrzeczeniem się charakteru narodowego. Afisz, oznajmujący o dorocznej zabawie, brzmiał, jak następuje:

Schweizers Etablissement

Rosinenstrasse Nr. 3.

Am Sonnabend, den 14 August

feiert

der polnische Männer-Gesangverein

Mitglied des polnischen-Sängerbundes

in Posen und Umgegend

sein diesjähriges Sommerfest.

Verbunden mit Gesang, Festrede und Ball.

Anfang Abends 8½ Uhr.

Um recht zahlreiches Erscheinen bittet

der poln-männer-gesangverein,

Maczkowiak. Vorsitzender.

Billets sind hier zu haben.

für Damen 30 pf. — Herren 50 pf.

Przytaczam ten afisz, jako curiosum swego rodzaju, nie pozbawione jednak symptomatycznej wartości. Ten indyferentyzm narodowy, którego jedną przyczynę, w postaci potrzeby zasilenia kasy, powyżej wyłuszczyłem, pochodzi również i stąd, że pomiędzy członkami towarzystw jest zwykle bardzo wielu żonatych z Niemkami. Na każdą zabawę, lub koncert, urządzony staraniem towarzystwa polskiego, przychodzi zatem pewna liczba rodzin pół-polskich, pół-niemieckich, dzięki czemu zacierają się wybitne polskie cechy zebrania.

Trzeba jednak przyznać, że każdy jaskrawszy objaw takiego lekceważenia narodowego charakteru towarzystw, jak np. niemieckie deklamacye, lub śpiewy, napotyka energiczną krytykę i odprawę zaraz na miejscu, a w ostateczności na posiedzeniu komitetu towarzystw, lub na łamach miejscowego organu berlińskich Polaków, „Dziennika

Berlińskiego.“ Tak było też swego czasu z przytoczonym powyżej afiszem.

Poza obrębem „Komitetu zjednoczonych towarzystw polskich“ stoi—jako unikat wśród towarzystw polskich w Berlinie—towarzystwo „wojackie“.

Istnieje ono od lat kilku, nie komunikując się wcale z kolonią polską. Jest to związek wysłużonych żołnierzy pruskich, mówiących po polsku, tak zwany „Kriegerverein“. Co parę tygodni odbywają się uroczystości i festyny patryotyczno-pruskie, nawet z polskimi przemowami, przy udziale pruskich prawdziwych dobożów z gwardyi. Festyny te i stanowiąca ich część nieodłączną pijatyka, czyli t. zw. k o m e r s, odbywają się z okazji urodzin cesarskich, imienin jakiegoś np. pułkownika gwardyi, rocznicy zgonu Bismarcka lub Moltkego i t. d.

Do tego związku należą wysłużeni żołnierze i kaprale, obecnie przeważnie na posadach urzędników państwowych. Naturalnie niema mowy o tem, aby na posiedzeniach towarzystwa tego miano wygłaszać jakieś odczyty polskie. Nawet pieśni polskich „wojacy“ nie śpiewają, lecz same pruskie marsze wojskowe. Towarzystwo to należy do ogólnego związku niemieckich „Towarzystw wysłużonych żołnierzy“—do t. zw. „K i e g e r b u n d u“.

Na równie odosobnionem stanowisku wśród kolonii polskiej pozostają towarzystwa loteryjne. Są to stowarzyszenia miłośników gry w loteryę. Za składki miesięczne swych członków zakupują znaczną ilość ćwiartek losów loteryi państwowej, rozmaitych numerów, a za wygrane pieniądze zakupują nowe losy, odkładając pewną ich część na żelazny fundusz. Opodatkowawszy się w ten sposób na rzecz skarbu pruskiego, członkowie towarzystw oczekują w pełnym spokoju ducha na wielki los. Wogóle niema loteryi, dozwolonej w Prusach, w której-by te towarzystwa nie brały udziału.

Są to: „Towarzystwo polsko-loteryjne na Północy“, „Towarzystwo loteryjne Jedność“, „Towarzystwo loteryjne Fortuna“ i „Kółko loteryjne“. Wszystkie są produktem ostatniego pięciolecia, co nie rzuca dodatniego światła na rozwój kolonii polskiej w Berlinie.

Od lat kilku istnieje w Berlinie wspomniany powyżej „Komitet Towarzystw polskich“. Jest to instytucya, założona w celu wytworzenia łączności i solidarności w sprawach, obchodzących wszystkie towarzystwa zarówno. Do komitetu należą delegaci towarzystw, zazwyczaj prezesi. Kwestye, rozpatrywane na posiedzeniach komitetu, odbywających się co miesiąc, świadczą, że komitet jest instytucją bardzo potrzebną i żywotną. Omawiano tam zazwyczaj sprawy urządzenia wieców polskich w sprawie nauki języka polskiego, obcho-

dów mickiewiczowskich, urządzenia dorocznego święconego dla biedaków, wyznaczanie terminu dorocznej zabawy wszystkich towarzystw polskich, a wreszcie godzenie poważnionych towarzystw i czuwanie nad tem, aby żadne z towarzystw nie dopuszczało się jakiegokolwiek wybryków, mogących szkodzić dobrej sławie kolonii polskiej.

Zwłaszcza na punkcie godzenia poważnionych towarzystw i zapobiegania tworzeniu się wciąż nowych odłamów, komitet ma przed sobą istną pracę Syzyfa. Jest w Berlinie dość dużo towarzystw, mających pewne tradycje za sobą i niepospolite zasługi. Należało-by starać się tylko o to, aby towarzystwa te nadal mogły rozwijać się korzystnie, nabrać sił, powiększać liczbę członków, ulepszać organizację i jednym słowem z coraz większym pożytkiem pracować dla społeczeństwa. Tymczasem coraz częściej, dla zupełnie błahych sporów, wynikłych na gruncie osobistych niechęci, następuje w towarzystwie rozłam. Pewna część niezadowolonych zakłada nowe towarzystwo, stara się staremu szkodzić, odstręczyć mu członków, zepsuć dobrą sławę. Niech tylko przy wyborach pominą kogoś, komu się zdaje, że powinien być wybrany na prezesa, a wnet malkontent zbiera garść swych zwolenników i zakłada nowe towarzystwo. Powstają więc stąd intrygi, które trudno rozplątać,—sprzeczki, których niepodobna załagodzić. Każde nowopowstałe towarzystwo sprawia sobie naturalnie chorągiew, bo bez zewnętrznej pompy przecież istnieć-by nie mogło, wyczerpuje swe zasoby na urządzenie zabaw, lub przedstawień amatorskich, które kończą się potem deficytem, a w rezultacie pomawia inne towarzystwo o intrygowanie przeciw zabawie lub przedstawieniu i przypisuje mu swe straty. Wyczerpana kasa nie jest w stanie zaspokoić istotnych potrzeb towarzystwa, brak pieniędzy na elementarze, na gazety i książki. *S u m m a s u m m a r u m*: duża liczba towarzystw, ale niewielka z nich pociecha, bo większość wegetuje tylko bez możliwości rozwoju.

Był czas, gdy komitet towarzystw chciał takim sprzeczkom i intrygom położyć koniec i objąć pewnego rodzaju jurysdykcję nad towarzystwami. Niestety, okazało się wkrótce, że zachwiać to może bytem samego komitetu, ale stosunków niezdrowych nie naprawi. Jeden wszakże dodatni rezultat odniosły te usiłowania: oto udało się wszystkie kółka i towarzystwa śpiewackie polskie połączyć w jedno wielkie towarzystwo „Harmonię“, które występuje obecnie ze śpiewem na rocznicach i obchodach wszystkich innych towarzystw.

Swary w towarzystwach dochodzą czasem do granic tragiczkomedyi.

Pamiętna na długo w Berlinie będzie historia walk, jakich widownią było kobiece „Towarzystwo Św. Józefa“.

Wstawiło się ono wśród kolonii polskiej w Berlinie nieustannemi awanturami i rozłamem wewnętrznym, który całe towarzystwo wreszcie doprowadził do zaniku.

Bodaj czy nie ważniejszą kwestyę od godzenia zwaśnionych towarzystw ma komitet towarzystw przed sobą w postaci potrzeby zorganizowania łącznej opieki nad nędzą polską w Berlinie.

Z roku na rok powiększa się liczba przyjeżdżających do Berlina Polaków, pozbawionych środków utrzymania. Dla najbiedniejszych, nie mających gdzie przemocować, istnieje „Przytulisko“. Korzystają też z niego obficie. Lecz szerzy się także system „odwiedzania rodaków“ w ich mieszkaniach z prośbą o datek. Zgłaszający się są w większości przypadków niegodni wsparcia. Na posiedzeniu komitetu towarzystw opowiedział przewodniczący pewnego razu przykład charakterystyczny systematycznie uprawianego wyzysku „podróżujących Polaków“. Zgłosił się otóż do niego jakiś Polak, niemający—wedle własnych słów—za co wrócić do kraju. Prezes komitetu, wzruszony jego opowiadaniem o przebytej nędzy, zdecydował się mu pomódz i kupić bilet do samego Poznania. Że zaś ostrożność nie zawadzi, nie wręczył mu pieniędzy do ręki, lecz posłał z pieniędzmi chłopca ze swego warsztatu, który miał polecenie kupienia biedakowi biletu i wyprawienia go w drogę. Chłopiec wywiązał się z polecenia skrupulatnie i podróżnego wsadził do pociągu, kupiwszy mu bilet do Poznania.

Jakież było zdziwienie ofiarodawcy, gdy nazajutrz wypadkowo spotkał na ulicy w Berlinie to samo indywiduum. Okazało się, że sprytny „podróżny Polak“ wysiadł na najbliższej stacyi jeszcze w Berlinie, sprzedał bilet za połowę, lub prosił o zwrot pieniędzy przy kasie, a sam dalej uprawiał proceder szukania „pieniędzy na podróż“.

A jednak nieopisana nędza panuje wśród istotnie powracających do kraju wychodźców, którym środki zazwyczaj starczą do Berlina, a w Berlinie ich ludzi nadzieja wystarania się o sposób powrotu do kraju.

Taka powrotna fala biedy i nędzy zalewa kolonię polską w Berlinie zazwyczaj w jesieni. „Przytulisko“ przepełnione, prywatne fundusze wyczerpane, a tu procesye biedaków krążą od domu do domu polskiego, lub—co gorsza—nieporadne i bezsilne, dostarczają stolicy najgorszych warstw proletaryatu. W jednym z jesiennych numerów „Dziennika Berlińskiego“ znaleźliśmy poniższą charakterystyczną wzmiankę:

„Rodacy nasi, którzy przez lato pracowali na roli w stronach niemieckich, mianowicie w Saksonii, już obecnie powracają w strony rodzinne. Dworce, zwłaszcza poczekałnie IV klasy, są nimi przepelnione. Na noc tłoczą się tam w ciasnych lokalach i w ogromnym za-

duchu setki mężczyzn, kobiet i dzieci. Urządzenie na tutejszych stacyach domaga się stanowczo naprawy. Właśnie poczekalnie IV klasy, używane przez setki ludzi, są małe i ciasne“.

Naturalnie że emigranci jeżdżą prawie wyłącznie czwartą klasą. Do wagonu, w którym brak ławek, wsiada z tobołami i kuferkami tyle osób, ile ich się tylko może zmieścić. Mężczyźni palą cygara i popijają wódkę z kieszonkowych butelek, kobiety karmią dzieci, kłócą się i śpiewają. O takiej podróży, trwającej zwykle całą noc, niema przecież nikt, kto jej sam nie odbył.

III.

Jedną z najważniejszych kwestyi, które nasuwają się przy rozpatrywaniu warunków bytu berlińskiej kolonii polskiej jest jej stosunek do władzy duchownej.

Liczba osiadłych w Berlinie Polaków jest w stosunku do katolików tamtejszych bardzo znaczna, a z tego powodu od lat kilkunastu słychać wciąż skargi na niedostateczną opiekę nad Polakami ze strony duchowieństwa, które, nie władając lub słabo władając językiem polskim, pomimo najlepszych choćby chęci, nie może zadość uczynić potrzebom swych polskich parafian.

Trzeba mieć na względzie olbrzymie znaczenie kościoła dla polskich wychodźców, jako jedyne gromadzącego ich wszystkich środowiska, aby mózdz w całej pełni ocenić doniosłość kazań polskich dla ludu.

Spółeczna działalność księdza polskiego wśród emigrantów na obczyźnie nie da się absolutnie z niczem porównać: ani z wpływem towarzystw, ani z działalnością osób świeckich. Tak, jak dziś rzeczy stoją, t. j. gdy główna część wychodźców składa się z jednostek narodowe wcale nie, lub mało uświadomionych — jeden tylko kapłan polski może wśród emigrantów odgrywać rolę łączącego ich węzła, wskazywać im drogę społecznego rozwoju, a tem samem przeciwdziałać germanizacyi. Dodać przytem należy, że z kościelnego punktu widzenia germanizacya w większości wypadków uważaną być może za protestantyzacyę, lub co najmniej, za zupełne zubożnienie dla katolicyzmu. Mogłoby się zatem zdawać, że już ten wzgląd powinien-by władzę duchow-

na usposobić przychylnie do próśb wychodźców, błagających o kapłanów-rodaków.

Tymczasem stan rzeczy, jaki był przed laty dziesięciu, trwa i dziś. Próśb nie wysłuchano, władza duchowna tłumaczy się brakiem odpowiednich kapłanów, lub nasyła zniemczonych górnośląskich księży, którzy łamaną polszczyzną wygłaszają kazania. Postawiwszy kwestyę jasno, stwierdzić należy, że względy politycznej natury decydują o takim postępowaniu księdza arcybiskupa Koppa, do którego archidiecezyi należą parafie berlińskie.

Arcybiskup Kopp jest znany ze swej nieżyczliwości dla Polaków, a co do ujawnienia się tej niechęci na polu opieki duchownej dla polskich wychodźców, to i do niego zupełnie zastosować-by można to, co swego czasu powiedział arcybiskup koloński, ks. Simar, gdy mu przedkładano petycyę tysięcy westfalskich Polaków: „Im prędzej się zniemczą, tem lepiej będzie i dla nich samych, i dla kościoła, bo będą bliższe ich stosunki z katolikami Niemcami i bliższem urzeczywistnieniem będzie ewangeliczne słowo o jednym pasterzu i jednej owczarni“. Duchowieństwo niemieckie rade-by widzieć jaknajprędzej ostateczną asymilacyę wychodźców polskich z Niemcami-katolikami i wie, że działalność polskich kapłanów ten proces asymilacyi-by utrudniła.

Bezpośredni zarząd berlińskiem duszpasterstwem spoczywa w rękach „delegata arcybiskupiego“. Przed paru laty był takim delegatem ks. Jahnel, kapłan, jak się zdaje, osobiście przychylny dla Polaków, lecz widocznie związany poleceniami swej władzy zwierzchniczej. Po śmierci Jahnela opróżnione miejsce zajął ks. Neuber, a jeśli pierwszy rozżalone serca polskie koł i łagodził obietnicami, delikatnem i życzliwem obejściem się, to drugi nie tał się nawet z tem, że mu nie na rękę te ciągle żądania Polaków, domagających się kapłanów-rodaków.

Wobec wychodźców naszych w Berlinie kościół stał się więc posterunkiem germanizacyi. Z tego posterunku zazwyczaj dyskretnie zamaskowane, nierzadko jednak otwarte, idą ataki na polski charakter wychodźców naszych. Dla charakterystyki położenia, mianowicie tych otwartych ataków, które są bardzo zuamiennym znakiem czasu, wspomnieć tu warto o proboszczu z Hoppegarten (pod Berlinem), który co dwa tygodnie odprawia nabożeństwo w licznej kolonii polskiej w Kalkberge-Rüdersdorf, gdzie w kopalniach i fabrykach cementu pracuje przeszło 1000 Polaków: Niemców-katolików jest zaledwie kilku, którzy zatrudnieni są w biurach fabryki. W Kalkberge-Rüdersdorf istnieje polskie towarzystwo, które w styczności pozostaje z berlińskimi towarzystwami polskimi. To towarzystwo było od dawna solą w oku proboszczowi, który-by chciał, aby w jego parafii był „jeden pasterz i jedna owczarnia“ naturalnie niemiecka. Przy-

bywszy też (w sierpniu 1900 r.) na zebranie tego towarzystwa, zawezwał członków, aby je rozwiązali, ponieważ on chce założyć towarzystwo katolickie, w którym-by miejscowi Niemcy-katolicy mogli być członkami, a język niemiecki byłby urzędowym. „Kto żyje w Niemczech, mówić ks. proboszcz (podług tekstu, ogłoszonego później w „Dz. Berl.“)—ten powinien być dobrym Niemcem i porzucić marzenia o kraju. Sam jestem Niemcem, choć przecież z polskich pochodzę rodziców“—zakończył przemowę proboszcz. A dalej mówił: „Polska mowa nie ma dziś nigdzie wartości, ma ona tylko wartość taką, jak pieniąż z zagraniczny, który się wyda i zmieni i nic po nim nie zostanie (?). Mowa polska jest dziś całkiem niepotrzebna i o n, j a k o k a p ł a n, do polskości palca nie przyłoży, bo on jest Niemcem. Dzieci też ludzie mają po niemiecku chować, bo polska mowa im się na nic nie zda“.

Powyższy przykład mógłby w zupełności wystarczyć, aby dać pojęcie o germanizatorskiej jawnej robocie niektórych księży.

Inni znowu łagodniejszej używają metody.

Taki ksiądz Stephan z Weissensee (przedmieście Berlina), który w swojej parafii ma bodaj że więcej Polaków, niż Niemców, najpierw dwa lata zbierał za pomocą odezwo i ogłoszeń składki w polskich prowincjach na kościół, a potem całe Księstwo, nietylko swą parafię, formalnie zarzucił niemieckimi książkami do nabożeństwa, które, aby tem łatwiej trafić mogły do Polaków, zaopatrzył w lichę nad wszelki wyraz tłumaczenie polskie.

Godnym towarzyszem księdza z Kalkberge-Rüdersdorf jest dziekan w Charlottenburskim kościele Panny Maryi. O tym kapłanie podał „Dziennik Berliński“ niedawno ciekawy list jednego z swych czytelników, wiernie charakteryzujący sposoby, jakich księża germanizatorzy używają: „Przed kilku tygodniami para polska chce brać ślub w Charlottenburgu w kościele swym parafialnym Panny Maryi: pan młody idzie do proboszcza, a przytem prosi dziekana o ślub polski, lecz dostaje odpowiedź, że w żaden sposób stać się to nie może, „gdyż dozór kościelny, zarówno jak wszystkie władze kościelne z ks. biskupem na czele, zakazały ślubów polskich“.

Po pewnym czasie pan młody przychodzi znowu do dziekana i znowu błaga, mówiąc między innymi: „Matki nasze z Poznańskiego na ślub przyjadą, a słowa po niemiecku nie rozumieją“. Lecz i ten argument nie pomaga, bo ksiądz na to: „Matki ślubu nie biorą, niech sobie zostaną w domu, do kościoła na ślub nie potrzebują przychodzić, tylko dwóch rozsądnych świadków potrzeba.“

„Lecz narzeczona moja ślubu niemieckiego brać nie chce“, powiada młodzieniec, chwytając się ostatniego środka. „A to co!“—

ofuknie go na to ksiądz: „Narzeczona nie chce? A kto na chleb pracuje? Pan, wszak prawda? Narzeczona pańska musi, jak Pan tak chcesz!“ I dawszy na ugłaskanie cygaro panu młodemu, przekonał go, że nadal nie należy upierać się przy swoim, a krewnych pozostawiając w domu, narzeczoną zmusić.

Polak nie dość płynnie władał językiem niemieckim, aby dyskusję mógł prowadzić z księdzem, więc na wszystko przystał. Lecz po namyśle, pod wpływem narzeczonej i własnego uczucia, jako Polak, nie miał spokoju i na dwa dni przed ślubem zwrócił się do mnie—pisze korespondent „Dz. Berl.“ Poszedłem z nim, chcąc przekonać księdza, że żądania nasze są zupełnie prawne i uzasadnione.

Po przeszło godzinnej utarczce, w której przez księdza uznany zostałem „za wyzutego z wszelkiego ducha katolickiego“, gdyż ująłem się za przyjaciela, usłyszałem wreszcie zdanie: „Sie sind ein Hetzer, kein Katolik mehr“. Ale dziekan pozwolił na ślub polski pod naciskiem żądania. Zastrzegł sobie jedynie, abym już więcej nie przyjeżdżał z Berlina „podburzać“ (a u f h e t z e n) katolików charlottenburskich.“

Fakt powyższy świadczy, z jakimi trudnościami na polu opieki duchownej spotykają się berlińscy Polacy, o ile chcą rewindykować w kierunku narodowym najelementarniejsze prawa swe, jako członków kościoła.

W samym Berlinie jednak księża nie okazują tyle jawnej niechęci do narodowości polskiej, ile jej okazał taki np. proboszcz podmiejski w Kalkberge. Na przedmieściu, gdzie mieszka ludność uboższa, przeważnie robotnicza, ksiądz wobec prostego chłopka-Polaka zupełnie ma inną powagę, niż wobec wychodźców w samym Berlinie. Tam księdzu na propozycję rozwiązania towarzystwa, „ponieważ nie on je założył“, odpowiedziano-by bezwątpienia: właśnie dlatego go rozwiązywać nie będzie, bo nie on je założył. W samym Berlinie za to jest inny sposób napędzania Polaków w germanizacyjne sidła: jest to zachęcanie do wstępowania do towarzystw niemiecko-katolickich. Towarzystwa te znajdują się zazwyczaj pod osobistym kierownictwem niemieckich księży miejscowych, a duchowna szata przewodniczącego silnym urokiem jest dla emigranta, przyzwyczajonego, że u stołu prezydyalnego i w kraju zasiadał ksiądz proboszcz. Tam go przyjmują wszyscy po bratersku, utwierdzają w przekonaniu, że pierwszym (i ostatnim) obowiązkiem Polaka na obczyźnie jest zachować wiarę. W rezultacie setki całe Polaków należą do tych towarzystw, w których wprawdzie nikt na narodowość ich nie nastaje, ale w których niezmiernie szybko i „bez bólu“ się niemczą, pozostając dobrymi katolikami i przyjaciółmi Polaków.

Ten pierwszy powyżej zaznaczony rodzaj germanizacji wywołuje nieraz żywe protesty, drugi—prawdopodobnie o wiele niebezpieczniejszy—żadnych nie wywołuje: bo jakżeż tu wyrzuty robić tym organizacyom katolickim, które gościnnie przyjmują wychodźców polskich do swego grona, chroniąc ich od niejednego niebezpieczeństwa, otaczają opieką w razie choroby, zaspakajają potrzebę religijności, tak silnie rozwiniętą u polskiego prostego ludu? A jednak fakt pozostaje faktem: pod opieką kapłanów-Polaków ci ludzie by się nie zniemczyli, a co ważniejsza—i ich dzieci zachowały-by narodowość swych ojców.

IV.

Poza kwestyą utrzymania narodowości u starszego pokolenia naturalnie kwestya wychowania dzieci jest dla emigracyi jedną z najżywniejszych, ponieważ wogóle można twierdzić, że dzieci emigrantów wyjątkowo tylko zachowują narodowość rodziców.

Wychowanie dzieci na obczyźnie rozbija się o przeszkody dwójakiego rodzaju.

Pierwszą trudnością jest potrzeba unicestwienia wynaradawiającego wpływu, jaki wywiera obce językiem i pochodzeniem otoczenie na młode i niedoświadczone umysły dziecięce.

Drugą trudność stanowi konieczność walki z demoralizującym wpływem bruku wielkomiejskiego.

Jak jedno, tak i drugie zadanie—są to pewnego rodzaju i m p o n d e r a b i l i a wobec sił berlińskiej kolonii polskiej.

Większość dzieci germanizuje się szybko wskutek tego, że rodzice, zajęci cały dzień pracą zawodową, nie mają możności nadzoru nad nimi, często zaś widują je dopiero późnym wieczorem, gdy nie są sami zdolni zebrać myśli wskutek fizycznego zmęczenia.

Jak tu w takich warunkach myśleć o tem, aby dziecko utrzymało w duchowym związku z krajem ojczystym, dalekim, a nieznanym, którego ono nawet nigdy nie widziało, a o którym nie słyszy w szkole nic dobrego, nic zachęcającego do obznajomienia się z historią?

Ponieważ warunki pracy zmuszają rodziców do pozostawiania dzieci samopas (a zdarza się to najczęściej), więc o ile śladów polskiego pochodzenia nie zaciera w nich szkoła, to dzieła tego dopełnia ulica

i towarzystwo rówieśników. Są rodziny czysto polskie, w których np matka nawet nie włada niemieckim językiem, a dzieci mówią między sobą tylko po niemiecku. Wszelkie nawoływania na zebraniach, obchodach i t. d., aby rodzice starali się przeciwdziałać germanizacji dzieci, nie odnoszą skutku, w większości wypadków bowiem nie może być poprawy tam, gdzie niema winy.

Przekonanie, że germanizacja dzieci jest czemś nienuchronnem, z czem się należy pogodzić, tak się już utarło, że na wieczorkach, zabawach i t. d. zebrani entuzjastycznie oklaskują, jakby jakie dziwo, każde dziecko, które jest w możności popisać się wydeklamowaniem choćby jakiegos czterowiersza.

Lecz dajmy na to, że znajdzie się jaka osoba, która chce się poświęcić i zająć krzewieniem języka i historii u dzieci polskich na obczyźnie; przypuśćmy nawet, że jest ktoś, co zastąpi rodziców i na swe barki weźmie ciężar duchowej opieki nad dziećmi, będzie je uczył czytać i pisać po polsku, będzie się starał przeciwdziałać ich germanizacji.

Nie usunie to trudności, przeniesie je bowiem na inne pole, na pole walki o chleb.

Dziecko, które mniej od innych wżyło się w życie obcego narodu a więcej oddycha życiem swego społeczeństwa, trudniej osiąga jakiegokolwiek rezultaty w naukach, a później więcej napotyka przeszkód w osiągnięciu materialnego dobrobytu.

„Dziecko — jeśli ma odebrać czysto polskie wychowanie — stawia na kartę swe powodzenie w naukach w szkole niemieckiej, opuszcza zakłady naukowe z niedostatecznym świadectwem i utrudnia sobie z czasem walkę o byt w rzemiośle, czy handlu — o ile zostaje na obczyźnie“.

Tak brzmi zazwyczaj, nie pozbawione zresztą smutnej logiki życiowej, rozumowanie niektórych rodziców polskich. Spotykamy też często wychodźców, którzy z pełną świadomością i rozmysłem nie stawiają żadnych przeszkód germanizacji swych dzieci, owszem — upatrują w tej germanizacji jeden z czynników, którym w przyszłości dzieci ich zawdzięczać będą zapewniony byt materialny.

Autor niniejszego szkicu miał swego czasu w ręku następujący autentyczny list pewnej zamieszkałej w Berlinie oddawna Polki.

Oto charakterystyczny ustęp tego listu:

„Przed sześciu laty często przestawałam w towarzystwach polskich. Na każdym posiedzeniu zbierano składki na szkółki polskie, aby dzieci nasze mogły się nauczyć swego języka. To będzie pomocą dla naszych biednych dziątek, myślał niejeden i dawał chętnie. Ale dzieci, w domu i w szkółce mówiąc po polsku, w szkole miejskiej nie rozumiały zupełnie nauczycieli i nie doszły dalej, jak do 2-giej lub

3-ciej klasy; potem, gdy szły do rzemiosła, albo na jakie miejsce,—każdy się pytał o atest ze szkoły, więc też dla braku atestu zmarnowało się ich w biedzie dużo. Któż temu winien, że do innych dzieci mówi się teraz w domu po niemiecku, żeby tylko wyżej poszły, bo z tamtymi, żal się Boże, co się porobiło. A z polskimi dziewczętami, jeśli im nie nie pozostaje, jak iść do fabryki, to zgroza, czem one się muszą opłacać, bo im mniej się która zapoznała z niemiecką nauką, tem gorzej ją potem, jak przybędę, traktują i nadużywają. My tedy, co przez głód jesteśmy zmuszeni do obcej mowy, więcej może od innych kochamy swój kraj, tęskniąc ze łzawem okiem,—a tu znikąd nadziei i poprawy bytu“.

Komentarze do listu tego są chyba zbyt czułe.

Powiązanie kwestyi polskiego wychowania dzieci na obczyźnie z ekonomicznymi warunkami jest tu dość wyraźne, aby można rozpoznać, że momentem, decydującym o mniejszej lub większej odporności młodego pokolenia na obczyźnie jest większy lub mniejszy zasób środków materyalnych u rodziców.

Germanizacya czyni straszne spustoszenia wśród młodzieży wychowanej na obczyźnie. Kto wśród swego społeczeństwa żył, kto oddychał powietrzem swojskiem wśród swoich, ten, choćby i w młodości opuścił ojczyste strony, może dochowa święcie tej wiary i do śmierci; lecz narodowe uczucie, zaszczipione w serca młodociane, którym nie było, niestety, dane odetchnąć ożywczą atmosferą wśród rodaków, pozostaje prawie zawsze sztucznie wyhodowanym, nikłym i wątłym krzewem,—latoroślą zaszczipioną na obcej łodydze. Tego nie obalą żadne rozumowania, bo to jest faktem.

W roku 1892, a więc w czasach, gdy berlińska kolonia już posiadała wcale poważną organizacyę, w towarzystwach na rzecz szerzenia oświaty polskiej między dziećmi zebrała „komisyja szkolna“ przez cały rok od 26 towarzystw polskich zaledwie 550 m. 76 fen. Całkowity budżet wynosił 1500 marek. Wobec tego szkółka naturalnie zaledwo kilkunastorgiem dzieci opiekować się mogła.

Oprócz powyższej sumy wpłynęło nie od towarzystw 850 m. 93 fen., z czego jednak 498 m. zebrał osobiście prezes komisji, dr. Łyskowski, przeważnie u inteligencji. A więc na kilkadziesiąt tysięcy Polaków, zamieszkałych w Berlinie, a nie należących do towarzystw, przypada suma 342 marki 93 fen. Cyfra ta wybornie ilustruje obojętność i bezwładność emigracyi w sprawie wychowania dzieci. I dalsze przykłady nie mniej są charakterystyczne.

A więc co do książki polskiej i jej roli w zwalczaniu germanizacyi dzieci—wiele mówi fakt, iż „Towarzystwo Naukowe Polaków“

w Berlinie, które podjęło myśl wypożyczenia dla dzieci książek (za darmo), wypożycza zaledwie 7—10 dzieciom. Więcej się nie zgłasza.

Jedną z dalszych przeszkód, paraliżujących wychowanie młodego pokolenia na podstawach narodowych, jest zaznaczony już powyżej demoralizujący wpływ stosunków wielkemiejskich, dzięki którym młodzież w bardzo wczesnych latach staje się niezależną od rodziców.

W jednym z dawniejszych roczników „Dzien. Berl.“ znajduje się następujący obrazek z życia młodzieży polskiej na obczyźnie:

„Niedawno spotkałem w pewnej polskiej restauracji członka jednego z naszych towarzystw, wraz z jego 15-letnim synem. Synalek palił cygara i pił wódkę, jak stary. Kiedym ojcu wyraził z tego powodu zdziwienie, odpowiedział mi: „Mój syn wyszedł już ze szkoły, zarabia sam, nauczyciela nie potrzebuje!”

„Żona tego Polaka wraz z córką przybywa na posiedzenie towarzystwa, ojciec zaś wprowadza swego syna do szynkowni, ale tyle nad nim władzy nie ma, aby go zaprowadzić na posiedzenie towarzystwa, chyba na jaką zabawę polską“.

„Takich jest więcej. Cóż robi młodzież nasza? Nie widzimy jej w towarzystwach, na odczytach, a jeśli się pokaże na posiedzeniach, to jedni przy kartach, inni przy bilardzie, a największa część prowadzi życie nocnych hulaków. Najchętniej ucieka młodzież z pod oka rodziców, którzy jej też wolności nie wzbraniają; unika pożytecznych towarzystw i goni tylko za rozrywką.

„Gdzie tu pora i sposobność do pomyślenia o narodowości?“

Czynnikami, które z powodzeniem kładą tamę germanizacji, są, jak wszędzie, i w Berlinie: książki, gazety, towarzystwa i wiece polskie. Ale w Berlinie czynnikiem tym nie jednakową doniosłość przyznać można. Mianowicie rozwój czytelnictwa pozostawia wiele do życzenia.

Jedną z przyczyn niewielkiego wpływu książek polskich na emigrację berlińską jest niezaprzeczony brak doborowych dzieł polskich w czytelniach towarzystw. Pomijając już dzieci, do rąk których tylko wyjątkowo książka polska znajduje dostęp, widzimy, że w towarzystwach stosunek liczebny przeczytanych dzieł i wypożyczających osób z bibliotek do ilości znajdujących się w bibliotekach książek bardzo dobre składa świadectwo o chęci do czytania wśród dorosłych.

Biblioteczki, utrzymywane przez towarzystwa, bardzo rzadko jednak wykazują znacznieszą ilość dzieł naprawdę doborowych i nadających się do czytelnictwa. Z dziesięciu książek jedna może wytrzymuje ścisłejszy egzamin — większość zaś, to albo zupełnie bezwartościowe rzeczy: powieści przestarzałe, traktaty filozoficzno-religijne, wydawane na własny koszt przez maniaków, w rodzaju tych wydawnictw;

jakie na funty sprzedają po ulicach wielkich miast,—albo rzeczy za trudne dla przeciętnego czytelnika, nieraz przystępne tylko dla wyższej inteligencji.

Widzieliśmy np. w bibliotece towarzystwa robotniczego dzieła ekonomiczno-socjologiczne, tłómaczone językiem trudnym, naszpikowanym specyjalnymi terminami, których zapewne nikt z członków towarzystwa nie rozumiał, ani też nigdy do rozumienia ich dojść nie może. Na zapytanie, dlaczego te książki pozostają w bibliotece, otrzymaliśmy szczerą odpowiedź, że gdyby takie książki, których czytelnicy nie rozumieją, wyrzucić, toby niewiele pozostało do czytania.

Oczywistym wynikiem takiej lektury bez doboru jest—pominąwszy już szkody, wynikłe z fałszywego rozumienia treści—zanik chęci do czytania wogóle.

Niejedni, co się dopiero na obczyźnie nauczył czytać po polsku, traci wskutek tego wszelką ochotę do czytania książek polskich.

Książki te pochodzą od osób prywatnych, które, chcąc tanim kosztem okazać życzliwość dla celów towarzystwa, przysyłają duplikaty ze swych księgozbiorów, lub tomy wysortowane, wcale w to nie wchodząc, że przez zakupienie paru broszurek popularnych daleko lepiejby się przysłużyły potrzebom towarzystwa.

W odległej wprawdzie przyszłości znajdują się plany wybudowania w Berlinie „D o m u p o l s k i e g o“, który-by był ogniskiem towarzyskiego i umysłowego ruchu wśród Polaków berlińskich, nie ulega jednak wątpliwości, że plan ten uskuteczniony będzie, a w takim razie z samej natury rzeczy wyniknie zespolenie wszystkich drobnych biblioteczek towarzystw w jedną ogólną bibliotekę polską, w której liczba książek pozwoli czytelnikom na większe zaspakajanie ich życzeń, niż to się dzieje dotychczas.

Większy wpływ, niż książka polska, wywiera na kolonię polską w Berlinie polska prasa. Potrzeba pism polskich ujawnia się w postaci istnienia w samym Berlinie codziennego organu politycznego, oraz w abonowaniu pism, dochodzących z kraju.

Od roku 1892 wychodziła w Berlinie „Gazeta Polska“, było to piśmko redagowane, jak niejedno z poznańskich lub zachodnio-pruskich prowincjonalnych—przez samego nakładcę, który był równocześnie właścicielem drukarni i zecerem w jednej osobie. „Gazeta“ wychodziła trzy razy na tydzień, a zawierała tyle treści, ile w tych warunkach od niej wymagać było można. Sprawy kolonii polskiej stawiała zawsze na czele i na tem polega jej zasługa. „Gazeta Polska“ przygotowała grunt pod założenie „Dziennika Berlińskiego“, który zaczął wychodzić w r. 1887. Kapitałów na założenie pisma codziennego dostarczyli drogą podpisywania udziałów miejscowi Polacy. Wy-

dawcy „Gazety Polskiej“ dano pewne, zresztą umiarkowane, odszkodowanie, aby wydawnictwo swe zawiesił.

Wydawanie pisma codziennego okazało się jednak o wiele kosztowniejszem, niż to sobie założyciele przedstawiali, i od 1897 roku aż po dziś dzień „Dziennik Berliński“, niedomagający pod względem finansowym, przeszedł w czasie swego dotychczasowego istnienia wszystkie niemal formy kooperacyjnych i osobistych przedsiębiorstw, począwszy od spółki z ograniczoną poręką, cichej spółki, wreszcie dzierżawy, a skończywszy na subsydyonowanej własności prywatnej.

Pomiędzy pismami, nadchodzącymi z kraju, największą liczbę czytelników (przeszło 600) ma wśród berlińskich Polaków tani tygodnik poznański „Praca“. Dalej idzie „Wielkopolanin“, „Orędownik“ i „Postęp“ (razem licząc do 500 egz). Różne gazety prowincjonalne, jak „Gdańska“, „Grudziądzka“, „Toruńska“, „Ostrowska“, „Lech“, „Katolik“ i t. d., liczą ogółem ze 300 czytelników, a gazety dla inteligentniejszych warstw: „Dziennik“ i „Kurjer Poznański“, wraz z gazetami z Galicji i Warszawy, osiągają liczby może 100 czytelników. Prócz tego wychodzi w Berlinie „Gazeta robotnicza“ socjalno-demokratyczna, mająca około 150 czytelników w Berlinie.

Ogółem zatem obliczyć można liczbę egzemplarzy gazet (wraz z „Dziennikiem Berlińskim“) na 2300. Liczba ta jest raczej o jakąś setkę za wysoka, niż za niska.

Obok prasy, która broni przeciw germanizacji, postawić należy towarzystwa polskie. O nich już mówiliśmy p. przednio. Pozostaje tu tylko w kilku słowach zaznaczyć dodatni wpływ, jaki na obronę przed germanizacją wywierają wyniki na gruncie istnienia towarzystw polskich bardziej złożone objawy życia polskiego — mianowicie wiece.

Są to zupełnie sporadycznie urządzone powszechne zebrania Polaków, zwolywane zazwyczaj przy pewnej okazji, np. z okazji obchodu mickiewiczowskiego, jubileuszu Papieża, zamknięcia szkółek polskich przez policję, braku kazań polskich, i t. d. Zbiera się zatem zazwyczaj tłum parotysięczny, do którego referenci przemawiają stosownie do okoliczności. Doniosłość urządzania wieców, jako wyższego rzędu objawów życia narodowego, ocenił najpierwszy p. Berkan, prezes komitetu stowarzyszeń i właściciel zakładu krawieckiego, jeden z najzasłużeńszych w Berlinie ludzi na polu organizowania kolonii polskiej.

Coraz silniejsze objawy żywotności narodowej wśród berlińskiej kolonii polskiej odbiły się w ostatnich czasach na jej stosunku do pruskich władz administracyjnych.

Był czas, kiedy policja obchodziła się z berlińską kolonią polską ze wszelkimi względami, jeżeli nawet nie z przychylnością. Spoglądano na rozwój towarzystw polskich bez zawiści, dlatego, że policja wiedziała dobrze, iż te towarzystwa podnoszą ludność polską na wyższy poziom, nie pozwalają jej należeć do szumowin wielkomięjskich, a w narodowym duchu pracując, przeciwdziałają propagandzie socjalistycznej. Lecz powoli stosunek ten zaczął przybierać formy inne, bardziej nieprzyjazne rozwojowi polskiej kolonii. Raz wraz zaczęli się pojawiać policyjanci na posiedzeniach towarzystw, notując wszystkie przemówienia; potem policja zaczęła utrzymywać donosicieli, to spełniających funkcje kelnerów w restauracjach, gdzie odbywały się posiedzenia towarzystw, to wciskających się pod rozmaitemi pretekstami do domów prywatnych i zebrań towarzyskich. Później na wiecach zauważono, że policyjanci mieli specjalne instrukcje baczenia na to, aby raczej za mało, niż za dużo osób wchodziło do sali przysłuchiwać się obradom. Potem z rozmaitych powodów, będących tylko pozoram, utrudniano egzystencję szkółkom polskim. Wiele było winy samych Polaków w tej zmianie postępowania policji. Nie ulega wątpliwości, że w kilku przypadkach podano przeciw towarzystwom denuncjacje, kierowane chęcią zemsty.

Wreszcie szkoły polskie, nie mogąc walczyć z wszelkiego rodzaju przeszkodami, przestały istnieć. Przeciwko towarzystwom polskim nieprzyjazny wiatr zawiął „z góry“. Dawniej tolerowano łaskawie, gdy urzędnicy państwowi należeli do towarzystw polskich, obecnie-by to za zbrodnię każdemu uważano. Życie studentów Polaków poddano pod ścisły dozór i nie zaniechano użycia rozmaitych wyrafinowanych sposobów, aby ten dozór uczynić zupełnym. Od czasu do czasu policja urządza niespodziane rewizje po mieszkaniach, niby to czegoś poszukując, lecz w gruncie rzeczy rządząc się zasadą: „Strzeżonego Pan Bóg strzeże“.

Strzeże więc ona pilnie Polaków w Berlinie, a zwłaszcza przybysze z Królestwa od dawna już specjalną się cieszą z jej strony opieką. Ostatecznie trzeba jednak przyznać, że w porównaniu z innymi miastami, Berlin posiada stosunkowo jeszcze najbardziej względną policję dla Polaków. Tłómaczy to się po prostu tem, że jako miasto o wielojęzycznej ludności, musi posiadać władzę o pewnej wielkomięjskiej tolerancji.

Przed paru laty miał zjechać na szereg gościennych przedstawień poznański teatr polski do Berlina, lecz zakaz policyjny to uniemożliwił.

Znany jest fakt, że gdy pewien zupełnie spokojny i ciche życie prowadzący obywatel znalazł się w biurze komisarza policji, aby mu

oświadczyć, że się wyprowadza do innego rewiru, ucieszony komisarz rzekł: „To wybornie, mieliśmy z panem dużo kłopotu“. — „Jak-to?“ zapytał ze zdziwieniem ów Polak. — „A tak, trzeba było o panu pisać często sprawozdania do władz“.

A wszystko dlatego, że ów Polak raz kiedyś wygłosił odczyt w pewnym towarzystwie polskiem.

V.

Poza obrębem organizacji, która w postaci komitetu towarzystw polskich w Berlinie przeistawia pewną jednolitą całość, istnieją rozmaite grupy i kółka w luźnym, lub żadnym nie pozostające związku z połączonemi towarzystwami.

Wymienić tu najprzód należy studentów polskich, których przebywająca w Berlinie spora gromadka poważny przedstawia czynnik w życiu polskiej kolonii

Nie wytworzył się dotychczas „typ studenta polskiego w Berlinie“, i zapewne nigdy się nie wytworzy, a to dzięki społecznym warunkom wielkiej stolicy, w której równie łatwo wydawać tysiące, jak i żyć w cieniu o suchym chlebie. Stolica ma więc urok dla każdego: dążą do niej i bogaci paniczykowie, pro forma tylko zapisani na wykłady, i biedacy, którzy tu, nieznani i niepoznani, mogą się stołować w dorożkarskich garkuchniach.

Grupa „paniczyków“ jest liczna i używa życia z pełnej czary. Przejdźmy się do „Monopolu“, do jednej z pierwszorzędných kawiarni Berlina. Przy stoliku siedzi kilku młodych ludzi. Kelne zy z nadszkapującą grzecznością podają im polskie gazety i zważają na ich każde słówko. Tu Polacy odgrywają pewną rolę. Niemiec podziwia elegancki krój ich ubrania, zręczne ruchy, prawdziwą „grandezzę“ stanowiącą niedościgły ideał paniczyków niemieckich... Myślał-by kto, że to potęga kapitału tak działa. O, bynajmniej. Oto wstał jeden z nich i szepcze coś z kelnerem. Gdybyśmy słyszeć mogli rozmowę, dosłyszeliśmy słowa: „Lieber Franz, pumpen Sie mir nur fünfzig Mark“, a „Franz“ z rozjaśnioną twarzą dobywa pugilaresu, pyta się tylko, czy nie potrzeba-by lepiej od razu sto? Gotów jest dać na zawołanie i dwa razy tyle, i to częstokroć nie znając nawet adresu dłużnika, wie bowiem, że dostanie książęcy procent i nie utraci

pieniędzy nigdy. Co innego jest zarwać majątek ojcowski rozrzutnością, a co innego nie oddać kelnerowi: to ostatnie nie zdarza się nigdy.

Równą usłużnością jak kelnerzy, odznaczają się gospodynie, wynajmujące pokoje, ale tylko eleganckie i drogie pokoje. Nie jedna z nich, na drugi dzień po wprowadzeniu się lokatora—Polaka, pożycza mu sumy bez najmniejszej obawy i ta pewnoś jej nie zawodzi. W tych sferach nazywa się Polak „ein feiner polnischer Herr“.

Lecz poszukajmy tylko pokoju na czwartem piętrze z podwórza. a gospodyni, uderzona cudzoziemskim akcentem, zapyta o narodowość. Gdy się dowie, że Polak, niechętnie wynajmie pokój, lub co najmniej wymówi sobie, że nie wolno gotować herbaty, rzucać na podłogę resztek od cygar i papierosów, i śpiewać w nocy Krakowiaków. Doświadczona to kobieta...

Jeżeli chodzi o wykazanie wpływu studenckich sfer polskich na życie kolonii berlińskiej, to nie trudno odgadnąć, gdzie szukać typu „studenta społecznika“. Naturalnie na czwartem piętrze z podwórza.

Przed kilkunastu laty założone „Towarzystwo naukowe Polaków w Berlinie“ z natury rzeczy zajęło uprzywilejowane miejsce wśród towarzystw, gromadząc największy zasób inteligencji. Wszystkie inne towarzystwa zgłaszały się do akademickiego o prelegentów; wywołało to styczność Towarzystwa Naukowego z resztą towarzystw, styczność ujętą wreszcie w pewne stałe formy. Policja pruska, której się to nie podobało, postarała się u władz naukowych o rozporządzenia, za pomocą których chciała przeciąć wszystkie nici, łączące akademików z ogółem kolonii polskiej. Istniejące pod jurysdykcją politechnicznego wyższego zakładu naukowego towarzystwo „Techné“ zostało bez podania specjalnych motywów rozwiązane. Inaczej się stało z „Towarzystwem Naukowym“. Towarzystwo to posiadało statuty, zatwierdzone przez policję, a pod jurysdykcją władz uniwersyteckich nie pozostawało, można je zatem tylko rozwiązać chyba za jakieś przekroczenie statutów. Przez półtora roku czyniła policja pruska daremne zabiegi, aby zgromadzić materiał, na mocy którego mogła-by towarzystwo rozwiązać; a gdy się jej to nie udało, innego sposobu się chwyciła, który można nazwać typowym przykładem obchodzenia konstytucyi. Podług praw istniejących, każde towarzystwo obowiązane jest do zakomunikowania policji listy imiennej członków zarządu. Otóż listę tę komunikowała policja władzy uniwersyteckiej, ta zaś już imienne zakazy wydawała przeciw akademikom, którzy do zarządu należeli. Ponieważ procedura ta przy formal styce pruskiej trwała 3—5 miesięcy, a zatem towarzystwo urządziło się w bardzo prosty sposób: na miejsce ustępującego zarządu wybierano nowy zarząd, po przepisanych prawem 14 dniach komu-

nikowano nazwiska nowo wybranych — policyi, tu przechodziły one przez szereg departamentów, po paru miesiącach dostawały się do sekretaryatu uniwersyteckiego, gdzie po zbadaniu sprawy postanowiano nakazać interesowanym osobom wystąpienie; przechodził tym czasem miesiąc, zanim zawezwano je do rektoratu, następnie dawano 8 dni czasu do namysłu. Gdy już dłużej sprawy przeciągnąć nie było można, wybierano w Towarzystwie nowy zarząd i zaczynała się ta sama procedura.

Na stosunkach między studentami Polakami znać wpływ pochodzenia z rozmaitych prowincyi. Przybyli z Królestwa studenci mieszkają zazwyczaj po dwóch, po trzech; na „Poznańczyków“ patrzą z pewnością, zupełnie zresztą nieuzasadnioną, wyższością; w każdym towarzystwie, przy każdej styczności z kolegami, reprezentują niezmiernie żywy i ruchliwy czynnik reformatorski; na zewnętrzną stronę, na pozory nie zwracają uwagi, mieszkają ze spartańską skromnością, są bardzo koleżeńscy i pracowici, namiętnie palą papierosy i przeklinają Berlin, że brakuje w nim warszawskich gilz i maszynek do robienia papierosów; świetnie grywają w winta, nie dadzą sobie żadnemu profesorowi zaimponować uczonością i najczęściej, mając lat osiemnaście, przyjeżdżają już z „gotowemi przekonaniem“; są wiecznie z sobą nawzajem w rachunkach, do rozpacy przyprawdzają restauratorów, nie chcąc pić piwa i prowadząc tak głośne dysputy, że cała sala oczy tylko na nich ma zwrócone; w sprawach honorowych z nimi rzecz trudna, bo rządzi się każdy „swoim“ kodeksem.

Studenci z Poznańskiego odznaczają się wręcz odmienną naturą. Nie pochopni do żarliwych dyskusyi, dążą do tego, aby być „correct“ zarówno w ubraniu, jak i w każdym czynie; niezbyt łatwi w zawieraniu bliższych znajomości, unikający wchodzenia w stosunki pieniężne z kolegami; natury spokojne, raczej zamknięte w sobie, niż wylane, łatwo się zrażające pozorami, mniej polegają na zdolnościach, więcej na powolnej, równomiernej pracy; bez wielkiego kryterium w sprawach społecznych, ale też bez wygórowanego mniemania o własnej nieomyślności.

Przybysze z Królestwa uczęszczają zazwyczaj do politechniki (w Charlottenburgu), Poznańczycy zaś do uniwersytetu (w Berlinie) i w ten sposób więc wytwarza się jeden punkt styczności mniej.

Dla uzupełnienia obrazu części składowych kolonii polskiej w Berlinie wypada wspomnieć wreszcie i o inteligencji, stale przebywającej w Berlinie, i o posłach polskich do sejmu i parlamentu.

Zamieszkała w Berlinie inteligencja polska nie jest liczna i składa się albo z ludzi zamożnych, a nawet bardzo bogatych, którzy tu

wśród komfortu wielkomiejskiego pędzą przyjemne życie, albo z zależnych pod względem politycznym urzędników wszelkiego rodzaju.

Wobec takiego charakteru inteligencji — nic dziwnego, że nie bardzo miesza się ona do życia kolonii polskiej, na wiece nie uczęszcza na posiedzenia towarzystw jeśli przybywa od czasu do czasu, to już niejako pod przymusem moralnym.

Przed 5—6 laty i dawniej inteligencya miejscowa była w pewnych stosunkach z „T o w a r z y s t w e m N a u k o w e m P o l a k ó w w B e r l i n i e“. Gdy jednak na tle ukrytego antagonizmu „Królewaków i Poznańczyków“ rozpoczęły się rozmaite niesnaski, a w rezultacie wyłonił się z nich milion spraw honorowych, sądów honorowych, zajęć niemiłych i drażliwych sytuacji, odsunęło się i od tego towarzystwa kilka domów polskich. Wobec tego często spotkać się można z zarzutami przeciw inteligencji polskiej, że nie zajmuje się ona sprawami kolonii miejscowej. Zarzut ten spotyka i posłów. Trudno odmówić słuszności zapatrywaniu, że tam, gdzie chodzi o sprawę społeczną, na bok powinny ustąpić względy prywatnej natury; lecz z drugiej strony, niepodobna nie przyznać inteligencji miejscowej i posłom, że wobec kolonii polskiej w trudnem znajdują się położeniu, gdyż, pominiawszy już powyżej omówione przeszkody, istnieje pewna okoliczność, wskutek której pożądaný udział inteligencji w pracach ogółu kolonii nigdy zapewne się nie urzeczywistni.

Nie było chyba ani jednego zebrania, ani jednego wiecu, na którym-by nie odzywały się z łona tego „pożądanego współdziału inteligencji“ ogółu głosy bardzo radykalne, zwrócone wprost przeciw inteligencji, lub przeciw zaproszoným posłom, choćby obecným, i to w formie troszkę .. nieokrzeseanej. Kolonia polska w Berlinie posiada za dużo osobistości, które, nie mając żadnego wykształcenia i żadnych innych kwalifikacji osobistych, nie omijają żadnej sposobności, aby wystąpić w roli „trybunów ludu“ i „przejechać się“ po inteligencji, po posłach. aby z oratorskiem biciem się w piersi zapewnić, że dopiero od nich zaczyna się przyszłość narodu.

Ci ludzie nie są wprawdzie ani tak źli, lub zarozumiali, jak się wydają, lecz trzeba-by do nich zastosować specjalną metodę obłaskawienia, której terażniejsze pokolenie inteligencji, niestety, nie umie.

VI.

Ludzie, którzy z poświęceniem pracowali w tym celu, aby wytworzyć wśród kolonii polskiej w Berlinie pewną organizację, aby wytworzyć łączność i murem wspólnych usiłowań odgradzić słabsze duchem jednostki od zgermanizowania się, nie pracowali bez pewnych wytkniętych — bliższych i dalszych — celów.

Co do tych bliższych celów panuje już dziś zupełna jedność.

Dążenia te, których urzeczywistnienie jest bliższem, zawierają się w szeregu następujących postulatów:

1. Potrzeba regulowania dopływu emigracji z kraju do Berlina. Potrzeba opiekowania się przybyłymi, a nieznającymi warunków miejscowych. Potrzeba polskiego biura pośredniczenia w pracy.

Prosty robotnik polskiej narodowości daleko słabszy jest wobec przesładującego go braku zajęcia, niż robotnik miejscowy, berliński.

Na tem więc polu, które dotychczas jeszcze leży odłogiem, należało-by coś przedsięwziąć. Po pierwsze: należało-by zaopiekować się przyjeżdżającymi do Berlina z prowincyi; powtóre: należało-by zająć się losem szukających pracy Polaków, zamieszkujących stale w Berlinie.

Sprostać pierwszemu zadaniu mógł-by komitet towarzystw. Za pomocą komunikatów, ogłaszanych w prasie prowincjonalnej, mógł-by starać się pohamować napływ wychodźstwa do Berlina w tym czasie, gdy uzyskanie pracy jest prawie wyłączone. W ten sposób jednocześnie skutecznie-by można przeciwdziałać szkodliwej pracy agentów, namawiających lud do wychodźstwa. W czasie zaś, gdy to wychodźstwo przybiera rozmiary, nieprzewyższające potrzeb, gdy więc jest nadzieja uzyskania pracy, należało-by tylko, aby potrzebujący chwilowego schronienia trafili do „Przytuliska“, nie błakali się po całym mieście nadaremnie; prócz tego, aby w Przytulisku znaleźli kilka ważniejszych dzienników miejscowych, w których z działu inseratowego powziąć-by mogli wskazówki, dokąd się udać po pracę. Z tem ręką w rękę powinno działać „polskie biuro pośredniczenia w pracy“.

2. Dalej potrzeba polskich księży dla zaopiekowania się prostym ludem. W tym celu wiece Polaków

berlińskich stale, w coraz to ostrzejszej formie, ponawiają do kardynała Koppa żądanie wydelegowania księży polskich.

3. Potrzeba wreszcie „Domu polskiego“ na wzór niemieckich Vereiushaus'ów. Dom ten, którego budowa jest oddawna w projekcie, stałby się ogniskiem ruchu towarzyskiego.

Każdy z wymienionych powyżej trzech punktów zawiera w sobie jedną i tę samą myśl: przeciwdziałanie germanizacji. Lecz wszystkie trzy punkty dotyczą starszego pokolenia, dotyczą dorosłych. Sprawa polskiego wychowania dzieci — syzyfowa praca dla kolonii polskiej w Berlinie — to imponderabile w pełnem znaczeniu tego słowa.

A jeśli dzieci wychować po polsku się nie da, to jakąż wartość mieć może cała kolonia dla kraju? Tę myśl zadawał sobie niejeden, aż wreszcie przyszło rozpoznanie, że bliżej — nie w młodem pokoleniu, lecz wśród samych emigrantów — należy szukać odpowiedzi na to pytanie, czem kolonia berlińska stać się powinna dla kraju.

Następująca myśl określa konkretne dążenia i cele ogółu polskiego w Berlinie: „Jesteśmy tu na obczyźnie po to, aby wśród obcego społeczeństwa, bardziej rozwiniętego społecznie i ekonomicznie, niż nasze społeczeństwo, poznać w praktyce nieznaną jeszcze u nas organizację pracy, aby zaznajomić się z postępem wiedzy praktycznej, rozszerzyć widnokrąg myśli i wrócić do kraju, a tam w przemyśle i w handlu zwalczać niemiecką konkurencję za pomocą niemieckiej rutyny, której w kraju nie mają; — a dalej, w życiu towarzyskiem i społecznem dawać przykład, że i rzemieślnik w dzisiejszych czasach może mieć i mieć powinien samodzielność poglądów, że powinien być obywatelem, jakim jest w społeczeństwach zachodnio-europejskich, ale nie u nas, — że wreszcie powinien odegrać po powrocie, między swymi, rolę zaczynu, który-by przyspieszył proces wewnętrznych społecznych przekształceń, zmierzających do przeniesienia politycznego i społecznego punktu ciężkości ku klasie średniej.

Rozumowanie powyższe opiera się na trafnem zrozumieniu ekonomicznych i społecznych potrzeb kraju, niemniej zaś na trafnej ocenie tego, co wychództwo berlińskie krajowi dać może.

Może ono dać krajowi przedewszystkiem jednostki wysoko wykwalifikowane w rozmaitych działach przemysłu i rzemiosła; — może dać np. powstającej fabryce lamp — zdolnych majstrów, wykształconych w pierwszorzędných zakładach berlińskich, a ze swej strony mogących wykształcić w kraju cały szereg sił swojskich; fabryce per-

fum da praktycznie obznajomionego z tym działem przemysłu specjalistę; zakładom tkackim — pierwszorzędne siły fachowe; zdolnych tapicerów, kierowników fabryki mebli, majstrów do fabryk maszyn i przyrządów technicznych, litografów i drukarzy, krawców pierwszorzędnych, nie zaściankowych — tych wszystkich ludzi, których umiejętną pracę znać na każdym kroku wśród społeczeństw zachodnio-europejskich, dostarczyć może krajowi emigracja polska we wschodnich Niemczech i główna jej siedziba — Berlin.

Czy to jest mało? Wszak w innych społeczeństwach dają rzemieślnikom stypendya na wyjazd za granicę, aby mieli możność wykształcenia się w swym zawodzie. a ci tylko czekają na sposobność, aby do kraju powrócić. W Poznańskim takich ludzi potrzeba i potrzeba ich będzie coraz więcej. Potrzeba ich też w Królestwie i w Galicyi.

Z ekonomicznego punktu widzenia pogląd ten, streszczający doświadczenia i rozmyślania kolonii polskiej, uznać trzeba za zupełnie słuszny. Przytem powrót do kraju rozwiązuje w prosty sposób i kwestyę germanizacyi młodego pokolenia. Walka z germanizacją staje się już celową, staje się środkiem do dalszych dążeń, a chęć zdobycia zamożności przestaje być materyalistycznie zabarwionem dążeniem, skoro zostaje nagięta do celów wyższych, do powrotu do kraju.

Powracający do kraju rzemieślnik, lub drobny przemysłowiec, nie może wracać tak, jak wyszedł z kraju — t. j. z pustemi rękoma. Musi mieć pewne zasoby pieniężne.

Aby do zgromadzenia tych zasobów kolonię polską zachęcić, założono bank polski pod nazwą „Skarbona“. Instytucya ta przyjmuje depozyty (od członków Polaków) i wypożycza je na procent mało co wyższy (też członkom). Rozwój „Skarbony“ świadczy, jak urodzajną jest gleba, na którą padła ta trafna myśl założenia wśród grynderskiego Berlina — banku polskiego. W roku 1899 miała „Skarbona“ 208 tysięcy mk. obrotu, a 88 tysięcy depozytów.

Depozyty te pochodzą prawie wyłącznie z klasy biednej, a przeciętna wysokość depozytu wynosi 400—500 mk.

Coraz częściej zachodzą wypadki, że przenoszący się do kraju wychodźcy, za pośrednictwem „Skarbony“ i swych znajomych berlińskich, zbierają fundusze na założenie tam przedsiębiorstw. A więc hasło brzmi: Najsilniejsze, najlepiej w swym zawodzie wykształcone jednostki niech wracają do kraju, — w ten sposób niech się w wypłaca emigracja za ubytek tysięcy wychodźców, dążących co rok na zachód.

Powracającym do kraju inna przytem jeszcze rola przypadnie w udziale, prócz tej, jaką im potrzeby ekonomiczne kraju nakreślą, będzie to rola natury społecznej.

Polska kolonia w Berlinie, jak i polska emigracya w całych Niemczech, składa się prawie wyłącznie z ludzi pracy, z ludzi, którzy wyrosli sami z siebie, nie wyniósłszy z kraju nic, oprócz pary zdrowych rąk. Trzy ćwierci tych ludzi, lub więcej może, ginie zupełnie dla kraju, rozpuszcza się gdzieś bez śladu w morzu niemieckiem. Elementy zdolniejsze organizują się i dochodzą do przekonania, że powrót do kraju nie jest mrzonką. Ludzie ci nabywają na obcym gruncie, wśród obcego otoczenia, tej samodzielności poglądów, tej przedsiębiorczości, tej inicjatywy, których warstwom mieszczańskim w Księstwie brak zupełnie. I pod tym względem więc ci ludzie mogą być dla kraju pionierami postępu.

DR. KAZIMIERZ RAKOWSKI.

SPRAWA DOŁĘGI.

VII.

Zaledwie świtało w Chwaciejówce, już Pan Norbert, ubrany po myśliwsku, czynił przegląd wszystkich przygotowań na przyjęcie gości, którzy z Waru mieli przyjechać na godzinę dziewiątą. Wyszedł pod kolumny podjazdu i rozejrzał się po niebie. Szary dzień wchodził na niebo leniwie po za brudnymi chmurami. Powietrze nieruchome, przesycone wilgocią i wonią gnijących pod śniegiem liści, zapowiadało deszcz, albo mokry śnieg na polowanie. Trudno; — to się już urządzić nie dało, reszta była w największym porządku.

Nigdy jeszcze Chwaciejówka nie oglądała tak doborowego zgromadzenia gości. Zbarazcy, choć sąsiedzi o dwie mile, przyjeżdżali tu rzadko; pierwszy raz zjawiał się tu dzisiaj Szafraniec, Koryatowicz; nawet przyjazd Kerstena, choć go Zawiejski nie lubił, był mu dzisiaj przyjemny, bo Kersten należał do najlepszego towarzystwa. Z po-

1) Patrz zeszyt styczniowy, str. 68.

między osób, które polowały w Warze, nie zaproszono tylko Dołęgi, zapewne przez zapomnienie, i Szydłowskiego, który był rzeczywiście już nazbyt prawdomówny. Za to sprowadził sobie pan Norbert na polowanie dwóch hrabiów z okolicy; ci mieli przeznaczenie ozdabiać po bokach gospodarza fronton pałacu podczas przyjazdu gości z Waru, ale jeszcze spali, bo było zawcześnie. Miał to być jedyny efekt wstępny, gdyż pan Norbert słusznie wystrzegał się okazać, że ten zjazd jest dla Chwaciejówki doniosłą nowością. Nie zawieszono żadnych wieńców, nie zbudowano, broń Boże, łuków tryumfalnych, tylko skromna flaga z herbem Zawiejskich powiewała nad białym pałacem na znak tradycyjnego hasła gościnności. Zebranie miało mieć charakter bardziej przyjacielski, gdyby się dało — familijny.

Pałac, zbudowany przez obecnego właściciela, wyrażał przez architekturę i całe urządzenie prostotę starych, gniazdowych siedzib. Choć wzniesiony odrazu w całości, miał pozór wielkiego dworu, z którego zrobiono pałac, dodając mu fronton na kolumnach i wieżę. Pokoje były wysokie, jasne; meble nowe, mieszane ze starymi, podobno szczątkami dawnej świetności, gdyż pan Norbert opowiadał o różnych majątkach, które posiadał w oddalonych okolicach niegdyś jego dziad, znany ze swej podróży do Rzymu. Chwaciejówkę z kilkunastu folwarkami kupił ojciec pana Norberta od Zbarazkich, po długoletniem zajmowaniu się ich interesami; zmusiły go podobno do tego zajęcia tragiczne losy rodziny Zawiejskich, opisane dostatecznie w różnych złotych księgach szlachty polskiej.

Lustrował tedy pan Norbert salę jadalną, do której mieli wejść zaraz myśliwi na przekąskę, i kazał przysłonić trochę z góry firanki, aby rzucić cień na wiszących pod sufitem antenatów, a oświetlić rozłożone na bufetach familijne srebra. Lustrował salon główny, skąd polecił wynieść zbyt pospolite kwiaty, ustawione tam przez panią Zawiejską. Lustrował bibliotekę, aby na stołach i w pierwszym rzędzie szaf były same dzieła doborowe, pięknie oprawne i w dobrym duchu, co już zresztą uprzednio doprowadził do doskonałości. Zajrzał do pokojów gościnnych i przekonał się, że i tam oko mogło czasem mile spocząć na jakimś szczątku dawnej sławy Zawiejskich. I doszedł wreszcie do kulminacyjnego punktu swej lustracji, do obejrzenia żony, która najbardziej go niepokoiła wobec zbliżania się chwil uroczystych.

Pani Zawiejska, chociaż Wiśniowiecka z domu (o pokrewieństwie jej z królem świadczył tylko portret Michała Korybuta, zawieszony w okazałym miejscu w salonie), nie była zupełnie na wysokości społecznych poglądów pana Norberta. Natury biernej i potulnej, bez ambicyi, starała się wyczuwać intencye, ogarniać pomysły swego mał-

żonka, ale przychodziło jej to bardzo trudno. Pan Norbert przestał ją nawet ewangelizować, zniechęcony brakiem w niej talentu, ale były okazy, w których musiał dawać instrukcje, zastosowane do okoliczności. Pani Michalina bała się męża, bała się starszego syna, Hektora, już także wielkiego w swoim rodzaju,—wogóle, bała się wszelkich wielkości.

Teraz, ubrana w jedwabną suknię od świtu, czekała z biciem serca na przyjazd myśliwych. Pan Norbert znalazł ją w tym stanie i uznał potrzebę kordyału usmierającego, wobec grozy sytuacji. Usiadł więc w pokoju żony, ziewnął i począł mówić:

— Jakoś nie przyjeżdżają... no, niema jeszcze dziewiątej. Dzień zapowiada się nie dobrze. Wszystko to jest dość nudne...

Pani Zawiejaska spojrzała ze zdziwieniem na męża:

— Tak tego pragnąłeś, Norbercie...

Pan Norbert ledwie nie wybuchnął; jednak pohamował się, ująwszy za brodę szeroką dłonią i krzywiąc twarz, jakby od bólu zębów; odsapnął i mówił dalej spokojnie:

— Miło mi zawsze widzieć u siebie przyjaciół, ale myślałem, że dzień będzie piękniejszy na polowanie. Tak Bóg chciał. I polowanie jest pod opieką Boską, nie prawdaż, moja droga?.. A czy odmawiałaś już ze służbą ranne pacierze?

Jedyną wspólną cechą ich charakterów była pobożność, wprawdzie inaczej przez wielkiego męża pojmowana, inaczej przez skromną żonę.

— Nie odmawiałam, bo sądziłam, że dzisiaj mogło-by to przeszkadzać.

— Ale gdzież tam! Pana Boga z domu wypędzać dla tego, że goście jadą?! A stare przysłowie: gość w dom, Bóg w dom? Owszem, niech się służba zbierze, jak zwykle, i śpiewa „Kiedy ranne...“. Tylko już nie wołaj na modlitwę lokajów w liberyi, bo ci nam są niezbędni. Ja sam dopilnuję przyjęcia. Ale... co do przyjęcia, chciałem ci powiedzieć, żebyś się niem zanadto nie przejmowała; trzeba wszystkich traktować grzecznie, ale okazale. Któż to przyjeżdża?.. Kilku przyjaciół... Niepotrzebnie naprzykład włożyłaś tę suknię... panie z Waru przyjadą dopiero na obiad... teraz mogła-byś nie pokazać się... Ot, idź lepiej na zwykłe ranne pacierze. Il faut être simple, ma chère.

Zadowolony z przemowy, poszedł do sieni, gdzie dwaj domowi hrabiowie przechadzali się już z Hektorem, wszyscy ubrani po myśliwsku.

— Dzień dobry, drodzy moi!—rzekł pan Norbert, ściskając ręce gości i całując syna w czoło. — Czy piliście kawę? Albo już poczekamy na kompanię z Waru?

Wtem drzwi wchodowe rozwarły na rozścież i z pierwszych sań wysypały się dwie niekształtne, okryte błotem, szuby. Był to Andrzej Zbarazki i Szafraniec.

— Fatalna sanna, — rzekł Szafraniec zamiast powitania.

Reszta gości powiedziała mniej więcej to samo.

Gdy zrzucili szuby i przeszli do sali jadalnej, rozległ się stłumiony dźwięk ludowego śpiewu.

— Cóż to? Okrężne w zimie? — pytał Andrzej, rozweselony dużym kieliszkiem wódki.

— Nie, — odpowiedział pan Norbert, — to nasz zwyczaj odmawiania z domownikami rannych i wieczornych pacierzy. Przepraszam panów, że go zachowałem i dzisiaj.

— Ależ naturalnie, a! a!.. — rozległy się głosy.

Poczem zamknięto parę drzwi i śpiew już nie dochodził do jadalni.

Polowanie poszło lepiej, niż pogoda wróżyła. Hektor je prowadził sam i złożył dowody talentów, bo zwierzyny było dużo; Koryatowicz został królem, Szafraniec i Zbarazki zabili każdy po ogromnym dziku, i polowanie zostało uznane za jedno z najlepszych w kraju. Niektórzy posądzali, że zwierzyna została ad hoc sprowadzona, ale wynik był dla wszystkich zadawalniający. Hektor rozwinął też przy śniadaniu i przy różnych sposobnościach tak gorące działanie na Szafranca, że ten wynalazł sam konieczność jechania do Petersburga w sprawie dróg bitych. Na to postanowienie wpłynęła też może ranna jazda z Waru po drodze błotaistej i uciążliwej.

Obiad w Chwaciejówce był po staroświecku wspaniały. Pani Zawiejska, posadzona przy obiedzie między księciem Januszem Zbarazkim, a hrabią Szafrancem, którzy mówili mało i o rzeczach prostych, nie zwracała na siebie uwagi, a o to tylko chodziło. Dwaj młodsi synowie pana Norberta, jeden w mundurze uniwersytetu katolickiego w Louvain, — wyglądali raczej ozdobnie. Księżnej Hortensyi pan Norbert, nie w ciemną bity, umiał tyle subtelnych rzeczy powiedzieć o jej ogromnym znaczeniu jako pani i autorki polskiej, że księżna czuła się swobodną i niezbyt osamotnioną w Chwaciejówce. Pani Hohensteg miała za sąsiada Andrzeja, Halszka Koryatowicza. Stół był bardzo mądrze nietylko zastawiony, ale i zasadzony, dał więc wyborny rezultat humoru.

Wśród gwaru rozmów i pośród ogonów własnych bażantów, obnoszonych na pieczyście, powstał pan Norbert i, dając skromny pozór swej apostołskiej postaci, przemówił:

— Nie jestem oratorem, pragnę tylko wnieść zdrowie moich miłych i dostojnych gości, a kiedy ojcowie nasi miewali zwyczaj przy szklance poruszać, ba, nawet decydować najważniejsze sprawy, niech mi wolno będzie chociaż wspomnieć o podobnych sprawach, gdy w gronie gości mam zaszczyt posiadać dwóch mężów, enotą i przykładem świecących krajowi, z których jeden powagą swoją i doświadczeniem, drugi śmiałym pomysłem i zaparciem siebie, jedyni zdolni są poprzec i przeprowadzić wiadomą nam sprawę. Niech moja chata zyska sobie ten splendor, że tutaj poczęło się jedno z czynnych starań o dobro publiczne, podjęte przez pierwszych w kraju obywateli. Zdrowie moich gości w ręce księcia Janusza Zbarazkiego i hrabiego Szafranca!

Zimny Szafraniec poczuł nagle przypływ stanowczej energii. Wstał natychmiast i z niezwykłym ożywieniem odpowiedział, wymawiając z cudzoziemska, zwłaszcza literę r.

— Szanowny gospodarz ma rację: nie trzeba odkładać na jutro pracy dla kraju. Kiedy więc poważni mężowie... to jest, kiedy książe Janusz ma także tę myśl, o której mówił szanowny gospodarz... nie trzeba odkładać na jutro pracy dla kraju... i ja oświadczam, że gotów jestem pojechać do Petersburga, skoro już wymieniono moje nazwisko, a także proszę, aby pan Hektor Zawiejski, jako autor projektu, pojechał z nami. Wnoszę zatem zdrowie gościnnego domu panów Zawiejskich.

Uśmiechnął się, a było to rzadkiem ustępstwem z jego strony; dumna i starannie ułożona twarz przybierała w uśmiechu jakiś wyraz obcy, trochę dziecienny.

Z mowy Szafranca zrozumiano powszechnie tylko to, że, nie czynny dotychczas, wydiera się obecnie do służby publicznej, powstał więc szmer aprobacyjny. Ale Halszka zapytała Koryatowicza:

— Czy o projekcie szos mowa?

— Zapewne.

— To przecie projekt pana Dołęgi, a nie pana Zawiejskiego.

Mimo wrodzonej śmiałości, nie mogła tutaj przemawiać. Że jednak koreciła ją ta pomyłka Szafranca, więc powtórzyła drugi raz głośniej:

— To jest projekt pana Dołęgi.

Wtem powstał Hektor Zawiejski i rzekł, klaniając się Szafrancowi:

— Dziękuję z głębi serca za zaufanie, którem zaszczyca mnie hrabia Szafraniec. Muszę tylko nadmienić, że nie jestem autorem projektu, o którym mowa. Autor pragnie pozostać bezimiennym, i oddaje swą pracę w ręce ludzi dobrej woli, na których czele nie można

lepszych postawić dowódców, jak dwaj, wymienieni przez mego ojca, mężowie.

— Przecie uczciwy człowiek! — odetchnęła Halszka i, gdy spojrzała wzrok Hektora Zawiejskiego, skinęła mu ładnie głową.

Hektor odezwał się półgłosem do Andrzeja:

— A widzisz, mówiłem, że Szafraniec gotów jest służyć krajowi swą osobą.

— I wymową, — odrzekł młody Zbarazki.

Więcej nie mówiono już o rzeczach publicznych przy stole. Ale po obiedzie ludzie myślący wrócili instynktowo do sprawy przy kawie i cygarach, w gabinecie pana Norberta.

Szafraniec tak był stanowczy, Zawiejscy tak wymowni, a księżę Janusz tak jakoś ochoczo usposobiony, że wszyscy uznali konieczność jazdy do Petersburga. Hektor, zapraszany usilnie, zgodził się wreszcie należeć do tryumwiratu i zaraz rozpoczął działanie, biorąc na siebie redakcyę listu do hrabiego Karola Zbązkiego z zapytaniem o zdanie w tej sprawie. List miał podpisać księżę Janusz.

Gdy już ta delegacya miała być ukonstytuowana, Szafraniec zapytał, czy obmyślono fundusz na pobyt w Petersburgu.

Nie zrozumiano go na razie, ale wytłómaczył się:

— To tylko u nas sprawy podejmowane bywają tak lekko. Skoro jest sprawa, powinno być natychmiast otworzone jej conto, chociażby na pierwsze wydatki, podróż, pobyt w stolicy, starania...

— Panie hrabio, — odezwał się stary Zawiejski, — dopóki niema koncesyi, niema właściwie sprawy. Na preliminarja, doprawdy, że możemy znaleźć pieniądze w naszych prywatnych kieszeniach. Każdy z nas ma przytem swoje interesa w stolicy.

Szafraniec niezupełnie dał się przekonać. Gotów był ponieść wraz z innymi jakąś ofiarę pieniężną, ale upierał się przy otworzeniu conto corrente, z którego wyznaczono-by dyety delegacyi

Przegłosowano go. Jeżeli Zbązki pochwali zamiar, tryumwirowie mieli po nowym roku wybrać się w podróż.

VIII.

Około północy powracał Dołęga piechotą przez Nowy Świat do swego mieszkania. [Mijał oświetlone okna i latarnie restauracji, niektóre sklepy, jeszcze otwarte, i dużo przechodniów, ciągnących pojedynczo, albo kupkami. Dorożki zataczały się po ślizkim od gołoledzi bruku; gdzieś niedziedzie około konia, który upadł, stało na środku ulicy kilkunastu gapiów. Dołęga, choć już dawno powrócił z Zachodu i dobrze znał Warszawę od dziecka, nie mógł się nacieszyć ruchliwości tego miasta. Co za życie! Taka arterya główna, jak Nowy Świat nie jest nigdy pusta: w każdej godzinie dnia i nocy krążą po niej ludzie, a ruch nocny jest może większy, niż w Paryżu. Nawet człowiek spokojny i zajęty rad czuje około siebie ten nieustanny, żywy puls miasta, nieśpiącego prawie nigdy.

Powracał z posiedzenia, na którym mówiono dużo o nieodzownej potrzebie nowego pisma „Zgoda“, którego utworzenie było pomysłem Hektora, w porozumieniu z gronem ludzi możnych, stale przebywających w Warszawie. Odłożono rozprawy do następnej sesyi, gdyż nikt, oprócz przyrodzonych swych zapasów pomysłowości, nie przyniósł dzisiaj wyraźnego programu, ani kosztorysu, ani wzoru. Działo się to w salonie jednego z dawnych właścicieli pisma podobnego zakroju; wymieniono kilkadziesiąt cennych rozmyślań i doświadczeń, ale do żadnego skutku nie doszło.

Dołęgę proszono na to posiedzenie, bo go miano za człowieka ruchliwego i zamożnego, a potrzeba było oczywiście składki pieniężnej. Ale szacowano przesadnie majątek młodego inżyniera. Po rodzicach dostał tylko szczupły, kilkunastotysięczny posąg matki; z majątku ojca nic nie pozostało. Matka nie żyła od kilku lat, ojca zaś swego nie znał Dołęga nigdy. Śmierć ojca należała do wspomnień przekazanych, otaczających jego dzieciństwo, do wrażeń tragicznych, powiększonych przez opowieści, pogłębianych przez rozmyślanie. Pozory zamożności zawdzięczał Dołęga dużym dochodom z pracy osobistej i dobrze urządzonego mieszkania. Pracownikiem był silnym i umiejętnym; nietylko świadectwa naukowe, ale i prace już wykonane zalecały go i zyskały mu wziętość. Przyczyniał się do tego i wdzięk jego energicznej postawy, i dobre szlacheckie nazwisko, któ-

re nigdzie jeszcze, nawet w Ameryce, nie straciło swego uroku. To też Dołędze nie brakło zajęć stałych i przygodnych.

Wracając tego wieczora do domu, mało rozmyślał o piśmie „Zgoda”. do którego raczej się zniechęcił. Zajmowała go głównie jedna, świeżo poznana, osobistość: Karol Zbązki. Kto to jest ten suchy, milczący człowiek, o hieratycznej postaci, o białych, głęboko zapadłych oczach? Gdy zjawił się dzisiaj, późno, wszyscy powstali; jedni go otoczyli, niby wracającego do obozu wodza, drudzy witali go z oznakami wyjątkowego uszanowania, nawet Arnold Helle skłonił nisko hardą głowę. Odstąpiono mu główne miejsce i gospodarz domu, zagajający posiedzenie, począł mówić ciszej i mniej swobodnie. W czasie rozpraw raz tylko Karol Wielki (Dołęga nauczył się tego przezwiska Zbązkiego od Andrzeja) wyraził zdanie, i to nie osobiście: pochylił się do siedzącego przy nim hrabiego Guńskiego i szepnął mu kilka słów do ucha. Towarzystwo zaraz zostało zaniepokojone i wszystkie oczy zwróciły się na Guńskiego, który, po uprzednim cichem zapytaniu i zezwoleniu, ogłosił:

— Szanowni panowie, mówi mi tu pan hrabia Zbązki, że ma pewne informacye o zmianach, zająć mających w zarządzie prasy.

Wiadomość tę, znaną powszechnie, przyjęto z należytem uszanowaniem.

Przypominał sobie Dołęga dużo jeszcze rysów i szczegółów, ale nie mógł z nich złożyć całej postaci Karola Wielkiego. Wiedział o nim skądinąd niewiele: że jest bogaty, bezdzietny, ostatni swego nazwiska,—no i to, co powtarzali wszyscy, że za młodu, jako ochotnik francuski, brał udział w bitwie pod Solferino. To jednak nie mogło ostatecznie uzasadniać jego społecznej przewagi, widocznej, bo wywieranej ogólnie, nawet na różne warstwy.

— Poznam go jeszcze bliżej przy sposobności, — myślał Jan, skręcając w ulicę Chmielną, aby trafić na Marszałkowską, gdzie miał mieszkanie.

— A ten Guński... paradny ze swą okazałą grzecznością, ze swym wielkim ukłonem, ze swem zdaniem giętkiem, obracającym się za każdym promieniem popularności... Ale zawsze to człowiek czynny, nawet pożyteczny... Wielu jest jeszcze w tej sferze zdolnych, chętnych do pracy publicznej; można-by ich sprządz i popędzić... ale jak trudno! Ile narowów, ile nawet zwyrodnień i nieuspołecznionych instynktów! Trzeba tu silnej, ogromnej ręki... No, może ten Zbązki?..

Dołęga wszedł do swego mieszkania. Dbał o zewnętrzną ozdobę, a opierał ten swój pociąg na wyrozumowanej teorii: mieszkanie wesołe, wygodne, pełne rzeczy pożytecznych i przyjemnych, zastępuje poniekąd towarzystwo i zatrzymuje w domu; smutne i ladajako urzą-

dzione jest ciągłą pokusą do ucieczki i do szukania rozrywek. — Wprawdzie Dołęga był nadto systematycznie zajęty, aby mógł się nudzić, ale zawsze, jako młody i krewki człowiek, potrzebował rozrywki, lubił ludzi i stosunki z nimi. W celu ograniczenia włóczęgi po restauracjach i cudzych mieszkaniach, swoje ozdobił i uczynił głównem siedliskiem pracy i rozmyślań. Miał po rodzicach dużo starych mebli, pochodzących ze wsi rodzinnej, która przeszła w obce ręce; niektóre były kunsztowne. Obrazy świadczyły o starszym jeszcze, minionym dobrobycie, a nawet o wybornym smaku nabywców. W obecnym stanie majątku Dołęga powinien był sprzedać te obrazy, w których leżał martwy kapitał, równający się może całemu jego realnemu kapitałowi. Ale on kochał swe obrazy, więc wynalazł teorię, że mu się opłacają, dając w procentach tę dozę estetycznej przyjemności, której człowiek potrzebuje koniecznie, nawet do technicznej pracy.

Wogóle rodzime usposobienie Dołęgi było tylko pozornie zgodne z zasadami, wyrobionemi przez wychowanie i przez twardą konieczność. Matka, obawiając się w dziecku dziedziczności po ojcu niebezpiecznych i burzliwych porywów, tego wszystkiego, co nazywała społecznym romantyzmem, — dała młodemu Janowi wychowanie ultra-realne, chcąc go przygotować do działania w zakresach wyraźnych, praktycznych. Konieczność pracy na chleb pchnęła też Jana do zawodu, który obrał i do filozofii pozytywnej, którą w sobie mozolnie wyrabiał. Ale przez każdy jego czyn, przez każde rozumowanie, przeciągał powiew tej ujarzmionej natury pierwotnej i, niby ze złe stłumionego ogniska, buchał w nim gorący płomień miłości ogólnego dobra. Tej miłości ani się nie wstydził, ani się zapierał przed samym sobą, pragnął ją tylko pogodzić ze swem określonym działaniem. Ale wstydził się pragnień szczęścia dla siebie, zmysłowego, czy estetycznego, miał je za pokusy, za skłonności zdrożne, bo nie umiał ich pogodzić ze swym systematem. Kiedy wszystkim źle, dlaczego mnie ma być dobrze? Dążenie do osobistej rozkoszy jest wsteczne w stosunku do troski o publiczne dobro. I te zasady główne nie pozwalały mu myśleć o zabawie, o miękkim poddaniu się nęcącym falom życia.

Zabrał się był już dzisiaj do napisania paru listów, oczekujących na odpowiedzi, gdy rzucił okiem na starą francuską rycinę, przedstawiającą Dyanę na łowach. Rycina ta stała na biurku bez oprawy, oparta o jakiś przedmiot; znalazł ją przedwczoraj, przeglądając starą tekę, wydobył z ukrycia i postawił na biurku, bo głowa bogini, wypatrzonej jelenia bystremi, czarnemi oczyma, była podobna do Halszki.

Pisał n adne listy i zerkał na główkę Dyany, raz nawet uśmiechnął się do niej z upodobaniem i odłożył pióro. Lecz po chwili uderzył niecierpliwie ręką o stół i schował rycinę do szafy.

— Nie wolno mi, nie wolno!

I pisał dalej.

Od miesiąca, od czasu wyjazdu z Waru, bronił się od wspomnień tej Halszki, która go ostatecznie ujęła dziecinny swym zapalem do sprawy dróg bitych i obietnicą wysłania ojca do Petersburga. Całe to wykwiutne życie wiejskie, zamek, i kraj, i lasy, stały się dla Jana symbolem uczuć zakazanych: miękkiej rozkoszy, nadmiernej zabawy, a dni te i krajobrazy, w których było mu dobrze i ciepło, skupiały się w jego wyobraźni około jednego obrazu księżniczki. Tak Halszka wyglądała w zamku, tak w saniach, tak w altanie myśliwskiej... Niby duch tych wrażeń, kraśniczyna tamtych krain, śniła mu się Halszka i odwoływała go od codziennych zajęć.

Tłumił w sobie tę wizję, ścinał ostrym rozsądkiem te niewczesne kielki sentymentalizmu, który potępiał, mając go za nieprzyjaciela czynu. Nawet, aby się wyleczyć, tłómaczył na złe różne rysy charakteru Halszki. Jest zalotna i chciwa przewagi swej nad mężczyzną; z tego ślicznego dziecka wyrośnie taka sama księżna Hortensya, albo nawet pani Hohenstegl!. Nie! taką nie będzie—inną ma duszę... tylko czy nie zaśnie jej dusza w tym sybarytycznym gwarze, pośród niebezpiecznych zapachów i kadzidel?.. Wreszcie bronił się od wszelkich nad nią rozmyślań, formułując swe postanowienie zimno i prosto:

— Sfera nie dla mnie, życie nie dla mnie i ona nie dla mnie.

Ściągał potem czoło i pracował, pracował, czując, że ma wiele do roboty w życiu, dla siebie i dla innych.

IX.

Był karnawał. Warszawa, pokryta śniegiem, białym tylko na dachach, tętniła życiem zdwojonem. Środkiem głównych ulic migало coraz więcej pięknych powozów wśród ciągłego szeregu podlejszych, a po chodnikach szedł tłum zwarty, niezwykle cichy, jednak nie leniwy wcale, owszem bardzo żwawy; mężczyźni, przeważnie ubrani nie-dbale, wymijali się z pośpiechem; kobiety, dużo strojuńsze, wydawa-

ły się arystokracją tego tłumu; co kilkadziesiąt kroków spotkać było można matową twarz, śmiałe spojrzenie i zgrabną kibić pięknej Warszawianki, postukującej tryumfalnie po kamieniach sławnie rasową nogą. Nawet w tramwajach, na jednej ze średnich ławek, z brzegu, siedziała zwykle ta sama Warszawianka, ratując swoją osobą wielkomięjski pozór ulicy. Skoro tylko zaświeciło słońce, ruchliwy tłum wylegał na Nowy-Świat, Krakowskie-Przedmieście, Marszałkowską, jakby uważał te ulice za swoje sale balowe, i ciągnął po nich nieprzerwanym korowodem.

Andrzej Zbarazki wyszedł przed południem z hotelu Europejskiego i stanął na rogu, przed cukiernią Lursa. Na widok tej strojonej, wysokiej postaci kilka sanek rzuciło się do usług, najeżdżając, spychając się, sprawiając wielki brzęk grzechotek i popłoch między przechodzącą publicznością.

— Ja, proszę jaśnie pana!

— Matensz, proszę księcia pana! Widzisz go, sałata! konie z psich jatek wynajęte, a lizie w oczy!

— Jestem, proszę księcia pana—zawołał, zajeżdżając przed sam chodnik dorożkarz w czystej, granatowej liberyi, właściciel pary wielkich koni, brzęczących, pióropuszastych, pokrytych jaskrawą siatką.

Andrzej wszedł, dał adres domu Arnolda Hellego i sanki pomknęły, jak wicher.

— Pan Helle przyjmuje?

— A jak mam zameldować?

Zbarazki oddał kartę wizytową, zrzucił futro i wszedł do dużego, jasnego pokoju, przeznaczonego widocznie na poczekalnię. Był już parę razy u Hellów, ale nie z interesem do pana, więc nie znał biur i gabinetów.

Służący, powierzchowności oficjalnej, niby woźny z ministerjum, powrócił i oświadczył, że pan Helle bardzo zajęty z dwoma panami z Berlina, że prosi, aby księżę raczył poczekać; przyjmie go zaraz po wyjściu tych panów.

Andrzej usiadł w fotelu i rzucił okiem po pokoju. Kilka osób siedziało pod ścianami; dwie panie, zapewne matka z córką, albo teściowa z synową, w żalobie; paru urzędników trzymało na kolanach papiery, oprawne w szarą aktową bibułę; naprzeciwko zaś siedział wynędzniały jegomość we fraku i mętne, błagalne oczy wlepił w Andrzeja, jakby się decydował, czy, zanim dostanie się do gabinetu Hellego, nie poprosić o protekcję tego pana, należącego widocznie do ludzi możnych.

Zbarazkiemu nie smakowało zupełnie to koleżeństwo w oczekiwaniu; wstał-by nawet i wyszedł, gdyby nie było śmiesznem oznajmić się i zniknąć.

— A to wpadłem!—myślał—gdybym wiedział, że mnie czeka taki obrzęd, napisał-bym.

W tem drzwi od przedpokoju uchyliły się, zaszeleściła suknia i we drzwiach ukazała się Marynia—śliczna Marynia w futrzanej zarzutce na ramionach, z głową odkrytą, jasną, trochę naprzód podaną, co czyniło bardziej jeszcze tęsknem spojrzenie jej błękitnych oczu. Musiała przejść przed Andrzejem, aby trafić do drzwi, prowadzących do pokoju ojca.

Szła śpiesznie, zarumieniona, prosto do krzesła, z którego powstał Andrzej, ocucony wesoło ze swych nieprzyjemnych rozmyślań. Podał jej rękę serdecznie.

— Dzień dobry pani.

— Dzień dobry księciu.

— Pani jeszcze chyba urosła?

— To pewno dla tego, że ksiązę zapomniał, jak wyglądam.

— Właśnie przeciwnie: porównyвам moje wspomnienia z wrazeniem obecnem i cieszę się jeszcze bardziej widokiem pani

W oczach i w nozdrzach Adrzejza zagrało coś pożądlivego. Marynia prędko zwróciła rozmowę:

— Ksiązę czeka... przepraszam za ojca, on taki zajęty. Idę tam właśnie, ale ze strachem, czy nie wypędzą mnie... Do widzenia.

Gdy otworzyła drzwi do gabinetu ojca, Andrzej poznał głos Hellego, mówiącego żywo po niemiecku, doskonałym berlińskim akcentem. Poczul się jeszcze bardziej pomiędzy obcymi. Wprawdzie już ojciec Hellego był obywatelem warszawskim i zrobił duży majątek na browarach. Arnold potroił ten majątek, założywszy fabryki żelazne, również u nas, ożenił się z Polką, zachował jednak wiele pozorów i zwyczajów starego niemieckiego mieszczaństwa.

Świeży zapach pozostał po Maryni. Zbarazki odróżnił go z rozkoszą od woni bibuły i politur, napełniającej poczekalnię, miał bowiem bardzo wrażliwe powonienie. Domyślał się także, że Marynia musiała go spostrzedz na ulicy, lub inaczej jakoś dowiedzieć się o jego obecności w domu rodziców, bo skądże ten nagły interes jej do ojca?.. Nie wątpił zresztą, że się pannie bardzo podoba, ale i Marynia podobała mu się niezwykle. Jej kształtna postać, uśmiech odsłaniający różowe dziąsła, delikatna bardzo skóra, miały w sobie coś zmysłowo obiecującego, coś osobliwego.

Gdy ją Andrzej spotkał po raz pierwszy w Ostendzie przeszłego lata, wziął ją za cudzoziemkę, ale tego samego dnia dowiedział się, kto ona jest i gdzie mieszka, nazajutrz zaś poznał się z rodziną Helłów, o co u wód nie trudno.

Przyszedł mu na myśl teraz jeden epizod z Ostendy.

Opalowe morze śniło sobie, lekko pomrukując pod nadbrzeżną groblą, rojną przechadzką kąpielowych gości. Łódki rybackie osiadły gładką wodę, bliższe wyraźne, smolne i ciężkie, dalsze zupełnie białe, gorące światłem. Olbrzymi pomost „estakady“, rzucony na słupach w morze, odbijał się odwrotnie w błękitniejszej w tem miejscu fali. Andrzej szedł obok Maryni, która podawała rękę ojcu. Marynia miała suknię białą jak śnieg, białą jedwabną bluzkę, marynarski kapelusz i białą parasolkę; świeża jej twarz wyglądała jak różowy owoc, rzucony w całe to mleko. Mówili o byle czem, spoglądając na morze.

Tymczasem zbliżał się do nich, idąc po grobli wśród tłumu, bardzo wysoki pan o siwej brodzie i czarnych przenikliwych oczach. Choć ubrany był zwyczajnie, ustępowano mu z drogi i kłaniano mu się bardzo często. Był to Leopold, król Belgów.

— Czy trzeba mu się kłaniać?—szepnęła Marynia.

— Naturalnie—odrzekł Zbarazki.

— A po co?—mruknął Helle.

Obie odpowiedzi padły naraz, ale Marynia długą swą szyją i tęsknemi oczyma ukłoniła się tak ładnie, że król Leopold, grzeczny zawsze dla dam, oddał ukłon z okazałą dworskością. Musiał i Helle, idąc w tej samej grupie, zdjąć kapelusz.

Nie mówiono o tem więcej, tylko Marynia podniosła ukradkiem oczy na Zbarazkiego, niby zapytując „czy tak dobrze?“, a jemu pochlebił ten błyskawiczny wybór między jego zdaniem i ojca.

.

— Pan Helle prosi księcia pana.

Andrzej wszedł do wielkiej, jasnej pracowni, pełnej sztywnych szaf i papierów; kilka obrazów na ścianach i wygodniejsze meble różniły ją od poczekalni, ale był to ten sam styl zimny, praktyczny. Helle siedział w głębi pokoju, odwrócony do drzwi, przez które wszedł Zbarazki, i notował coś pośpiesnie. Gdy ujrzał Andrzeja, zbliżającego

się już do biurka, powstał sprężysto i obrócił się ku niemu z tym wyrazem twarzy człowieka bardzo zajętego, który patrzy na osoby, jak na numery spraw, przypadających dzisiaj do załatwienia.

— A! dzień dobry księciu. Słucham.

Twardą, kościstą dłonią ścisnął rękę Andrzeja, potem wskazał mu szybkim ruchem boczny fotel przy biurku.

Andrzej, mimo zwykłej pewności siebie, poczuł się trochę stropionym. Chciał tę sprawę załatwić po przyjacielsku, lekko, po przywitaniu: „Kochany prezesie, powierzono mi tu rzecz tego rodzaju, mam nadzieję, że pan to ocenia itd.“ Ale natrafiwszy na ten ministerjalny ton przyjęcia i po półgodzinnem czekaniu na audyencyę, musiał rozpocząć rzecz zimno, zwięźle i dosadnie. Nie bardzo zaś był na to przygotowany.

Wydał jednak, o ile ją pamiętał, lekcycę wziętą od Dołęgi.

Helle słuchał nerwowo: kręcił w palcach ołówek, marszczył i rozmarszczał twarz nadzwyczaj ruchliwą, o mięśniach wybitnych, oddzielonych od siebie głębokimi brózdami; siwiejący czub ruszał się razem z czworokątnem czołem. Przymrużał oczy, ciskające czasem niespokojne, żółte błyski, oczy drapieżne i rozumne, otoczone żółciowemi pęcherzami. Gdy Zbarazki przerwał swój referat, Helle postawił pionowo na stole ołówek i, patrząc w ten ołówek, zapytał:

— Dlaczego pan udajesz się z tem do mnie?

— Myślałem, że pana ta sprawa zajmie, jako bogatego i czynnego obywatela kraju.

— Zając mnie może w teorii, ale wcale nie leży w moim interesie. Ja mam, panie, fabryki w mieście, albo blisko od kolei, i do transportów mam nie tylko szosy, ale własne szyny i wagony.

— Jednak ułatwienie komunikacji oddalonym od kolei posiadaczom ziemi jest wielkim krokiem w rozwoju ogólnego dobrobytu i cywilizacji.

— Jest i wiele innych rzeczy do zrobienia dla ogółu, a każdy działa najprzód w swoim zakresie i zaczyna od siebie i blizkich sobie. Pan, na przykład, myślisz o szlachcie, posiadającej wielkie obszary ziemi w oddalonych od kolei okolicach.

— Szlachta, czy nie szlachta—odparł Andrzej twardniejącym nieco głosem,—więksi właściciele ziemscy są głównymi przedstawicielami narodu, a ich dobrobyt obchodzi całe społeczeństwo.

Helle spojrział Zbarazkiemu po raz pierwszy prosto w oczy; wydawał się teraz młodszym i gotowym do walki. Rzekł:

— Pogląd pański podlega dyskusji. Nie wiem dla czego więksi właściciele ziemscy, a nie miejscy, mają być głównymi przedstawicielami narodu? Nie wiem także, jak pan nazywasz liczebnie przeważ-

na masę drobnych właścicieli i ludność bezziemną, zgromadzoną głównie w miastach? Czy praca tych innych i dla tych innych, czy ich dobrobyt nie obchodzi społeczeństwa?

Andrzej poczuł się od razu śmiertelnie znudzonym. Mówił już bez najmniejszego przekonania, byle skończyć:

— Wchodzimy, panie... prezesie, na ślizkie drogi. Bardzo pragnąłbym nie spierać się z panem. Skoro pan odmawia swego udziału to miśya moja skończona.

— Za pozwoleniem — tłumaczę się. Najprzód kto ten interes będzie prowadził? Kto tu będzie robotnikiem około sprawy?

— Techniczną stronę obmyślił i zaprojektował pan Jan Dołęga.

— Dołęga? — a tak, wiem. To dobrze, ale nie o to pytam. Dołęga nie ma wpływów. Pytam kto się zajmie przeprowadzeniem sprawy u władz, zorganizowaniem towarzystwa — jednym słowem: kto projekt w czyn wprowadzi?

— Hrabia Szafraniec, panowie Zawiejscy, mój ojciec — są już pozyskani...

Powichrzony czub Hellego zaczął falować razem ze skórą czoła, twarz przybrała wyraz pośredni między zakłopotaniem a szyderstwem.

— Szafraniec?.. no to macie panowie dosyć pieniędzy.

— Zwracam się do pana, aby zapewnić się o szerszym udziale możnych obywateli kraju.

— A czy wolno wiedzieć — spytał Helle — jaki udział pieniężny obiecał hrabia Szafraniec?

— Dotychczas nie było o tem mowy; tymczasem panowie: Szafraniec, Hektor Zawiejski i mój ojciec wybierają się po koncesyę do Petersburga.

— Teraz rozumiem — rzekł Helle — Ci panowie dadzą firmę, a mieszczaństwo da pieniądze. Panowie udajecie się do nas zawsze, gdy potrzeba pieniędzy, pod pozorem, że każdy bogatszy obywatel kraju powinien nosić część ciężaru dla publicznego dobra. Bardzo pięknie. Ale przytem mówicie nam, gdy chodzi o jakieś moralne dowództwo, o firmę, żeście wy tymi urodzonymi naczelnikami. Nam zostawiacie robotę, jeżeli jest ciężka i niepokaźna, no i — udział pieniężny.

— Bardzo daleki jestem od tej myśli — rzekł Zbarazki dumnie — a jeżeli pan używa liczby mnogiej, to i ja pozwolę sobie powiedzieć, że jesteśmy bardzo dalecy od chęci wyzyskiwania możnych obywateli miejskich. Pragniemy dzielić się z nimi równie ciężarami, jak zasługą i moralną nagrodą.

— Gdyby tak było!—mówił Helle coraz goręcej—ale to są pana osobiste złudzenia, albo dobre chęci. Arystokracja tak nie myśli. Przepraszam za szczerość; pan się nie orientujesz w swojej własnej sferze, tak jak panowie wszyscy nie orientujecie się w swoich zadaniach. Zadania te u nas trudniejsze są, niż w innych krajach, trudniejsze dla każdej klasy, a cóż dopiero dla arystokracji, która nietylko nie umie, ale nie chce się opierać na masie narodu. Poszanowanie, moralna władza—wypływają nie z dziedzictwa dawnych zasług, ale z realnych zasług dla dobra żyjącego pokolenia. Wtedy naród zgadza się na swoją arystokrację i daje się poniekąd jej kierować. A panowie czy oglądacie się na społeczeństwo? Czy nie pracujecie (jeżeli kto tam u was pracuje) dla waszej wyłącznie kasty? Nie widzicie nawet, że kraj się rozrósł, że przybyły mu nowe siły, z którymi trzeba się liczyć i współdziałać, aby zyskać sobie potwierdzenie swych starych tytułów—panowie nie znacie nawet kraju!

Andrzej patrzył na Hellego ze zgrozą. Jakto? ten Helle, którego ojciec jeszcze był przybyszem z Niemiec, odzywa się do prastarych synów tej ziemi: „nie znacie kraju!“ Jest to widocznie człowiek dziwnie zarozumiały. Odpowiedział, starając się przybrać ton uśmierzający:

— Szanowny panie, ta krytyka wydaje mi się jednostronną i trochę niewczesną. Oto właśnie zabieramy się do pracy określonej i pożytecznej; przychodzę do pana z zapytaniem, czy nie chce się pan z nami połączyć; odmawia pan, bo ma nadto innych obowiązków. Rozumiem, mocno żałuję i nie nalegam już.

Andrzej wstał, aby się pożegnać. Powstał i Helle, ale mówił jeszcze:

— Nie chcę, abys mnie ksiązę źle zrozumiał. Nie odmawiam zasadniczo, bo sprawa jest pożyteczna. Jeżeli trzeba będzie pomocy fachowej, ofiaruję swoją pomoc. Co zaś do udziału pieniężnego, dam tyle, ile da hrabia Szafraniec.

Zbarazki zrozumiał, że odpowiedź ta jest tylko nową krytyką osób podejmujących się sprawy, ale poczuł zarazem, że nie starczy mu sił i cierpliwości do dalszego spierania się. Rzekł więc tylko:

— Przełożę pańską odpowiedź głównym inicjatorom.

Helle wyciągnął do Zbarazkiego rękę silnym, prostym ruchem i twarz mu się rozjaśniła.

— Wybacz, ksiązę; interes interesem, a przyjaźń przyjaźnią. Gdybyś pan chciał sam coś zrobić, a potrzebował mojego współdziałania, służę. Moje uszanowanie.

Andrzej już wychodził, gdy we drzwiach spotkał Marynię, zakłopotaną.

— Mama mi poleciła zapytać, czy księżę nie został-by u nas na śniadaniu?

— Al bardzo proszę, bardzo proszę—wmieszał się do rozmowy Helle i począł tyranicznie namawiać Zbarazkiego na śniadanie, jakby mu chciał nagrodzić nieprzyjemną rozmowę.

Zbarazki odmówił-by z pewnością, gdyby nie spojrzal na twarz Maryni, całą zamienioną w oczekiwanie i prośbę. Zgodził się więc po wahaniu i poszedł za przewodniczką przez długi szereg pokojów i schodów.

Marynia szła posuwiście naprzód, szeleszcząc spódniczkami, aż gdy mieli już wejść do salonu, odwróciła się do Andrzeja, i podnosząc na niego tęskne oczy, podała mu obie ręce.

— Tak się cieszę...—rzekła i urwała.

A on, patrząc na tę świeżą, jak wiosna, pannę, powtórzył tylko jej słowa, bo nie mógł powiedzieć tego, co myślał:

— I to milutkie kobieciątko jest córką tego starego żbika!

X.

Skoro tylko znalazł się w towarzystwie kobiet, Andrzej poczuł się swobodnym, wesołym, a nawet energiczniejszym. Pani Hellowa, pochodząca z zaszczytnie znanej rodziny Dekiertów, przyjęła gościa bardzo czule, podnosząc na niego błękitne oczy, trochę zamglone i krótkowidzące, jednak jeszcze wymowne, oczy Maryni, o dwadzieścia lat starsze. Była to osoba słodka i miłosierna, niedoceniana zwykle dlatego, że Helle rzucił zbyt wielki cień na nią. Gdy mówiono o Hellach, myślano zawsze o panu, od niedawna o córce, dla jej piękności i ogromnego posagu,—ale nigdy o pani.

— Zapraszam księcia na śniadanie ściśle familijne; nie mamy nikogo z gości, ale sądziłam, że księżę jest sam w Warszawie i może nam poświęcić godzinę czasu.

— Tem milej mi będzie—odpowiedział Andrzej — bardzo dziękuję za pamięć o biednym, zgłodniałym interesancie. Rodzice moi wprawdzie przyjechali wczoraj, ale ja mieszkam w hotelu i jadł-by tam śniadanie, zamiast tej niespodziewanej przyjemności.

Odzyskał swój głos miękki i ciepły, przymilał śniące, prawie kobiece spojrzenie. Matka i córka patrzyły w niego, jak w tęczę.

Do salonu weszła pani Wadowska, nauczycielka, smutna, wdowa postać. Zbarazki przedstawił się jej i podał rękę tak uprzejmie, że odrazu dobrze dla siebie usposobił biedną kobietę, przywykłą do rozmaitego traktowania przez rozmaitych gości. Gdy podano śniadanie, Andrzej znalazł się przy stole między trzema kobietami, bo na pana nie czekali: miał zwyczaj jadać o różnych godzinach, stosownie do swoich zajęć.

Mieszkanie Hellów było wspaniałe, brakło mu tylko tej patyny, która cechuje wewnątrz urządzone oddawna i przez kilka pokoleń. Jednak Andrzej oddychał z przyjemnością zapachem kobierców i kwiatów, zwłaszcza po opuszczeniu sztywnych biur, napełnionych wonią urzędową. Rozejrzał się po sali jadalnej, nieco przeładowanej stylem staro-niemieckim, oświetlonej przez okna o drobnych, kolorowych, w ołów oprawnych szybach.

— Jaka przyjemna sala! — rzekł, pomijając inne pochwały.

A trzeba było coś powiedzieć o sali: prosiła się o to koniecznie.

Pomówiono trochę o stylach, przyczem Zbarazki rozwinął wstrzeźliwie parę estetycznych teorii, pytając niby nieśmiało o zdanie pań, chociaż znał dużo lepiej od nich historię sztuki i smak miał niepospolicie wyrobiony. Podkreślił mimochodem wszystkie ładne szczegóły mieszkania, w którym się znajdował.

— Te dwa krajobrazy w salonie czy są Norblina?

— Tak, — odpowiedziała pani Hellowa — Norblin malował je dla mego pradziada.

Andrzej pochylił się, jakby przejęty uszanowaniem.

— Aa — tem są cenniejsze. Mamy podobne w Warze, ale mniej piękne.

— Ten War musi być wspaniały? Słyszałam wiele o nim. Czy prawda, że są tam zwodzone mosty, i baszty ze strzelnicami, i trębacz zamkowi?

— Są tam różne staroświecczyny, niektóre ładne. Panna Marya powiedziała mi w Ostendzie, że War wyobraża sobie gdzieś na granicy Turcyi. Pewno nie pani Wadowska nauczyła tej geografii, ale jest w tem coś prawdziwego. Ja uciekam z Waru, skoro niema polowań.

Manewrował tak, aby wszystkim i każdej z osobna powiedzieć coś uprzejmego. Wtem drzwi otworzono na rozścież i ukazał się Helle. Nie przyszło mu do głowy przeproszać, że się spóźnił, było to bowiem dla niego normalne.

Nie jadł tego, co wszyscy: podano mu osobną jakąś potrawę i przyniesiono dużą szklankę piwa z beczki. Zaraz rozmowa upadła, bo, mimo uroku, który Andrzej wywierał na panie, wszystkie trzy zwróciły się do władcy. Helle jadł prędko i niecierpliwie, źle trzymał sztućce, mówił głośno, pełnemi ustami, zdawał się nie spostrzegać, że ma gościa przy stole: wspominał o swoich interesach; siedzącą obok Marynię gładził ręką po twarzy.

Zbarazki był wrażliwy i spostrzegawczy, ale umiał doskonale pokrywać swe wrażenia. Nie zmienił więc uśmiechu, nie zwracał niby na nic uwagi, tylko raz drgnął niezznacznie, gdy twarda dłoń Hellego dotknęła twarzy Maryni.

Śniadanie było długie i wyszukane; znać było, że Hellowie często przyjmują gości, skoro stół codzienny tak był wystawny. Andrzej czekał końca z upragnieniem, bo miał nadzieję, że Helle zniknie znowu po śniadaniu.

Zgadł trafnie, bo Helle przysiadł tylko na chwilę w salonie, zapytał Andrzeja, niby z łaski, czy woli koniak, czy likier do kawy i wkrótce powstał, mówiąc:

— No, czas już na mnie.

Milcząc ścisnął rękę Zbarazkiego i wyszedł.

Pani Hellowa starała się wytłómaczyć męża i przekładała Andrzejowi, że Arnold jest ogromnie czynny; dodała nawet, że nie trzeba się zrażać jego pozorami, gdyż ten szorstki człowiek ma złote serce, niezwykłą prawość charakteru i różne inne przymioty.

Andrzej słuchał bardzo grzecznie i sam pomagał do apologii, odzyskawszy humor po wyjściu Hellego. Nie chodziło mu bowiem wcale o zalety tego człowieka, ale nie cierpiał nudów i wrażeń niestetycznych.

Było mu znowu dobrze między matką a córką, w atmosferze uprzejmej, przy wybornej kawie; czuł się znowu panującym i kochanym, nawet dobrym i gotowym do poświęceń. Mówił paniom rzeczy słodkie, poufne; nie opuścił żadnej sposobności, aby im powiedzieć, że są ładne i wytworne; zwierzał się przed niemi ze spraw swoich rodzinnych, oględnie, ale dostatecznie, aby dać im poczuć swe do nich zaufanie; przesadził nawet znacznie w opowiadaniu synowskie uwielbienie dla swej matki. A że wdzięk rozmowy z kobietami polega bardziej na muzyce, niż na treści słów, więc oczarował matkę i córkę. Obie ścisnęły mu mocno rękę przy pożegnaniu, a gdy wyszedł

Marynia rzuciła się w objęcia matki bez widocznego powodu. Znaczyło to jednak wyraźnie w osobnym narzeczu kobiet:

— Jaki on miły i piękny! Mamo, czy on będzie kiedy moim?

Andrzej zaś kazał dorożkarzowi jechać w Aleje Ujazdowskie i z rozpędzonych sanek kłaniał się znajomym radośnie, — a i znajomi mieli wszyscy dziwnie wesołe twarze.

XI.

Dopiero pod Belwederem przypomniał sobie Zbarazki, że powinien zdać relacyę Dołędze ze swej wizyty u Hellego. Skrzywił się, bo mu to mąciło seryę przyjemnych wrażeń, jednak kazał dorożkarzowi jechać na Marszałkowską.

Andrzej przyjechał przed paru dniami do Warszawy, ale nie był jeszcze u Dołęgi. Wogóle sprawa szos nie postąpiła od owej energicznej sesji w Chwaciejówce. Dołęga wiedział o niej tylko przez listy. Wmieszanie Hektora Zawiejskiego do wyprawy po koncesyę zadziwiło go nieco, jednak nie zniechęciło: niech sobie Hektor będzie wielki, byle-by sprawa na tem zyskała. Oczekiwano dotąd na radę Karola Zbązkiego i na wyruszenie z Waru księcia Janusza, który nie był zbyt pochopny do tak awanturniczej decyzji. Szafraniec zaś, zdecydowany tym razem, gotów był do jazdy.

Andrzej zastał Jana w domu, i po serdecznem przywitaniu, oświadczył, że właśnie wraca od Hellego.

— No, jakżeż tam poszło? — pytał Jan niespokojnie.

— Kłapa, mój drogi, — odrzekł Andrzej, nie pozbywając się uśmiechu i szukając napróżno kanapy w pracowni Dołęgi.

Jan ściągnął brwi i zaczął chodzić po pokoju, a Zbarazki, usadowiwszy się najwygodniej na fotelu, oparłszy nogi o krzesło, przemówił śpiewnie, przewlekle:

— Widzisz, Janku, ja nie jestem do takich poselstw. Jak mi zaczął dowodzić, że ten cały projekt jest zrobiony przez szlachtę i dla szlachty, a potem spierać się o to, kto jest głównym przedstawicielem narodu: szlachcic wiejski, czy właściciel fabryki w mieście, to jest niby, czy ja, czy on, — poczułem odrazu ogromny wstręt do tego pana.

— To szkoda, ogromna szkoda, — wtrącił Dołęga.

— I powątpiewał wogóle o naszych zdolnościach. Wreszcie obiecał dać tyle, ile da Szafraniec... To mu się udało. Jednym słowem, ni tak, ni owak, a nagadał mnóstwo nieprzyjemności całej naszej sferze, jak naprzykład, że nie orientujemy się w swoich zadaniach i nie znamy własnego kraju! Co? miły człowiek?

— Cóż mu odpowiedziałeś?

— Miałem parę dróg do wyboru: albo przekonać go, że znam kraj, albo wyzwąć go na pojedynek, albo — zostać u niego na śniadaniu. Wybrałem to ostatnie.

— Zostałeś na śniadaniu? więc w rezultacie?.. Mój Andrzeju, nie żartuj, bo to przecie sprawa ważna!

— Zaczekaj... widzę, że cię chwyta gorączka, a ja ci przynoszę, mimo nieudanej wycieczki, napój uśmierający. Najprzód — Marynia jest cudowna...

— No tak, — mruknął Dołęga i począł znowu chodzić.

— Jest cudowna. Ma jakiś Holbeinowski wdzięk nawet w tej barokowej ramie i w tej przekłętej poczekalni. Ach, poczekalniali! Znasz ją?

— Znam.

— Więc pomijam. Za to w salonie są dwa dobre Norbliny, pochodzące od rodziny matki. No i sama matka bardzo przyjemna. Te panie są wychowane dużo lepiej od naszych. Mówię ci, konwersacya po śniadaniu... Aha, łapiesz za zegarek. Zaraz wyniosę się.

— Przepraszam cię, Andrzeju... Tak sobie spojrzałem na zegarek, przez roztargnienie... Nie wiecie nam się.

— Poczekaj więc, mam coś pomyślniejszego w zapasie.

— No? mów prędko!

— Rodzice moi przyjechali wczoraj do Warszawy na ślub Koryatowicza. Mówiłem z ojcem; otóż, przełamał swą czcigodną inercyę, i obaj, razem ze szlachetnym Hektorem, wybiorą się w drogę zaraz po tym ślubie.

— To co innego! To doskonale! Jakże się książę Janusz zdecydował?

— Najprzód Karol Wielki, zapytany o radę, czy udać się do Petersburga, odpowiedział: „Zawsze“.

— Brawo, Karol Wielki!... Ale co to jest: zawsze?

— On tak się zwykle wyraża. W tym wypadku znaczy to, że pochwała, że sankcyonuje... Wogóle?... Dyabli go tam wiedzą, dość, że znaczyć nie może nic innego. A i w Warze masz sprzymierzeńców.

— Chwała Bogu! — wykrzyknął Dołęga.

Zbarazki zmrużył przenikliwie oczy i ciągnął dalej tonem przyjaźnie szyderyczym.

— Naraz i administrator wynalazł mnóstwo pilnych spraw do Petersburga; i Kordysz—wiesz? nasz łowczy—chce koniecznie skończyć z serwitutami; i Marsowicz wyprawia ojca, a głównie... Halszka ma tam jakieś sprawunki. Ha, ha! Więc najprzód była faza taka, że mówiła do ojca: „jeżeli-by papa pojechał do Petersburga“ — potem różne spiski z administracją; następnie druga faza: „Jak papa będzie w Petersburgu“... Wreszcie przyszedł w porę ten ślub Koryatowicza. Wiesz? Żeni się pojutrze z Kostkówką — więc już wsiadało się na ojca z góry: „Papa musi jechać na ślub Jurka“. A skoro przyjechał do Warszawy, pojedzie tym samym rozpędem i dalej. Jest to już ostatecznie postanowione.

Dołęga słuchał rozpromieniony.

— Dziękuję ci serdecznie, Andrzej.

— Za co? Za nieudany zamach na Hellego?

— Za starania i za wiadomości. Widzisz, Helle nie odczuł potrzeby tej sprawy, ale odczuli ją Zbarazcy. Gdybym miał tu wino, pił-bym zaraz na cześć wszystkich Zbarazkich. Jesteście wielką siłą, powinniście jej używać na dobro.

— Ach, siła i my!—rzekł Andrzej. — My jesteśmy tylko względną wartością, ale nie siłą.

— Nie wykręcaj się, — jesteście siłą.

— No, kiedy jestem siłą, to cię pociągnę za sobą do „Sportu“. Pozwól sobie bowiem powiedzieć, że zamało starasz się o ludzi, których chcesz obudzić i pełnąć do działania. Jesteś szorstki, jak szczotka.

— Masz słusność.

— Nie bywasz w naszym towarzystwie, a przynajmniej za rzadko.

— Prawda i to.

— Czy będziesz pojutrze na ślubie Kostkównej?

— Ale gdzie tam!

— A widzisz. Zebyś mi powiedział wcześniej, zaproszono-by cię na śniadanie poślubne i poznał-byś mnóstwo osób, należących do tej „sily“, o której prawisz. Weź przynajmniej moje zaproszenie, za którym wpuszczają cię do kościoła.

— A to mi po co?.. Zresztą, daj ten papier, dziękuję ci.

— A teraz chodź ze mną do „Sportu“. I tam pełno ludzi, którzy zdać się na coś mogą.

Dołęga nie poszedł jednak do „Sportu“, bo nie miał dzisiaj czasu. Może kiedy indziej pójdzie.

Zbarazki siadł zatem sam do sanek. Zabrzęczały, pośliznęły szybko i wkrótce Andrzej wchodził już do sali, gdzie panowało milczenie, mimo obecności kilkunastu osób.

Siedziały czwórkami naprzeciwko siebie poważne głowy przy czterech bokach kwadratowych, krytych zielonem suknem, stolików, zamysłone nad zagadnieniami winta, które są podobno głębsze, niżby się zdawało świeżym adeptom. Przy czwórkach graczy było jeszcze po paru z „galeryi“, tej najsmutniejszej klasy ludzi, żywiącej się cudzemi wzruszeniami.

Andrzej przeszedł przez salę winta i udał się do innych, gdzie gwarnie o czemś rozprawiano. Panowały nad innymi podniesione głosy Hektora Zawiejskiego, Włoska i Kerstena, spierających się o to, kto komu robi łaskę: czy księżę Koryatowicz, żeniąc się z Kostkówną, czy ta ostatnia, wychodząc za Koryatowicza. Zaden z rozprawiających nie był krewnym ani jednej, ani drugiej strony, ale ślub ten roznamiętniał wszystkich z powodu okazałego zjazdu i zaproszeń do pałacu Karola Zbązkiego, który, jako wuj panny młodej, wyprawiał u siebie wesele.

— Bądź co bądź, — wołał Hektor Zawiejski, — Koryatowiczowie są ze starego książęcego szczepu i mają prawo być traktowani na równi z pierwszą arystokracją europejską. A przytem Jerzy jest bardzo miłym chłopcem i mógł-by się ożenić tak samo z księżniczką krwi, jak z Kostkówną.

— Pozwól pan, panie Zawiejski, — mitygował mówcę Kersten, składając ozdobnie dwa palce. — Nie mnie uczyć historii szlachty, więc wiem, jakie jest pochodzenie Koryatowiczów. Ale przypomnę panu, że są u nas rodziny książęce, specjalnie u nas, które przez cały okres naszych dziejów były nieznaczną, prowincjonalną szlachtą. Tacy książęta jeżeli drew sami nie rąbali, trzymali się klamki panów, i nie jestem pewny, czy który Koryatowicz nie był marszałkiem dwornu u wojewody Kostki?

— Ale co pan mówi? Gdzież to podobna! — oburzał się Hektor. — Przecież są krewnymi Zbarazkich!

— Ach, jutro zostaną krewnymi Kostków i spadkobiercami Zbązkich. Cóż to dowodzi o ich przeszłości?

Wmieszał się do rozmowy pan Włosek, ruchliwy człowieczek, o długim, myszkującym nosie, gładki, staramie ubrany i bardzo popularny w „Sporcie“. Małe jego oczy błyszczały żywym ogniem,

a nos zdawał się wietrzyć. Jak skąpiec spoziera na złoto, jak antykwaryusz przegląda skarb z ciekawej epoki, tak Włosek traktował z zamilowaniem każdą nowinę, obchodzącą wysokie sfery towarzyskie, do których przyjęto go osobiście, bez żony i potomstwa.

— Niema co mówić, — prawił, — c'est une mésalliance.

— Dla kogo?

— Pour les Kostka!

— Niech pan uważa, — trącił go ktoś, ukazując na Andrzeja Zbarazkiego, który wszedł właśnie do sali.

Zbarazki był kuzynem jutrzejszego nowożeńca. Włosek nie stracił głowy i przyskoczył do Andrzeja.

— No, niech książę ten spór rozstrzygnie! Są przecie u nas wielkie i małe rodziny książęce. No co?

— A, dajcież mi pokój! — rzekł Andrzej, podnosząc ręce do uszu. Ja się nie znam nic na tem.

— On ma prawo na tem się nie znać, — odskoczył znowu Włosek od Zbarazkiego, pokazując go zebranym. — Ale to książę będzie wiedział, czy pan Zbązki nie ma innych spadkobierców, oprócz panny Kostkówny?

— Ta jest najbliższa; jest córką jego rodzonej siostry, a Zbązki nie ma już żadnych, oprócz wuja Karola.

— Prawda! — wykrzyknął Włosek, — hrabia Zbązki jest także wujem księcia! Więc to księciu obojętne, pour qui la mésalliance?

— Zupełnie obojętne, — rzekł Andrzej, podając rękę cichemu jakiemuś pann, nie biorącemu udziału w rozmowie.

Był to młody hrabia Reckheim, Niemiec, sekretarz ambasady w Petersburgu. Nosił na całej swej postaci piętno międzynarodowej elegancyi. Pierwszy raz zatrzymał się w Warszawie w przejeździe do Berlina. Zapraszany na wszystkie zabawy karnawałowe tego roku, zaczynał już orientować się w warszawskim wyższem towarzystwie, przyglądał mu się pilnie i spokojnie.

— O co tu chodzi? — zapytał, odprowadzając na bok Andrzeja.

Zbarazki wytlómaczył mu niedbale tę rozmowę.

— Więc u was może być wątpliwe, kto należy do jakiej sfery? — zapytał Reckheim poważnie.

— Ach, nie! Taka dyskusya może powstać tylko w kompanii, która zebrała się tutaj dzisiaj. Ce sont des types...

Andrzej wymówił ostatnie słowa z pogardliwym skrzywieniem.

W tej chwili Kersten, spostrzegłszy Reckheima ze Zbarazkim, zbliżył się do nich rytmicznym krokiem i zwierzył się im po cichu:

Uff! Jak to ciężko mówić z ludźmi na pół tylko cywilizowanymi! Zresztą to przypadek w naszym kółku. Zebrała się dzisiaj taka gromada. Ce sont des types!

Niemiecki dyplomata przysłonił oczy powiekami.

XII.

Kościół PP. Wizytek był przystrojony na uroczystość familijną pierwszej klasy. Choć ślub miał się odbyć o południu, zasłonięto okna i zapalono mnóstwo świec jarzących; oranżeryjne rośliny, kadzidła i perfumy wystrojonych gości weselnych napępiały wnętrze kościoła święteczną wonią. Od drzwi wehadowych do ołtarza stał podwójny szpaler mężczyzn we frakach, odgradzając puste przejście, zasłane karmazynowym kobiercem, od fali widzów napierającej z boków na ten korytarz środkowy.

Dołęga wszedł już dość dawno, boczną nawą dostał się do pilastru stojącego na granicy presbyterium i, niewmieszany w dalszą publiczność, patrzył. Rzędy krzeseł przed ołtarzem zaczynały się napępiać, a ławki główne we środku kościoła były już szczelnie ubrane twarzami, przeważnie starych kobiet. Skąd on znał te twarze sterczące, wysuszone, te ostre profile, te namiętne i zgasłe oczy, te fałdy około ust? Gdzie widział te ciemne stroje, starożytne kapelusze? Jakież mętne, gdzieś widziane obrazy powstawały w nim i twarze te, nieodłączne od kościołów, układały się niby we fryzy kamienne, otaczające tajemnicze wzruszenia pobożnego dzieciństwa.

Do krzeseł przybywało wiele bogatych futer i strojnych postaci, które witały się z sobą, gawędziły. Weszło i kilka pięknych pań. Ale między tem kołem wybranem, stanowiącem bliższe grono krewnych i znajomych, było kilka osób, aż strasznych od zwyrodnienia i starości: parę szcęk i czaszek nieprawdopodobnych, paru trzęsących się starców, zapatrzonych w ziemię, już prawie nieżywych. Wszystkie numizmaty familijne, wszyscy krewni do czwartego pokolenia zeszedli się tutaj dla ozdoby uroczystości.

Ogólną uwagę zwróciło wejście jednej starej damy. Ta już całą postacią nie należała wcale do dziewiętnastego wieku: wsparta jedną ręką na kuli, a drugą na ramieniu młodej dziewczyny, szła majestatycznie, postukując miarowo po posadzce, ukazując wspaniały, po-

godny profil z pod zakonnego stroju głowy, okrytej czarną chustą z białym koronkowym rąbkiem na czole. Rzekłbyś— Anna Jagiellonka z Matejkowego „Kazania Skargi“. Dołęga poznał ją z opisów, których nasłuchiwał się w Warze. Była to panna Temira Ostykówna, ulubiona ciotka Halszki, praciotka jakaś, ale, mimo ułomności i wieku, przyjaciółka młodych i całego świata.

Gdy napełniło się presbyteryum, szmer urósł do nateżenia głośniejszej rozmowy.

Nagle ucichł. Wszystkie oczy zwróciły się ku drzwiom kościelnym, a z góry, od organów, buchnął naraz w tę ciszę hymn potężny, ciepła kaskada dźwięków spadła na silnie wzruszone zgromadzenie. Orszak ślubny szedł śpiesznie po szkarłatach do ołtarza.

Panna młoda ze spu-zczonemi oczyma postępowała między Andrzejem Zbarazkim i drugim młodzieńcem, którego Dołęga nie znał, w drugiej zaś trójce zobaczył jedną tylko postać Halszki. Ta szła prosta, lekka i uśmiechnięta; chód jej nie był wahającym się posuwaniem postaci, ale silnym, zdrowym ruchem naprzód; z rozchylonej futurzanej rotundy różowy stanik wyzierał niby dziewiczy panczerzyk i sunął płynnie do ołtarza. Oczy mężczyzny zapalały się przy jej drodze.

Rodzice panny, krewni, Zbarazcy, Kostkowie, Przemscy szli parami, odbijała od orszaku wykwintna siwa głowa Karola Zbązkiego, pełna namaszczenia i błogosławieństwa, jego postać jeszcze okazała, sztywna, we fraku z orderową wstęgą.

Ale szpaler rozszerzył się i odepchnął trochę bardziej na boki publiczność. Dołęga musiał także odsunąć się i stracił z oczu główne osoby. Do presbyteryum weszło dużo mężczyzn i, stojąc, zasłoniło ołtarz.

Nie przenosząc wzrostem otoczenia swego, Jan nie widział już nic, mignęły mu tylko nad tłumem dwie infuły, posłyszał kilka słów cichej i krótkiej przemowy— więc cofnął się ku drzwiom i ku środkowemu szpalerowi, czekając na powrót orszaku.

Tymczasem śpiewy, rytualne szepty, zapachy i światła rozkołysały mózg Dołęgi i dwoje młodych, biorących tam ślub przed ołtarzem, stało się tylko zapomnianym szczegółem w tej harmonii otaczającej jedną tylko dla Jana postać kobiecą. Jak-by też on wyglądał obok niej, na klęczkach przed złocistymi aparatami kapłanów? Czy bardziej dumą, czy niemem szczęściem miał-by napełnione serce? Czy mogła-by taka piękna, ale zapewne pusta dziewczyna, zrozumieć, że w tem zgromadzeniu on, Jan Dołęga, ma także dzielne serce i ramię, na którym można się oprzeć. On, inżynier, stojący na uboczu poza szeregami zaproszonych na gody, on—prawie sługa i najemnik

tych panów.—Sługa?!—nie. Sługa wszystkich, ale nieczyj, sługa sprawy, nie osób. A gdyby taka kobieta miała trochę samodzielności w sobie, trochę bohaterstwa?

Był upojony, nie bronił się od zakazanych marzeń.

Obrzęd był krótki; już orszak w zmienionym składzie par, powiększony przez całą gromadę osób z presbyteryum, zdążał ku wyjściu. Dołęga lustrował i pomijał przechodzące pary: nie było Halszki między pierwszemi. Nareszcie ujrzał ją, opartą na ramieniu tego nieznanego drużby, który uprzednio prowadził pannę młodą. Rozbawiona raczej, niż przejęta uroczystością, zatrzymywana przez powolniejszy teraz szereg, szła, rozglądając się, oddając ukłony znajomym.—aż spostrzegła zapamiętałe oczy Dołęgi i otworzyła trochę usta z podziwu. Wkrótce skinęła mu wesoło głową.

Jan stał prosto, nie śmiejąc jeszcze brać do siebie tego skinienia, aż Halszka, mijając go, rzuciła mu powitanie:

— Dzień dobry panu!

Wtedy sklonił się głęboko, a gdy podniósł głowę, zmrużył nieco oczy, bo czuł że mu krew nabiega do twarzy.

Halszka przeszła, a Jan podążył ku wyjściu i szedł potem wolno, w rozpiętem mimo zimna futrze, ku domowi.

XIII

Tego samego ranka Kersten obudził się w swem wykwintnem mieszkaniu, które zajmował sam, gdyż był wdowcem bezdzietnym. Wczoraj wieczorem skarżył się wszystkim na ból głowy; dzisiaj jeszcze, gdy wszedł do sypialni służący, pan baron trzymał się za czoło i mówił:

— Trzeba mi przynieść z apteki kefalginy... taki mam ból nerwowy, jak wtedy w Wiesbaden, pamiętasz?.. co to chwyci i ustanie, znów chwyci i znów ustanie....

— Pan baron za mało używa ruchu.

— Może masz słusność. Pójdź po kefalginę, a ja jeszcze trochę pozostanę w łóżku. Zasłoń okno.

— A czy pan baron włoży frak dzisiaj rano?

— Poczekaj... nie wiem, z tym bólem... Czy nie było jakich listów z miasta?

— Jest jakiś na biurku.

— Daj go tutaj, — rzekł żywo Kersten, odejmując ręce od czoła.

Służący podał list bez marki, Kersten otworzył go pośpiesznie.

Był to kosztorys rytownika na guziki liberyjne.

Pan baron cisnął papier z widocznem rozczerwaniem, obrócił się do ściany i powtórzył rozkaz:

— Zasłoń okno, daj mi jeszcze spać.

Wypadkiem, czy umyślnie, pominięto Kerstena przy zaproszeniach na ślub Koryatowicza z Kostkówną. Było to uchybienie, bó, chociaż Kersten nie był krewnym, należało się to jego pozycji. Otrzymawszy tylko zawiadomienie o ślubie bez zaproszenia na śniadanie, Kersten przebąknął nawet coś o tem blizkim Karola Zbązkiego osobom, ale, mimo to, zaproszenia nie było dotychczas, czyli do ostatniej chwili. A śniadanie ślubne miało być liczne i należało do rzędu tych, o udziale w których mówi się parę dni naprzód, i kilka dni potem. a nawet wspomnieć można w pamiętnikach. Oprócz familii i koligatów proszone były i osoby, należące do warszawskiego towarzystwa dla tego tylko, że de facto do niego należą.

— Jeżeli wołają ode mnie takiego Włoska, albo Szydłowskiego, to im wieszuję, — mruzczał Kersten, obrócony do ściany.

W istocie zaproszono Włoska, choć bez żony; pytał nawet rozgłośnie w „Sporcie“, jaką kamizelkę włożyć należy na ślub: białą, czy czarną?.. *Quel est le mot d'ordre?*

Szydłowski nie pytał o kamizelkę, ale narzekał zawczasu, że ciasno będzie u Zbązkiego, i odgrażał się, że tam nie pójdzie. Pójdzie jednak niechybnie.

Te rozmyślenia wprawiały Kerstena w najgorszy humor, nie miał bowiem innego zadania, ani zajęcia w życiu, jak pielęgnowanie swej pozycji i godności. Ponieważ był wybornie wychowany, (przydomek „ortograf“ miał w sobie dużo prawdy, nietylko ironii), ponieważ dobrze strzelał z pistoletu, wyrażał się wytwornie i miał zawsze o wszystkim coś do powiedzenia, — słusznie rościł sobie prawo do poszanowania, do sympatii, do tej „pozycji“ towarzyskiej, której dzisiaj poniekąd uchybiono. Było to zapewne tylko zapomnienie?.. Nikt nie wątpił, że Kersten jest ozdobą warszawskich salonów.

Tymczasem jednak brak zaproszenia pozostawał dotkliwym faktem.

Ktoś zadzwonił. Kersten, zapominając zupełnie o bólu głowy, zerwał się z łóżka, a nie słysząc otwierania drzwi, włożył szlafrok i pośpieszył do przedpokoju.

Uchylił drzwi wchodowych:

— Kto tam?

— To ja, proszę kolegi... proszę pana barona...

Był to mizerak chudy i źle ubrany, który, pod pozorem jakiego dawnego koleżeństwa w jakichś szkołach, wyłudzał czasem od Kerstena rubla, lub stare ubranie.

— Idź pan do dyabła!—rzekł baron, trzясnąwszy drzwiami, ale opamiętał się nawet w tak drażliwych okolicznościach i, uchyłając drzwi powtórnie, dodał:

— Proszę mi wybaczyć, jestem dzisiaj bardzo niezdrów.

Poczem zamknął drzwi na dobre.

Nie warto już było nawet spodziewać się: godzina jedenasta biła na zegarze. Już zaproszeni zbierają się do kościoła. Kersten zaczął się ubierać, gdyż czuł, że dłużej w łóżku nie wytrzyma. Służący ponowił pytanie o fraku, ale Kersten obrał już plan postępowania i rzekł stanowczo:

— Nie, istotnie dzisiaj nie mogę się pokazywać... Daj mi ranne ubranie, to w kratki cienne... spróbuję przejść się po mieście. Jaka pogoda?

Pogoda była właśnie fatalna: śnieżna kaszka z wiatrem.

— Nic nie szkodzi, czuję potrzebę przechadzki.

I po doprowadzeniu swej zewnętrznej postaci do możliwej doskonałości, po ułożeniu wąsów za pomocą „bindy“, przyczernieniu faworyzów i t. d., Kersten zwrócił uwagę służącego, że spodnie źle są prasowane, włożył inne i wyszedł na miasto.

Nie chciał iść na śniadanie do „Sportu“, gdzie zwykle jadał, bo by okazał publicznie swój względnie dobry stan zdrowia i nieobecność na śniadaniu u Zbązkiego. Namyslał się, do jakiej-by pójść restauracyi, gdzie go nie znano.

— Gdzie mnie nie znają?..

Przypomniał sobie, że oddawna nie był u Stępkowskiego na placu Teatralnym, ale nie chciał przechodzić przez dzielnice, w których mógł-by spotkać dużo znajomych, albo nawet orszak weselny. Więc obrał drogę przez Graniczną, Żabią, plac Bankowy i Senatorską. Najłatwiej było skutecznie tajemnie tę wędrówkę w zamkniętej karcie, ale właśnie odesłał był karetę, zamówioną na wszelki wypadek; kazał, aby służący powiedział woźnicy:

— „Pan baron jest niezdrów i nie pojedzie“. Tak powiedz, jak ci mówię.

Jak na złość nie było żadnej porządnej dorożki na pobliskiej stacyi, a Kersten nie siadał nigdy do podejrzanych „jednokonek“. z obawy, jak mawiał, aby nie odziedziczyć czego po uprzednich pasa-

żerach. Zapiął więc wysoko futrzany kołnierz, wsunął laskę pod ramię, a ręce do kieszeni i poszedł ku ulicy Granicznej.

Póki jeszcze szedł Królewską, miał znośne wrażenia. Ale już gmach giełdy zaczął go oburzać:

— To jest giełda miasta, które ma 700,000 mieszkańców! Przerobiona z ujeżdżalni! A te chałaty na schodach! Przypomina to raczej jakąś synagogę wschodnią, niż giełdę paryską, albo berlińską. Dieu de miséricorde!

Drobny, twardy śnieg zaciął go po twarzy. No! taki śnieg pada czasem i w Paryżu...

Ale od ulicy Granicznej czekało pana barona przejście prawie nie do zniesienia. Domy tutaj, brudno-kolorowe pudła, podziurawione oknami, wyrzucały przez czarne paszcze sklepów woń skór, ryb, cebuli, i wystawiały na widownię marnie towary, rozsypujące się na ślizkie błoto chodników. Środkiem ulicy ciągnęły długie wozy, ładowane rdzawym żelazem, dudniąc, jak fałszywe grzmoty; krzyk odzianych w łachmany woźniców, gwałtowne wykręty mijających dorożek, szwargot żydów — walczyły o lepsze w tej wrzawie, a na dobitkę silny prąd powietrza, wpadłszy w wąską ulicę, smagał śniegiem, jak biczem.

Kersten założył wyperfumowaną chustkę pod brodę, wcisnął w nią nos i szedł, potrącany przez przechodniów, nie zważając już na swą godność osobistą. Mówił do siebie przez zaciśnięte zęby:

— I ja to mam kochać?! Boże! za czyje winy jam się tutaj urodził?!

Ujrzał przed sobą plac. Czy to plac Bankowy? Nie, to dopiero rynek za Żelazną Bramą, a razem odurzająca woń targu i zgiełk jeszcze większy.

Teraz ulica Żabia do przebycia.

Przyśpieszył kroku, ujął laskę w rękę i przebojem, wściekle, dążył naprzód, aż wy dostał się z gardła ciasnych ulic i odetchnął głęboko przy rogu Błękitnego pałacu. Tu jednak, na Senatorskiej, łatwo było spotkać znajomych, ale o godzinie dwunastej wszyscy prawie znajomi zgromadzeni byli na ślubie u Wizytek. Biła właśnie dwunasta na ratuszu.

— Więc oni są tam teraz, a ja z ich winy walam się po tych obmierzłych ulicach! -- pomyślał i krew mu zawrzała nienawiścią na przechodniów, na znajomych, na ten kraj cały przeklęty.

Tak doszedł do restauracji Stępkowskiego, gdzie go przyjęto jak prostego śmiertelnika, gdyż służba była nowa. Kerstenowi było to dzisiaj po myśli.

Jedząc śniadanie, nie omieszkął głośno i cicho oburzać się na kuchnię krajową, fukał służących, dawał im kwaśne rady co do sposobu gotowania, podawania potraw i urządzenia restauracji. Te wymówki, zamiast wzbudzić skruchę w sercach, a poprawę w kuchni, wywołały tylko zbiorową uwagę służących po wyjściu gościa:

— A to ci słodki pasażer!

Kersten powrócił do domu karetą, umyślnie sprowadzoną, tak bowiem łatwiej było przejechać niepostrzeżony; gdyby zaś kto go poznał, zamknięty powóz był znowu potwierdzeniem owego bajecznego bólu głowy. Gdy zasiadł już u siebie, poczuł się tak osamotnionym i gorzkim, że z rozpaczy otworzył nową polską powieść, o której dużo mówiono. Wziął tę książkę od znajomego, aby raz jeszcze przekonać się, że u nas nie porządnego nie piszą. Z tem uprzedzeniem nicował już od paru godzin biednego autora, już nawet mimowolnie zaczął się zajmować treścią książki, gdy dzwonek przedpokojowy oderwał go od czytania. Posłyszał otwieranie drzwi i znajomy głos Szydłowskiego.

Rzucił się natychmiast do sypialni, obwiązał głowę ręcznikiem i wszedł z bolesną twarzą do salonu, gdzie znajdował się już dawny znajomy, nie można rzec: przyjaciel, bo Kersten przyjaciół nie miał, lecz znajomy, spotykany stale, bez przyjemności, bez celu, na zwykłych drogach wyższego towarzystwa, od lat przynajmniej dwudziestu.

— Pozwolisz, że tu usiądę?— rzekł Kersten, zajmując miejsce na kanapie za stołem i opierając głowę na poduszkach.

— A siadaj sobie, gdzie chcesz.— Cóż to? migrena?

Zaledwie zamienili parę słów, nowy dzwonek oznajmił przybycie Hektora Zawiejskiego i Włoska, którzy, zauważywszy nieobecność Kerstena na weselu i w Sporcie, przychodzili zbadać powód. Szczególniej Włosek uważał to sobie za obowiązek.

Wszyscy trzej nowo-przybyli mieli na sobie fraki i powraciali ze śniadania weselnego. Usiedli przy stole: Szydłowski naprzeciw Kerstena, Włosek naprzeciw Zawiejskiego.

Po ubolewaniach nad migreną i kilku na nią receptach, prędko rozmowa przeszła do wrażeń z przyjęcia u Karola Zbązkiego. Włosek był zachwycony:

— Co za recepcya! Jaki zjazd arystokracji!

— Phil—odparł Szydłowski—spędzono dużo ludzi na kupę, zawalono cały pałac stołami i knajpowemi krzesłami... służba najęta... zwyczajnie jak przy uroczystych obżeraniach się.

— Nie można jednak zaprzeczyć—rzekł zimno Hektor—że ucztą miała swój charakter, swą cechę odrębnej elegancyi.

Oparta głowa Kerstena, przewiązana ręcznikiem, wyrażała spokój, potrzebny choremu, a twarz krzywiła się ironicznie. Milezał, lecz zdawał się tłumić w sobie wiele wyższych poglądów, a przedewszystkiem tę uwagę:

— Nie na takich ja już ucztach bywałem...

I ta czwórka ludzi, siedząc na krzyż przy jednym stole, wyglądała jak partya winta. Dwaj młodszy grali przeciwko dwóm starszym.

Włosek zadał teraz damę Szydłowskiemu:

— Nie powie pan przynajmniej nic złego o paniach. Co za tualety! jakie brylanty! Same diamants de famille. A pani Kostkowa, czy nie dobrze wyglądała? A ta stara ciotka, Ostykówna?—jak Anna Jagiellonka, parole d'honneur. A między młodemi pani Przemska, pani Hohensteg?.. No, a księżniczka Zbarazka? co?

— Halszka zawsze ładna, to nie nowina; tylko nie wiadomo, po co posadzili przy niej tego Reckheima, który skubie ciągle brodę i zaostza ją dwoma palcami, jakby ją chciał zastosować do swego dowcipu; tymczasem broda ostra, a dowcip tępy.

Szydłowski nie zabił damy, ale obrobił waleta.

— Trudno panu dogodzić; Reckheim jest europejską partyą i ja tam go wolę od wielu naszych elegantów. To wszystko jednak nie w porównaniu z mową Zbązkiego. To była mowa!

— Co? przemówiła wyrocznia? Ciekawym jak?—odezwał się Kersten, zapominając o migrenie. Pewno nikt nie zrozumiał, a wszyscy się rozrzewnili.

— Trudno całą powtórzyć, ale to była mowa doniosła, d'un effet monstre.

— No powiedz mi pan—rzekł Szydłowski, krzyżując ręce i jeżąc wąsy wyzywająco—powiedz mi pan choć mniej więcej, co znaczyła ta mowa?

— Co znaczyła? Bardzo wiele. Najprzód, naturalnie, coś o dniu uroczystym, o przeszłości, o domu Kostków...

— Przepraszam cię—przerwał Zawiejski—najprzód scharakteryzował przeszłą epokę, a potem dał program obecnej.

— No właśnie. Więc kiedy przeszedł do rad, które dawał niby na drogę młodej parze, powiedział: „My, szermierze już zużyci, zachodzimy w cień“...

— Nie powiedział: „zużyci“, powiedział: „My szermierze już z u ż e n i—poprawił Hektor.

— Owszem, słyszałem wyraźnie: z u ż y c i.

— Nie; ja także uważnie słuchałem.

— No, to mów sobie, kiedy lepiej pamiętasz.
 — Powtarzać nie będę, ale pamiętam doskonale.
 Teraz partnerowie pokłócili się między sobą.

— Jakże tam dalej, panie Włosek? — pytał Kersten rozba-
 wiony.

— Dalej?.. Kiedy więc skończył o przeszłości, zatrzymał się.
 Pamiętasz, Hektorze?—zatrzymał się.

— No pamiętam.

Tu Włosek powstał, wyciągnął rękę i przybrał postawę
 mówcy.

— ...i powiedział tak, aż nas ciarki przeszły: „Ale wara od
 wskrzeszania form zamarłych, które, rzucone w prąd wypadków ko-
 niecznych, roznoszą gangrenę na niedojrzałe jeszcze plony...”

— Ha, ha, ha!—śmiał się Kersten—wybornie, ma pan wielki ta-
 lent, panie Włosek.

— A co? czy to nie pięknie powiedziane: „Wara“?

— Zapewne—rzekł Szydłowski. Są i inne piękne polskie wy-
 rażenia, na przykład: „Zaistel“ albo: „proszę siadać“ Jeżeli jednak
 chodziło o przestraszenie nas, to lepiej było wyskoczyć raptem z za-
 węgła i huknąć: hu! — wtedy-by ktoś się może i zląkł. Ale samo
 „wara“?..

— Przecie „wara“ stosowało się do całego zdania!

— No, do czego się stosowało? powiedz pan.

— „Wara od wskrzeszania form zamarłych“...

— A co to formy zamarłe?

— To nasza niesforność, nieuległość wobec władzy i moralnych
 przewodników, nasze stare błędy... Przecie mówił też: „nie słuchali-
 śmy naszych kapłanów, duchownych i świeckich“...

— Co za kapłani? jakie stare błędy?! Po co to wszystko wy-
 jechało w toaście weselnym? Właśnie, że ani przypiął, ani przy-
 latał.

— Są jednak rzeczy, z których śmiać się nie można—odrzekł
 Włosek zgorzony.

— Co tam sprzeczać się o wyrazy—odezwał się Hektor—w cało-
 ści mowa była programem naszej sfery, testamentem dla młodego po-
 kolenia.

Szydłowski znał oddawna Zawiejskich, a Hektora od dziecka;
 nazywał go po imieniu i mniej niż komukolwiek oszczędzał mu słów
 prawdy. Zapytał:

— Jak to rozumiesz?

— Rozumiem, że chodziło mu o nas wszystkich, o nasze hasła,
 o nasze istnienie...

- To jest niby czyje? Zbązkich i Kostków, czy twoje?
— Stawia pan zawsze kwestyę dziwacznie,— zżymnął się Hektor
— nie mówię o osobach, tylko o sferze.
— A ba!

Szydłowski porozumiał się przez ten wykrzyknik z rogatą duszą, którą nosił w sobie.

JÓZEF WEYSSENHOFF.

(C. d. n.)

Józef Verdi.

Testament artystyczny zgasłego niedawno twórcy „Aidy“ nie został dotąd ogłoszony; być może nawet, że istnienie tej ostatniej woli, której wykonawcą miał być podobno Arrigo Boito, librecista dwóch arcydzieł Verdiego, należy do legend, równie jak tytuły opery, przekazanej jakoby potomności przez genialnego kompozytora („Romeo i Julia“ — „Król Lear“). Zawód pod tym względem—jeżeli istotnie nastąpi—nie uszczupli jednak schedy po wielkim artyście. Verdi dał swojej ojczyźnie, dał światu całemu tyle, że mógł umrzeć bez testamentu; ze śmiercią zaś jego znikł z widowni sztuki najcharakterystyczniejszy może w ubiegłym stuleciu typ muzyka, któremu, w dziedzinie twórczości, dał się reprezentować wobec Europy indywidualność artystyczną odrodzonych Włoch.

Możnaby też tę twórczość, nie uciekając się do sztucznego zwykłe podziału na „fazy“, rozważać z dwoistego stanowiska narodowych dążeń i kosmopolitycznych aspiracji, zwłaszcza, że przy bacznej

rozpatrywaniu spuścizny Verdiego, daje się wyraźnie odczuwać, z chwilą urzeczywistnienia jedności Włoch, przycichnięcie pewnych strun czarodziejskiej liry tego Tyrteusza i zwrot ku wzruszeniom mniej wyłącznej, ogólniejszej natury. W stosunkach nawet ze światem artystycznym, dobrze już zasłużony syn Włoch niepodległych z zupełnym spokojem zasila sceny zagraniczne dziełami, które później dopiero przed włoską ukazują się publicznością, jakby w przeswiadczeniu, że na pewnych wyżynach ma się obowiązek nie tylko do swoich, lecz i do obcych przemówić;—a muzyka takim jest wszechludzkim językiem! Można by więc, powtarzam, w dwóch okresach zawrzeć całość dzieła Verdiego: we włoskim i w europejskim. I tu jednak trudno uniknąć pewnych dowolności; nuty bowiem, których nie spodziewaliśmy się usłyszeć w późniejszym okresie, odzywają się nagle z taką żywiołową siłą, jak gdyby artysta do poprzedniego chciał powracać.

Jedna zwłaszcza najpóźniej milknie—romantyczna. Trzebaż się temu dziwić? Od najwcześniejszych lat oddychał Verdi romantyzmem, zawieszonym w powietrzu nad całym półwyspem Apenińskim. Włochy należały do rzędu tych ujarzmionych narodów, które w poezji i sztuce romantycznej szukały wyrazu dla marzeń o wyzwoleniu, i które w muzyce znalazły najpotężniejszą swoich uczuć ekspresję. Liryka płomienna, namiętna, na ton patryotyczny nastrojona drga i w utworach młodzieńczych Verdiego, wzmagając się w sile aż do egzaltacji, ogarniając wszystkie objawy duszy, wtórując wszystkim uderzeniom serca, dźwigając na wyżyny patosu miłość, nienawiść, religijne ekstazy i demoniczne bunt. Po ziszczeniu się marzeń uspokaja się patryotyzm, ale patos zostaje w stanie utajonym i wybucha ni stąd, ni zowąd, wtedy gdy w Verdim rozpoczyna się już proces przekształcenia z romantyka prawie na klasyka, kiedy twórca dochodzi w treści i w formie do mistrzowskiej równowagi, gdy dzieła jego stają się arcydziełami.

Jest więc w rozwoju talentu kompozytora ciągłość, snująca się mniej więcej widoczną nicią romantyczną; tę ciągłość właśnie najsluszniej będzie śledzić w kolejno po sobie następujących objawach twórczości Verdiego.

I.

W przedalpejskiej Lombardyi, niedaleko od Parmy, na prawym brzegu Onginy, wpadającej do Padu, leży Busseto, miescina o 8,000 mieszkańców. Założone, według Fabrizia Fontany, przez rycerza rzymskiego, Cajusa Bussiusa, według innych przez Kremonczyków, Busseto było dla tych ostatnich bezpieczną ostoją, kiedy w 69 roku po Chrystusie, wódz Wespazjana, Antoniusz, zburzył Kremonę, — i stopniowo do tego stopnia wzrastało w znaczeniu, że rodzina Pallaviccinich obrała je za siedlisko rządu swego państewka.

W XVI stuleciu odbyło się tam spotkanie Papieża Pawła III z cesarzem Karolem V, a to uroczyste zdarzenie uświęcone zostało wspaniale, jak się ówczesne kroniki wyrażają „muzyką i śpiewem“. Obraz Biggio Martiniego, w muzeum Parmeńskim, świadczy dziś jeszcze o tych dniach wesela. W XVIII wieku przyszła „czarna śmierć“, straszna zaraza, która srożąc się w całej Europie i z Busseta dość zabrała ofiar. Z okazji tej klęski złożyli Bussetanie piękny dowód swojej miłości do sztuk i nauk; ktokolwiek bowiem z pomiędzy nich umierał bez spadkobierców w prostej linii, zapisywał całe mienie na rzecz instytucyi dobroczynnej, mającej się ufundować w celu dopomagania młodym, niezamożnym obywatelom, którzy pragnęli poświęcić się sztukom i umiejętnościom. Nazywała się ta instytucya: „Monte di Pietà ed Abbondanza“; zakwitła szybko i dźwigała ku zaszczytom i godnościom młodociane talenty, na których miastu nie zbywało; miała też wpłynąć na muzyczne wykształcenie Verdiego, dając mu środki do pierwszego w Medyolanie pobytu.

Nadeszły czasy wojenne. Włochy zalane były nieprzyjacielskimi wojskami; a Napoleon w walce z koalicjami podbił większą część kraju, i prowincjom, z francuska na departamenty podzielonym, francuską narzucił administracyę. Busseto wcielone zostało do departamentu du Taro.

Miasto składa się z kilku drobnych gmin, zwanych „frazioni“ i dość od siebie daleko położonych; jedna z nich, le Roncole, o trzy mile od Busseta oddalona, była miejscem urodzenia Verdiego.

W pobliżu kościoła, znajdował się w Roncole na początku ubiegłego stulecia niepozorny sklepik, do którego mieszkańcy tamtejsi schodzili się w pewne dni kupować sól, tytoń, korzenie i różne w domu potrzebne drobiazgi. Właścicielem tego jedyne go w Roncole handelku był niejaki Carlo Verdi, który z młodą żoną, Luizą Utini, skromnym zarobkiem ze sklepiku i równie skromnym dochodem z oberży, jako tako opędzał potrzeby zgodnego pożycia. W dniu 10 października 1813 r. małżeństwo Verdi z radością powitało urodzenie syna, nazwanego nazajutrz na chrzcie świętym imionami Józefa, Fortunata, Franciszka.

Drugie imię przyniosło chłopcu istotne szczęście; jakkolwiek bowiem w następnym roku, gdy przed wojskiem sprzymierzonych uciekało z miasta wszystko, co żyło; kiedy dzikie żołdactwo, nie szczędziło nawet bezbronych kobiet, tulących do łona niemowlęta,—i Luiza Verdi jedynie kryjówce na wieży kościelnej zawdzięczała ocalenie wraz z przyszłym twórcą „Nieszporów Sycylijskich“ od rzezi, srożące j się w murach świątyni,—to jednak wyrastające zdrowo i szczęśliwie chłopię więcej na swojej drodze zachęt niż trudności napotykało. Samodzielny charakter i umysłowe zdolności wcześniej się w dziecku obudziły. W wieku kiedy wesoly, srebrny śmiech i lzy radości bywają jedyną treścią tego, co się życiem nazywa, mały Verdi, zamknięty w sobie unikał towarzystwa rówieśników, ażeby się zdala od ich głośnych zabaw i uciech we własnych pogrążać myślach.

Co mogło dzieć się wtedy w duszy chłopca? Czy majaczyła tam już jutrzeńka twórczości, zapowiadająca wejście wspaniałego słońca, z jego melodyjnymi promieniami? Czy to były pierwsze wysiłki dziecięcego umysłu, rwącego się ku ideom, spowitym jeszcze we mgły mistyczne, które wkrótce pierzchnąć miały przed światłem geniuszu?—któż to dziś zdoła określić? Dość, że jedna tylko była istota, zdolna oderwać chłopca od jego rozmyślań — skrzypek wędrowny, zagląający w swoich pielgrzymkach i do Roncole, gdzie mały Verdi z zachwytem słuchał staroświeckiego repertuaru grajka. Skrzypek pierwszy zwrócił uwagę Carla Verdi, na zdolności muzyczna syna, wobec których,—gdy je nadto w dotkliwy sposób stwierdził proboszcz miejscowy, karząc publicznie za nieuważę chłopca, wsłuchanego w tony organowe zamiast do mszy służyć,—ojciec nie stawiał długo tradycyjnego, sklepikarskiego oporu i poświęcił część niezbyt obfitych oszczędności na kupienie Józefowi wymarzonego szpinetu. Posiadacz tego skarbu, ksiądz z okolic, pozbył się chętnie za tanie pieniądze niepotrzebny w domu sprzęt, a Baistrocchi, stary

organista kościoła w Roncole, był pierwszym nauczycielem malca. Nauka nie długo trwała; po trzech latach Baistrocchi oświadczył po prostu, że nic nowego niema swemu uczniowi do powiedzenia. Wtedy Carlo Verdi, nie wątpiąc już o talencie syna, uznał, że do wykształcenia go w muzyce wypadnie mu koniecznie dać podstawę porządną szkolnej nauki i postanowił posłać go do szkoły ludowej w Busseto. Pociągnęło to za sobą duży wydatek; ale już w jedenastym roku chłopiec mógł ojcu ulżyć w kosztach, zajmawszy przy organach w Roncole miejsce Baistrocchiego, ustępującego z powodu lat podeszłych z posady organisty.

W ciągu dwuletniego pobytu w Busseto związał był młodziutki muzyk z Antonim Barezzim znajomość, która w dalszym rozwoju jego indywidualności miała się dużym zaznaczyć wpływem. Barezzi był nie tylko zamożnym kupcem, zapalonym dyletantem muzycznym, dyrektorem Towarzystwa filharmonicznego w Busseto, znawcą dawniejszej i nowszej muzyki, grającym dobrze na fortepianie, flecie i klarynecie, ale miał córkę, piękną Małgorzatę. W jego to domu, gdzie Towarzystwo filharmoniczne odbywało próby ze swoich koncertów, miał młodzieniec sposobność próbować sił twórczych; w jego też domu zagrała mu w sercu piękniejsza od wszystkich muzyka miłości na cześć panny Barezzi, którą później poślubił. Poznawszy się na talencie chłopca, zaprowadził go Barezzi do organisty Ferdynanda Provesiego i powierzył mu kierunek prawidłowych studyów muzycznych młodego Verdiego. Ale organista z Busseto, podobnie jak organista z Roncole oznajmił po dwóch latach Barezziemu, że wyczerpał już cały swój materiał pedagogiczny, i że młodzieniec powinien wyjechać do Medyolanu, gdzie pod przewodnictwem sławnych mistrzów dokończy swego wykształcenia. Barezzi i stary Verdi przyznali słuszność pedagogowi; „Monte di Pietà“ udzieliła chłopcu stypendyum, i młodziutki Verdi, porzuciwszy organy, porzuciwszy stary szpinet, który do dziś dnia przechowuje się w muzeum w Sant' Agata, podążył, uzbrojony w listy rekomendacyjne, do muzycznej Włoch stolicy.

II.

W Medyolanie spotkał młodzieńca pierwszy w życiu zawód:—nie przyjęto go do konserwatorium. Dla czego?—pozostało to dotąd tajemnicą, której nie rozjaśniają nawet rozproszone tu i owdzie wzmianki samego Verdiego. Łamano sobie nad tem głowę; stary Fétis nie wahał się usprawiedliwiać dyrektora Bazilego niepozornym wówczas wyglądem kandydata. Wszystkie te komentarze nie mają dziś żadnego celu; i kto wie czy wśród nich jeden nie byłby najbliższym prawdy: Konserwatoria i Akademię zdają się mieć przywilej takich omyłek. Pamiętamy wszyscy, jak u nas powitał „Aidę“, arcydzieło mistrza, stojącego już wówczas u zenitu swej twórczości, krytyk - profesor tutejszego konserwatorium. Wielki twórca wyglądał w druku niby żak, strofowany przez surowego pedagoga, wobec czego, któż się jeszcze dziwić będzie znalezieniu się z początkującym uczniem Francesca Basily, którego wypadło-by może nazwać Don Basiliem? Okoliczności zresztą dały później Verdiemu zadośćuczynienie; widział go bowiem wkrótce wybredny dyrektor konserwatorium ulubionym uczniem Lavigna, kapelmistrza w Teatro filarmonico i tak szybko doskonalącym się w technice muzycznej, że Verdi zastępował czasem swego nauczyciela przy pulpicie dyrektorskim i dostąpił nawet zaszczytu kierowania wykonaniem oratorium Haydna „Stworzenie świata“.

Śmierć Provesiego przerwała studia, i tak zresztą skończoną, i powołała Verdiego na stanowisko, opróżnione przez zmarłego organistę. Młodzieniec nie wahał się ani chwili ze spłaceniem długu wdzięczności rodzinnemu miastu i pospieszył do Busseto, gdzie Barezzi na czele liberalnej części ludności skwapliwie ofiarował młodemu artyście godność „Maëstra di musica della Società Filarmonica e del Monte di Pietà di Busseto“, podczas gdy żywiły konserwatywne postanowiły nie dopuścić młodego „maëstrino alla moda“ do organów w katedrze i wystąpiły z własnym kandydatem, Giovannim Ferrari, poleconym przez dwóch biskupów. Zawrzało w mieście podzielonej na dwa obozy Verdistów i Ferraristów; walkę po obu stronach prowadzono zawzięcie, dopóki Verdistom nie zapewnili zwycięstwa Franciszkanie, oddawszy Verdiemu swój, niezależny od kapitu-

ły katedralnej, kościół św. Bartłomieja, gdzie kompozytor mógł wykonywać swoje motety, msze i nieszpory. Pięć lat, spędzonych powtórnie w Busseto oskrzydliły do lotu duszę artysty, rwącą się ku ideałom w modlitwie, w miłości, w tworzeniu; od starych mistrzów muzyki kościelnej wziął Verdi czystość natchnienia; przy ukochanej kobiecie, która została jego żoną znalazł szczęście; twórczość dała pierwszy znak życia w większem dziele, przeznaczonem do Medyolanu, dokąd, odwzięczywszy się już swej kolebce, wyjechał Verdi z rodziną.

Powrót do Medyolanu różnił się od przyjazdu; w ognisku muzyki włoskiej znalazł się już nie „maëstrino“, lecz „maëstro“ z gotową partyturą opery „Oberto, hrabia di San Bonifazio“, którą wystawiono w Scali 1839 r. Pierwsza opera Verdiego, stworzona niewątpliwie pod wpływem Belliniego, zdobyła sobie przecież powodzenie może dla tego, że czuć w niej było twór doby przejściowej, chwili przygasania gwiazdy Donizetiego, kiedy zawrzeć miała walka między przeżyta już formułą, a przeczcuciami nowatorów; i musiały jednak przedzierać się z tego utworu pazury lwiątko, skoro bystry impressario Merelli zawarł od razu z Verdim kontrakt na trzy opery.

Zobowiązań swoich względem Merellego mógł maëstro na razie częściowo tylko dotrzymać. Sam nie zupełnie jeszcze wyleczony z choroby szyi, przebytej bezpośrednio po przedstawieniu „Oberta“; utraciwszy w ciągu paru miesięcy żonę i dwoje dzieci, które padły ofiarami złośliwej gorączki, miał, w myśl umowy z impressariem napisać operę komiczną; miał zmusić się do humoru, kiedy trzy świeże mogiły pochłonęły wszystko, co było dumą jego i nadzieją; miał śmiać się, gdy mu serce z bólu pękało; innych do wesołości pobudzać, gdy z ust jego tylko westchnienia, tylko łkania rozpaczliwe wyrwać się mogły! Napisał jednak „Króla jednodniowego“ (*Un giorno di regno*), z góry los jego przewidując. Wystawiona w 1840 r. opera komiczna padła bez ratunku wśród zupełnej obojętności słuchaczów i szyderstwa nieprzyjaciół, których zastęp zaczął już rosnąć około młodego talentu. Nie pomogła późniejsza dla innych scen przeróbka pod zmienionym tytułem *Il finto Sultano*. Poroniony w strasznych cierpieniach utwór nie odżył, a zrozpaczony autor zamknął się przed wszystkimi i przed wszystkim w osamotnionem mieszkaniu, w pobliżu Corso dei Schiavi. Przeżyte męczarnie miały mu kiedyś posłużyć za motyw twórczy; teraz porzucił klasyków, muzykę, książki, dzienniki, nawet Biblię, którą tak chętnie czytał i z lubością w rozmyślaniach jątrzył swoje rany. Na stu ludzi, dziewięćdziesięciu dziewięciu byłoby się targnęło na własne życie, lub skończyło na obłądziej; Verdi nie się-

gnął po broń samobójczą, nie zwaryował,— dusza jego w sen jakiś zapadła i to go uratowało.

Widocznie potrzeba było artyście chrztu nieszczęścia, bo po dwóch latach obudził się mistrzem. W maju 1842 roku odegrano w medyolańskim Teatro della Scala „Nabuchodonozora“ z olbrzymiem powodzeniem. „W „Nabuchodonozorze“, mawiał sam Verdi, zacząłem być kompozytorem“, — krytyka zaś ogarnia cały szereg dzieł, od tej opery rozpoczęty określeniem „pierwszej *manieri* Verdiego“. Mniejsza o dokładność takich definicyi, wyodrębniających z nieprzerwanego łańcucha twórczości po jednym ogniwie i sztucznie przerywających naturalną ewolucyę talentu, zamiast mu wiernie towarzyszyć w idealnym pochodzie pod hasłem *excellor*; w danym wypadku te określenia mogą o tyle mieć znaczenie, o ile stwierdzają ustępowanie na dalsze plany pewnych pierwiastków, z których Verdi początkowo czerpał natchnienie, o ile, nie tykając podstaw jego twórczości, wykazują zmianę form, w jakich się ta twórczość w ciągu swego rozwoju objawiała.

„Nabuchodonozor“ uderza biblijnym nastrojem; można-by go nazwać operą religijną. Verdi zatapiał się często w Piśmie świętem, odczuwając zmysłem poety wszystkie piękności tej wielkiej księgi i nieznacznie, instynktowo może zachwyty jego znajdował sobie wyraz w szerokich frazesach hebrajskich pieśni, po dziś dzień towarzyszących żydowskiemu w synagogach obrzędowi. Uczeń dwóch organistów przeniknął tajniki hieratycznego stylu, który później z taką potęgą wystąpić miał w „Aidzie“, a tymczasem w „Nabuchodonozorze“ porывał słuchaczy i w zdumienie wprawiał uczuciową głębią i podniosłością muzykalnych motywów, nierozzerwalnie kojarzących religijne ekstazy z uniesieniami miłości ojczyzny. Był w tem oddźwięk zapалу, którego dwoisty prąd znajdował sobie wspólne łożysko w ówczesnej myśli włoskiej. Wtedy to właśnie wielką cieszyły się popularnością idee Vincenza Giobertego, przeprowadzającego w dwóch dziełach: „Del primato morale e civile degli Italiani“ i „Prolegomena al primato morale e civile degli Italiani“, postulat zjednoczenia federacyjnego wszystkich państw włoskich pod zwierzchnictwem Papieża, utrwalonem zbrojnym poparciem królestwa Sardynii; a jeżeli ten ideał nie zupełnie jeszcze wyraźnie odzywa się w lirycznym dramacie, w którym żydzi, jęczący w niewoli egipskiej, modlą się o wyzwolenie, to następna opera Verdiego „Lombardowie“ (*I Lombardi alla prima Crociata*) o wiele głośniejszy daje mu wyraz.

„Lombardów“ przedstawiono w jedenaście miesięcy po „Nabuchodonozorze“, i chociaż nowa opera, jako dzieło sztuki, stoi niżej od

poprzedniej, przyjęto ją z równym, może nawet z większym, niż tamtą, entuzjazmem; mimo bowiem braku artystycznej jednolitości i miary, była wiernem odbiciem ówczesnego nastroju, nieodrodnym dzieckiem swego czasu. Jak zaś dalece względ ten wpływał na temperaturę moralną teatru, świadczy nadzwyczajne powodzenie „Hernaniego“, w którym rozwianie się ideałów Giobertego objawia się przede wszystkim brakiem religijnej nuty i spotęgowaniem natomiast patryotycznych akcentów. Dziś, gdy wszystko się zmieniło, kiedy wiele rzeczy, wówczas porywających, nie przyspiesza już bicia serca, dziś słuchając spokojnie „Hernaniego“, ocenia się formy muzyczne, jakie sobie twórczość Verdiego dobierała jedynie ze stanowiska historycznego; wtedy dwa chóry w czwartym akcie „Hernaniego“ przyjęte były z podobnym uniesieniem, jak chór z „Nabuchodonozora“, a w teatrze Tordiana wszystka publiczność wtórowała śpiewakom, zmieniając tekst, stosownie do okoliczności, na słowa: „naszemu władcy, Piusowi IX-mu, niech będzie cześć“, lub później: „Karolowi Albertowi cześć i sława“.

Po tych trzech operach nastąpiła pewna w twórczości młodego kompozytora pauza, nie tyle co do ilości — Verdi tworzył zawsze obficie i szybko, — ile pod względem jakości produkcji. „Dwaj Foscariowie“ (*I due Foscari*), opera, wysnuta ze słabego dramatu Byrona, grzeszy jedностajnością ponurego nastroju; do „Joanny d'Arc“ sam jej twórca nie wiele przywiązywał wagi; „Alzira“, skomponowana do libretta z tragedji Voltaire'a, wymowniej jeszcze świadczy o chwilowem omdleniu fantazyi Verdiego. Dla ścisłości wspominać o chybionym „Korsarzu“, o nieudanym „Stiffeliu“, który i w późniejszej przeróbce, pod innym tytułem „Aroldo“, nie lepiej się przedstawił — i zaznaczę wyróżnienie się korzystne, wśród tych omyłek talentu, szukającego widocznie rozpędu, czterech oper: „Attyli“, „Bitwy pod Legnano“, „Macbetha“ i „Luizy Miller“. Dwie pierwsze z intencją postawiłem obok siebie, zamykają bowiem cykl oper tak zwanych „patryotycznych“, stworzonych w ogniu rewolucyjnym; zbliżenie dwóch drugich ma również swoją rację, zaznaczając moment, kiedy Verdi, zwróciwszy się do ogólniejszych tematów, zaczyna je indywidualnie przetwarzać.

Treść „Attyli“ symbolizowała ówczesne włoskie stosunki; dla poety, dla kompozytora, dla publiczności „Attyla“ był najezdzcą, trzymającym w jarzmie Włochy; zwycięstwo Aetiusa oznaczało przyszłą wielkość niepodległej Italii. „Attyla“ ma pod tym względem uczuciowe pokrewieństwo z „Nabuchodonozorem“, z „Lombardami“,

nawet z „Hernaním“, i podobny też budził w słuchaczach zapal, który w słynnym wykrzyku Ezia:

Avrai tu l'universo — resti l'Italia a me!

dosięgał szczytu egzaltacyi. Twór porywającego natchnienia, działał na publiczność potęgą nieprzepartej sugestyi, która staje się jeszcze namiętniejszą, jeszcze gwałtowniejszą w „Bitwie pod Legnano“. Cza-sy też były gorętsze, rewolucya 1848 roku rozgrzmiewała wszędzie, starcie już wybuchło, a bitwa pod Legnano, zapożyczona z historyi średniowiecznych walk Medyolańczyków o wolność miała być rękoi-mnią przyszłego zwycięstwa. Opera, wyrażająca stan duszy publiczności w danej chwili, zabłysła, jak świetny meteor, zostawiła po sobie roziskrzony ślad i znikła w ciemności.

Odzywały się z tego powodu głosy, przypisujące pierwsze powodzenia, a nawet i późniejsze sukcesy Verdiego politycznym pobudkom. Nie zajmując się zgoła zawistnymi współzawodnikami, wypada stwierdzić płytkość tego sądu, nawet u tych, którzy go z dobrą wiarą wy-powiadali. Zgodziwszy się tedy na to, że Verdi ze swoją muzyką mógł istotnie odegrać pewną polityczną rolę, — trzeba jeszcze właści-wie tę rolę ocenić. Idealy, ożywiające tłumy, znajdują sobie najwy-mowniejszy wyraz w muzyce, zwłaszcza w pieśni ludowej, a raczej w melodyi bezimiennej, którą lud przyswoił sobie jako zbiorową własność. Od niepamiętnych czasów nie było sztuki tak bezpośrednio z duchem ludu zbratanej, jak muzyka; można-by prawie twierdzić, że w muzyce jedynie ujawniają się psychiczne nastroje ludu, który przez nie nadaje najgłębszym swoim pragnieniom formę, potęgującą póź-niej wrażenia psychiczne, z jakich wzięła początek. Do tego spo-tęgowania przyczynia się twórca artysta, przerabiający we własnej duszy muzykę ludową na muzykę narodową. A takim artystą był Verdi, oddający narodowi drogą sugestyi to, co od niego wzięł tą samą drogą. Posiadał ten dar sugestywowania tłumów w naj-wyższym stopniu. Namiętne wylewy; jędrne, dzikie niekiedy rytmy; prosta i może z powodu swej prostoty silna instrumentacya; uczucio-we wybuchy, wystrzelające wysoko w radosnych hymnach, które znów opadały aż do skarg rozpaczliwych — oto żywioly, oddziaływa-jące na publiczność, i w nich to należało szukać tajemnicy powodze-nia kompozytora. Gdyby inaczej było, gdyby Verdi miał rzeczywiście w historyi sztuki znaczenie poety okolicznościowego, czemuż wypa-dło-by przypisać jednoczesne z utworami patryotycznymi powodzenie

takich oper, jak „Macbeth“, lub „Luiza Miller“, czem-by się tłómaczył rozgłos takich arcydzieł, jak „Aida“ i „Otello“?

„Macbeth“ i „Luiza Miller“, niezależnie od swej wartości, interesują badacza twórczości Verdiego rysami, zapowiadającymi dojrzenie wielkiego talentu; są to jakby przygotowawcze studia do dzieł, w których występować zaczęte to, czego brakowało dotychczas Verdiemu: silnie indywidualna charakterystyka bohaterów. „Luizę Miller“, skomponowaną do przeróbki tragedyi Schillera (*Intryga i miłość*), rozpoczął Verdi w Paryżu, a ukończył w Busseto, dokąd, na prośby ojca, schronił się był przed cholera, srożącą się podówczas w stolicy Francyi. Przedstawiona w końcu 1849 roku w Neapolu, znaczne miała powodzenie. Uderzała w nowej operze niezwykła jakaś skoncentrowana moc uczuć, pogłębianych psychologicznie, malujących charaktery. Po raz pierwszy może słuchacze odczuli w „Luizie Miller“ coś więcej, prócz sopranowej partyi, znaleźli się wobec żyjącego człowieka. „Macbetha“, tworzył Verdi we Florencyi, gdzie, zapoznawszy się, dzięki Manzoniemu, z Giustim, wszedł, za jego pośrednictwem do grona najwybitniejszych przedstawicieli literatury, sztuki. W takim otoczeniu powinien był kompozytor znaleźć podniecie do zmierzenia się z Shakespearem. Ale w krajach łacińskich, nieobznajmionych wtedy ze Schleglem, były to jeszcze czasy pogrobowego panowania Ducisa, więc i w librecie „Macbetha“ znalazł Verdi tylko „słowa“ do arii, duetów, chórów i finałów, oklaskiwanych zresztą w teatrze della Pergola. A jednak już wówczas można było przewidzieć, że artysta włoski zrehabituje się kiedyś wobec angielskiego poety. Wróżyła ten odwet figura samego Macbetha, torująca drogę późniejszym bohaterom, którzy, jako uosobienie tragicznej w życiu potęgi Zła, zdawali się w pewnej dobie twórczości Verdiego wcielać poniekąd jego filozofię życiową. Zanim do tej rehabilitacji przyszło, napisał wprawdzie Verdi słabą operę na temat „Zbójców“ Schillera (*I masnadieri*); ale rozślawił się na cały świat kapitalnemi dziełami. „Rigolettem“ i „Traviatą“.

III.

Wymieniłem dwa tylko tytuły, choć wiem, że zwykle, wraz z „Rigolettem“ i „Traviatą“ wymawia się jednym tchem nazwę „Trubadura“; nie mogę jednak dotąd zrozumieć, dlaczego „Trubadur“ ma być na równi z tamtymi dwoma, trzeciem kapitalnem dziełem. Występuje tu, najjaskrawiej może, paląca wiecznie dla kompozytora kwestya libretta, z którą Verdi tylokrotnie poważne, ciężkie niewał kłopoty, i której wyłącznie zapewne przypisać wypadnie recydywy rozczochranego romantyzmu, wytrącające go z równowagi w chwilach najbardziej zrównoważonego tworzenia. Treści dostarczali mu wprawdzie poeci: Solera, Piave, Cammerana, Maffei, ale samo ówczesne pojęcie libretta, jako czegoś w operze podrzędnego, obniżało lot nawet poetów, podsuwając im pod pióro konwencyonalne efekty. Z takich efektów sklecony jest nietylko „Trubadur“, lecz i opera, skomponowana w znacznie późniejszej, a dojrzszej dobie: „Moc przeznaczenia“ (*La forza del destino*). O tych recydywach wspominam łącznie, nie krępując się chronologią, żeby już później do nich nie powracać.

Wspólną w nich gorączkę rozpalila Hiszpania. Jeden z filarów szkoły romantycznej na półwyspie Iberyjskim, poeta Antonio García Gutiérrez, obudził w roku 1836 niepamiętny entuzjazm, wystawiwszy w Teatro del Principe w Madrycie dramat „El Trovador“. Prawie równocześnie Angel de Saavedra książę Rivas, autor popularnego w swoim kraju eposu „Moro exposito“, stworzył dramat „Don Alvaro ó la fuerza del sino“, który odegrano z głośnem powodzeniem. Cammerana i Piave, urabiając pod muzykę te dwie awantury, zdawali się walczyć o palmę rozwichrzonej melodramatyczności; Verdi zaś, jakby szalem jakimś porwany, prześcignął ich jeszcze w gwałtownej romantyce uczuć, szarpiących bohaterami obu oper, w namiętnej egzaltacji, nastrojającej śpiew i orkiestrę na ton ciągłych superlatywów, nieustannej grozy. Można wśród passyi, która tam miota ludźmi i wypadkami, zachwycić się takimi wspaniałemi momentami, jak *Miserere* z 4-go aktu „Trubadura“ lub wielka scena przyjęcia do klasztoru przebranej heroiny w 3-cim akcie „Mocy przeznaczenia“; ale, oddawszy ten hold wielkiemu talentowi, nie zaspakaja się wątpliwości

co do pobudek, jakimi kierował się Verdi, używając do tworzenia tak pospolitego materiału. Jedna tylko prawdopodobna następcza się tu odpowiedź: upodobanie w sytuacjach, działaniem życiowego *fatum* wytworzonych. „Fatalita!”, woła bohaterka „Mocy przeznaczenia”, — ten jej wykrzyk jest jakby *leitmotywcem* w dramatach lirycznych Verdiego. Odezwał się już odgłosem rogu w „Hernanim”; jęknie boleśnie echem klątwy, przygniatającej „Rigoletta”. Hugonowskie *Ananke* zbliża poetę i muzyka w poczuciu tragizmu, które u obu ma coś wspólnego, u obu jednakim przemawia patosem, u obu w podobnych przejawia się antytezach.

Klątwa, — to oś moralna całego „Rigoletta”; ale nie dźwięczy już w tym motywie żadna polityczna uczta, niema tam „króla który się bawi”, jest tylko człowiek, który cierpi. Nie dla tego, że nakazem cenzury austriackiej Franciszek I przemienił się na księcia Mantui, ale że Verdiego pociągnął przedewszystkiem dramat indywidualny. Po uczuciach wstrząsających tłumy, po bohaterach reprezentujących ideę, po całej tej ryczałtowej psychologii, posługującej się sugestywnym, prawie nieosobistym liryzmem, zapragnął maëstro wejrzeć głębiej w duszę ludzką i wszystkie w niej struny potrać. Komponował „Rigoletta” w Busseto, skończył go w czterdzieści dni; i kto wie, czy atmosfera, w której tak szybko dojrzewał jeden z piękniejszych utworów, nie przyspieszyła jego urodzin.

Była to atmosfera szczęścia — a w szczęściu dantejski aforyzm na wspak się niekiedy odwraca i wspomnienia przebytej niedoli jakąś rzeźwiącą, twórczą budzą energię. Od kilku lat powtórnie ożeniony ze śpiewaczką Strapponi, która świetnem wykonaniem partyi Abigail przyczyniła się do powodzenia „Nabuchodonozora”, Verdi, zdobywszy sobie w 38 roku życia poważny rozgłos, miał już swoje Tusculum w willi Sant' Agata w okolicach Busseto, gdzie chętnie w ciszy, w spokoju pracował. Nie bolały go tam może wspomnienia; ale przy tworzeniu „Rigoletta” wplatały się zapewne sympatycznymi nićmi w barwną osnowę dramatu, rozgałęziały się prawdopodobnie jak nerwy w organizmie bohatera. Ów Verdi, który po śmierci pierwszej żony i dwojga dzieci, po upadku pierwszej opery, wystawiony był na szyderstwo tłumu, dla tego tylko, że nie potrafił z zamglonem od łez okiem do śmiechu go pobudzić; ów Verdi musiał poniekąd czuć tak samo, jak Rigoletto, gdy mu, wśród rozpaczyny nad utratą rodziny, publiczność, istny książę Mantui, otoczony pochlebcami, przypominała, że jest nadwornym trefnisiem. Analogie następczają się mimowoli wobec zdumiewająco plastycznej charakterystyki bohatera, odtworzonego w muzyce z takim natchnieniem, z takim, rzecz-by można egoizmem autorskim, że, z wyjątkiem Gildy, ucierpiały na tem

do pewnego stopnia inne, nie mniej ważne postacie dramatu. Wynagrodził to jednak Verdi wszystkim w słynnym kwartecie, który do dziś dnia niema sobie równego. Gdyby nawet któremu z bohaterów brakowało jakiego znamienego rysu, odnajdzie go w tym kwartecie, gdzie każdy uplastycznia się w całej pełni. Żaden głos nie wysuwa się tam na czoło; ani jeden krzyk rozpaczy Gildy nie przeszkadza wybuchom śmiechu Magdaleny, lub miłosnej igraszce księcia, a posępne frazesy Rigioletta, nawet gdy w nich drgają akcenty groźby, stapiają się harmonijnie w jedną kunsztowną całość. Wysubtelnienie form i motywów, zapowiedziane już w „Luizie Miller“, występuje widoczniej jeszcze w „Rigolecie“ wśród rytmów rozmaitszych, harmonii bardziej zajmującej i na tle misterniejszego, niż w dawnych operach, kontrpunktu.

„Traviata“ padła w Wenecyi po pierwszym przedstawieniu, nie zasnuciwszy tem niepowodzeniem Verdiego, który pamiętał, że ten sam los spotkał dwa arcydzieła: „Normę“ Belliniego i „Cyrulika“ Rossiniego. Nie był to mdły optymizm, tylko poczucie własnej siły, usprawiedliwione w rok później bajecznym sukcesem wyśnianej niedawno opery.

Co się stało w ciągu tego roku? Znikły trzy przyczyny *fiasca*: nowoczesne stroje, rażące w operze oczy widzów; źli wykonawcy, którzy drażnili wtedy uszy słuchaczy; i uprzedzenie publiczności do dramatu, odgrywającego się bez udziału tłumów, zredukowanego przestrzeniowo do czterech ścian pokoju, psychologicznie do zakątka duszy heroiny. Ostatnia przeszkoda najtrudniejsza była do usunięcia; cisnął bowiem Verdi rękawicę, wypowiedział wojnę panującemu podówczas smakowi, porzuciwszy średnie wieki, egzotyzm, cudowność postawiwszy zuchwale pierwszy krok na realnym gruncie. Zwyciężyła wszystkich miłość, której nikt się oprzeć nie mógł,—taki jej patetyczny wyraz nadał twórca „Traviaty“—zwyciężyła tem właśnie, co z motywów rzeczywistości idealnym wykwitło pierwiastkiem.

Bo Verdi nie wahał się wyidealizować swoją bohaterkę, nie troszcząc się o to, jak wyglądała w romansie Małgorzata Gauthier, kim była w życiu Marya Duplessis; nie pytając, czy heroina należy do wyjątków, jak chciał Dumas młodszy, czy widz, lub słuchacz, wynioskuje sobie rehabilitację grzesznicy. I miał widocznie słuszość, skoro „Traviata“ przeżyła „Dagę kierową“; skoro miłość jej, przetrwawszy tezę literacką, unosi się dotąd w dźwiękach ponad wszelkimi rozumowaniami i do dziś dnia głośniejsz, wymowniej językiem tonów przemawia od najbystrzejszych wywodów krytycznej analizy. Sprawił to poeta, sam w życiu czysty i oczyszczający w sztuce wszystko, czego się dotknął. Miłość u Verdiego, w kobiecem zlwłasz-

cza sercu, wtedy nawet, gdy zstępuje z wyżyn platonizmu, może być tragedią, nieszczęściem, nawet winą (jak w „Bal maskowym“) nie jest nigdy brudem. W „Traviacie“ uduchowiła ją prawie sama istota muzyki, sięgająca głębiej niż zmysły, oddająca najtajniejsze drgnienia duszy. Cóż znaczy płocha lekkość śpiewu Violetty w pierwszym akcie, i ten okrzyk „*follie*“! wobec liryzmu przepajającego łzami duet jej z ojcem Alfreda w akcie drugim, wobec pełnego rozpaczliwego frazesu na balu, wobec ostatniego z kochankiem pożegnania; co znaczą, wszelkie psychologiczne komentarze w porównaniu z kilkunastu taktami, towarzyszącymi w orkiestrze pisaniu listu, lub z solem skrzypcowym, rozpoczynającym czwarty akt dramatu?

Verdi stanął tu na punkcie zwrotnym; frazes muzyczny odsłania mu wewnętrzną, w samej melodii tkwiącą ekspresję; orkiestra otwiera mu nowe widnokreśli na świat myśli, uczuć i namiętności, ścierających się w duszach, przyspieszających uderzenia serca bohaterów. Jesteśmy blisko dzieł przełomowych, w których talent, dźwignięty na genialne wyżyny, doprowadzi nas do arcydzieł.

Zanim zatrzymamy się przez krótką chwilę na tem pograniczu, gdzie „Bal maskowy“ i „Don Carlos“ zwiastują najdoskonalszą ewolucję twórczości Verdiego, wspomnijmy o dwóch operach, w których kompozytor chwije się jeszcze w pochodzie ku dramatowi lirycznemu w wielkim stylu. Na zaszczytne wezwanie Francji, pragnącej oświetlić wystawę paryską, napisał Verdi do tekstu Scribego i Duveyriera „Nieszpory Sycylijskie“, na tle pamiętnego pod wodzą Jana Procidy powstania w 1282, zakończonego wypędzeniem Francuzów z Sycylii. Temat wyglądał prawie na prowokację; że jednak wybrali go sami Francuzi, mógł Verdi ze spokojnem sumieniem stanąć po stronie Sycylijczyków i uczynił to z temperamentem ogniście ożywiającym całą partycę. Temperament Włocha wskrzesza tam chwilami dawne formuły, i choć go w tym zapędzie trzyma na wodzy smak artysty, całość jednak ma w sobie coś połowicznego, coś niedopowiedzianego. W dwa lata po „Nieszporach“ wystawionych w roku 1855, dał Verdi weneckiemu Teatro Fenice „Simona Boccanegra“, który na różnych scenach włoskich przemknął się bez głębszego wrażenia, staranne bowiem opracowanie opery, ani efektowna instrumentacja, nie mogły okupić kapitalnej wady: monotoności ponurego nastroju, który przygnębiająco działał na słuchaczy.

Były to ostatnie wahania talentu, otrząsającego się z romantycznych nałogów; nikną one bez śladu prawie w „Bal maskowym“ i w „Don Carlosie“: geniusz próbuje tam skrzydeł do lotu, natrafiwszy nareszcie na dobrych librecistów. Ukryty naprzód pod dwiema

literami N. N., Antonio Somma sięga po temat wyzyskany już w 1833 r. przez Auber'a i ręką doświadczonego znawcy teatru splata dramat małżeński z tragicznym epilogiem panowania Gustawa III szwedzkiego. Z tego węzła wysnuwa się sytuacja tak psychologicznie wytężona, że tylko wielki talent mógł ją przez szereg scen porywających w jednakowem utrzymać napięciu. Pamiętamy wszyscy ten namiętny dwuspiew miłosny kochanków, kryjących się ze swem występniem uczuciem w dzikim zamiejskiem ustroniu; odczuwamy dotąd nastrój tego zadyszanego wśród okrzyków trwogi *tría*, w którym mąż, nie domyślając się zdrady żony, nakłania księcia do ucieczki przed sprzysiężonymi; drgają nam jeszcze w uszach wybuchy śmiechu spiskowców, w chwili, gdy demaskuje się Amelia w obawie o życie męża,—i rozpaczliwe frazesy obojga, skojarzone z szyderstwem konspiratorów. A potem sąd nad wiarołomną i jej mężarnie, kiedy mąż przyłączywszy się do spisku, zmusza zdrajczynię do wyciągnięcia z urny nazwiska tego, kto zgładzi jej kochanka...

Jaka tam wszędzie jasność charakterystyki; jaka pewność w użyciu najwłaściwszego wyrazu dla każdego momentu dramatycznego; jaka doskonała miara w dostrojeniu do tragizmu sytuacji ironicznych jej rysów; jaką wymowę rozwija wobec tego orkiestra, zagłębiająca się w duszę bohaterów!

Po „Balu maskowym“ aspiracye Verdiego w inną zwracają się stronę. *Inter arma silent Musae*. Wypadki polityczne we Włoszech pędziły przyspieszonym tempem, a wśród nich rozlegało się się hasło „Viva Verdi!“, symbolizujące zjednoczenie Włoch, w nazwisku wielkiego artysty, które, dziwnym przypadkiem, składało się z liter, rozpoczynających pięć wyrazów imienia i tytułu króla włoskiego (Vittore Emmanuele, Re D'Italia). Stoczono bitwy pod Magentą i Solferino; odbył się zdumiewający pochód Garibaldiego przez Sycylię; upadła Gaëta; skończył się epos zjednoczenia—i wtedy usłużny traf podsunął Verdiemu temat, w którym mógł znaleźć upust dla przepehionego serca—„Don Carlosa“ Schillera. Nie był-że to istotnie moment psychologiczny do wysławiania ideałów markiza Posy? Tylko to, co w „Balu maskowym“ było zaledwie tłem,—historia,—stać się tu miało obrazem samym, pełnym postaci, domagających się plastyki, życia. Verdi nie tylko nie uląkł się zadania, lecz na potężną zdobył się kreacyę. Może libretto Mérego i Kamila du Locle zmusiło kompozytora do pewnych rozwlekłości, do przeładowania obrazu ludźmi i wypadkami; może to naraziło go na niedorzeczny zresztą zarzut naśladowania Meyerbeera; ale figury Filipa II i Wielkiego Inkwizytora wynagradzają na wysokość, to, co w dramacie zbyt się na szerokość rozposzciera—są poprostu posągowe. Fizyognomia króla przeraża złowro-

gim wyrazem; postać zgrzybiałego mnicha imponuje siłą ascetycznej passyi; jeden i drugi przedstawiają się we wspaniałym kontraście z entuzjastycznym marzycielem; obaj z nim uprzytomniają tragizm ścierania się dwóch światów myślowych i uczuciowych. I nie jest to tylko suggestya Schillerowskich scen, dekoracyjnego ich przyboru. Muzyka Verdiego nadaje figurom kształty i ekspesję; muzyka wlewa w nie duszę, na zaklęcia muzyki z martwych powstają zamarłe dzieje a fikcyja spływając po dźwięcznych falach z krainy poezyi potęguje ich życie. Mało znam w literaturze muzycznej momentów tak wstrząsających, jak arya monologowa Filipa II o Eskurialu; nie wiele też znajdzie się scen zbiorowych, z podobnem mistrzostwem w nastroju i w charakterystyce traktowanych, jak przyjęcie przez króla mieszczan niderlandzkich. Wrażenie jest przejmujące; pamięta się je długo, równie jak całość posępnego, lecz imponującego malowidła, z jego energią melodyjnego rysunku, z jednością orkiestrowego kolorytu.

Wystawiwszy „Don Carlosa” w 1867 roku nie dawał Verdi znaków życia przez dwa lata. Może odpoczywał po obfitym plonie swej twórczości; może na pewien czas obezwładniły jego fantazyę dwa bolesne ciosy: śmierć ojca i Barezzego; może rozmyślał nad reformatorskimi w muzyce hasłami; dość, że dopiero w 1871 r. odezwał się aż w Kairze, skąd nowy jego utwór, obiegłszy cały świat, stał się arcydziełem wieku.

IV.

Usiłowano zaprzeczyć wpływowi Wagnera na Verdiego. Nie mówiąc już o pospolitym włoskim szowinizmie, oburzonym przypuszczeniem, że maestro mógł „dodawać kapusty do swego makaronu”, trzeba zaznaczyć, iż pewien odłam krytyki starał się przekonać datami, że Wagner i wagneryzm nie miał dostępu do Verdiego w najważniejszych momentach jego twórczości,

Jest to po prostu dziecinna zabawka,—bo jedna tylko data może tu mieć wagę rozstrzygającą: data stulecia. Verdi zaś, przeżywszy cały prawie XIX wiek, który był wiekiem muzyki, tworzył swoje arcydzieła na przelomie, kiedy się miało ku narodzeniu dramatu. Bach, Mozart i Beethoven wcielają w sobie minioną dobę; Wagner stoi na po-

graniczu i marzy o wytworzeniu idealnego dramatu. Mogłyż te marzenia wstrząsnąć całym muzykalnym światem, nie dotknąwszy tak genialnej indywidualności, jak Verdi, który był z natury uosobieniem tragedii w muzyce? Oczywiście, że wobec twórcy tej miary o naśladownictwie mowy być nie może; ale można mówić o oddziaływaniu idei, odmiennie u obu mistrzów urzeczywistnianej. Wagner największą wagę przywiązywał do dramatu i chciał go mieć greckim zespoleniem wszystkich sztuk; Verdi zmierzał przedewszystkiem do udoskonalenia muzycznego dramatu; dla Wagnera muzyka była niejako środkiem, potęgującym wewnętrzną treść słowa; Verdi widział w niej cel jedyne, do którego słowo torowało mu drogę; dążył on po tej drodze nie wojowniczym rozpędem zdobywcy, jak Wagner, lecz pewnym krokiem wędrowca. Wojowniczy zapal był mu na co innego potrzebny i może dlatego upragniona reforma nie tak szybko w czyn wchodziła. Jako bojownik zjednoczenia Włoch, nie mógł, na podobieństwo Wagnera, przemawiać do tłumów zagadkami, symbolami; rzesze potrzebowały form dostępnych, zrozumiałych; dusza muzyki musiała im w danej chwili objawiać się w żywiołowych wybuchach, zanim się dźwignęła na wyżyny psychologicznego tragizmu.

To jej stopniowe przetwarzanie się na gruncie idei wagnerowskiej, dostrzeże każdy, dla kogo idea sama jest czemś więcej, prócz „formuły“; dostrzeże w dwojakim kierunku: w wyszlachetnieniu melodyi, w dostrojeniu jej do sytuacji dramatycznej. W melodyi pierwszych swoich oper nie dosięga Verdi płynności, czystości rysunku, słodyczy i wdzięku Belliniego, Donizettego, Rossiniego, co wynikało nie tyle może ze słabszej inwencji melodyjnej, ile z usiłowania, żeby frazes muzyczny, niezależnie od materialnej sensacji przyjemnego skojarzenia dźwięków, sprawiał jeszcze wrażenie wyrazem, streszczającym stan duszy, sytuację. Owładnięty tą namiętnością ekspresyji, Verdi poświęcał jej zrazu melodyę, pragnąc więcej wyrazić, niż wyspiewać. Energiczny, gwałtowny, niekiedy brutalny, zdążał z prawdziwą passją do scen dramatycznych, wybuchających niespodzianie wśród komunalów i banalności muzycznych, z siłą niepowstrzymaną, której poddawał się słuchacz, nie myśląc o środkach, jakimi została osiągnięta. Było to coś samorzutnego, potężnego w swej prostocie, coś, czemu nikt oprócz się nie potrafił.

Potem instynkt dramatyczny porywał muzyka i unosił coraz wyżej same pomysły muzyczne; frazes wzbija się, nabiera pełni, wstrząsa nas wewnętrzną swoją treścią; melodye, oparte na urozmaiconej harmonii, przemawiają charakterystycznymi akcentami; orkiestra wciela się do dramatu. Z dawnego, elementarnego nastroju rozkielznanej romantyki, wytwarza się oczyszczona atmosfera dramatycz-

na, w której nie temperament już, lecz dusza ludzka odzywa się w psychologicznych odmianach charakterów, postawionych w tragicznej kolizyi. Przed tem nieustannem napięciem genialnej woli, dla której dobre było tylko progiem do lepszego, a lepsze szczeblem do doskonałego, schyla się głowę z poszanowaniem, ze wzruszeniem. Jeżeli o kim, to o Verdim powiedzieć można, że, tworząc, siedł *per aspera ad astra*; a nie był-że dlań gwiazdą ideał wagnerowskiego dramatu? Nie jest-że „Aida“ najbliższem tego ideału dziełem?

Jest nadto syntezą twórczości Verdiego, przedziwnem skojarzeniem trzech pierwiastków, którym mistrz w całym jej rozwoju zawdzięczał najpiękniejsze momenty natchnienia: religii, miłości ojczyzny i miłości kobiety. Poezya słowa przyczyniła się zapewne niemało do piękności tej syntezy; ale jeżeli dobre libretto może pomóc, a złe zaszkodzić wielkiemu muzykowi, to najlepsze nie rozpali iskry geniuszu, a nie zgasi jej najgorsze. Oddawszy zatem Mariette-Beyowi, Kamilowi du Locle i Ghislanzoniemu to, co się każdemu z nich należy, zobaczymy, jak Verdi przetworzył w muzyce czynniki składowe dramatu.

Więc naprzód religia.

Brzmi w niej potęga jakaś posepna, tajemnic pełna, jak oblicze hierofantów, strzegących zasłony lzydy. Żadnej w niej strzelistości, żadnych ku górze wzlotów, — tylko hymny przytłumione, ginące gdzieś w labiryntowych skrętach świątyni i chwilami jedynie przerywane tęsknym motywem, dolatującym z daleka, jak echo westchnienia duszy ludowej, uwięzionej w hieratycznych pętach tego chorału. Bije z tego w drugim obrazie pierwszego aktu niewysłowny majestat, który wtedy tylko ustępuje miejsca namiętnemu nastrojowi kiedy religia wpada w ton państwowy. „Guerra! guerra!“ wołają z uniesieniem kapłani na wieść o najeździe Etiopów; „traditor, traditor!“ powtarzają fanatycznie uczyniwszy sąd nad Radamesem. I straszna jest w ekspresyi muzycznej ta siła, z kultu bóstwa zaczerpnięta.

Potem miłość ojczyzny.

Słyszeliśmy ją wyrrywającą się z piersi kapłanów w formie politycznego, rzecz - by można urzędowego zapału. Radames wyśpiewa nam ją z akcentem jakiejś młodzieńczej rycerskości, Amonatro zaprawi nienawiścią ujarzmionego dla zwycięzcy, rzuci przekleństwo na Aidę, wahającą się z wciągnięciem w sidła kochanka — i wytworzy się stąd duet ojca z córką, jedyny w nowoczesnej literaturze muzycznej pod względem charakterystyki bohaterów, ekspresyi miotających nimi uczuć, dramatycznego napięcia sytuacji i psychologicznego w orkiestrze podkładu.

Wreszcie miłość kochanków.

Przez ileż ją odmian przeprowadził twórca „Traviaty“! Smutna i dumna w swym smutku u Aidy; dzika, po królewsku bezwzględna u Amneridy; namiętna, bohaterska u Radamesa, zdradza się przepyszny frazesem niewolnicy „amore amore!“ wobec koronowanej rywalki; wybucha tryumfalnym okrzykiem córki Faraonów w duecie z Aidą; pieści, wikła czarami wydobywając tajemnicę Radamesa w dwuspiewie o niezrównanie tkliwym nastroju—i jak wniebowzięta rozwiewa się w idealnych westchnieniach bohaterów, konających w lochach świątyni.

A teraz wyobraźmy sobie moment, kiedy wszystkie te pierwiastki i czynniki znalazły się w drugim już akcie w dramatycznym ze sobą zetknięciu. Radames powrócił zwycięzcą z wojny z Etyopami zabrawszy do niewoli wodza ich, Amonatra, ojca Aidy; król w nagrodę waleczności oddaje mu rękę swej córki Amneridy; i rozpacz niewolnicy, wściekłość etiopskiego jeńca, tryumf królowny, spotęgowany upokorzeniem i boleścią rywalki, fanatyczna radość hierofantów, błagania o łaskę zwyciężonych, okrzyki ludu upojonego uroczystością—wszystko spleta się w jeden olbrzymi zestrój, w którym każdy głos indywidualne ma akcenty; każde uczucie, każda namiętność własną się wypowiada mową; każde uderzenie serca ma swój rytm, swoje tempo. To więcej niż finał operowy, ze zdumiewającym mistrzostwem skombinowany; to w jednej potężnej sytuacji przygotowany wybuch tragicznej katastrofy, to zapowiedź szału miłosnego i zdrady kochanków w trzecim akcie, to wróżba niezrównanej w swym patosie sceny sądu, to przecucie ekspiacji i śmierci w czwartym akcie.

Wobec tej, do szczytu doprowadzonej, ekspresji dramatycznej trzebaż mówić o sposobach, jakimi została zdobyta? Co kogo obchodzić mogą użyte w religijnych pieniach tonacje i progresye, właściwe śpiewowi gregoryańskiemu; kto się interesować zechce oryginalną harmonią, wspierającą egzotyczny motyw tańców afrykańskich z następstwem tercji i sekt, przypominającym średniowieczne organum; na co się komu przyda uwaga o rozmyślnej monotonii akordu G dur, utrzymanego przez pięćdziesiąt kilka taktów, dla wyrażenia tajemniczości i bezmiaru krajobrazu egipskiego, wśród którego dziwny temat oboju, dźwięczy nieokreśloną jakąś melancholią; jaki cel miałyby rozwodzenie się nad efektami pauz ćwierciowych w podziemiu, gdzie się odbywa przesłuchanie Radamesa?

Środki, sposoby, technika—torzec talentu kompozytora, a nas zajmuje geniusz jego, skupiający w tak doskonałej równowadze wszystkie pierwiastki tragicznej fatalności, wydobyte z ludzi i wypadków, i tworzący dzieło o klasycznych niemal proporcjach, w którym jednolitość

i podniosłość stylu, prawda przemawiająca dramatycznym patosem, niebywała dotąd u Verdiego plastyka indywidualnych znamion bohaterów, koloryt wreszcie Wschodu, z kunsztem w obrazie rozprawdany—wszystko złożyło się na dramat liryczny godny wagnerowskiej idei.

V.

W dniu 23 maja 1873 roku umarł Aleksander Manzoni. Wiadomość o śmierci przyjaciela zamęciła ciszę i spokój wypoczynku, którego twórca „Aidy“ od dwóch lat w Busseto zażywał; ciężko strapiony, podążył Verdi do Medyolanu, i oznajmił listownie syndykowi, senatorowi Bellinzaghi, że zamierza skomponować *Requiem* i z przyzwoleniem rady miejskiej Medyolanu, wykonać je w rocznicę zgonu Manzoni.

Przedsięwzięcie Verdiego żywą wszędzie obudziło ciekawość, w której nie brakowało powątpiewania. Genialny kompozytor liczył lat 60; dwuletnie milczenie tłumaczono podeszłym wiekiem i wyczerpaniem fantazyi twórczej, a do tej nieufności, w znacznym stopniu spotęgowanej zawiścią, wciskał się sceptycyzm co do natchnienia mistrza w kierunku religijnym. Zapomniano o pierwotnych bodźcach tego natchnienia w Roncole i w Busseto, i haftowano z niedowierzaniem na kanwie bieżącego dzisiaj ogólnika, że sztuka religijna przestała istnieć. Znikły jej formy uświęcone, w które przyoblekała modlitwę; nie potrafi już wypowiedzieć spokojnie, pogodnie, nadziei i ufności duszy w lepszą przyszłość. Życie stało się areną, do której każdy ciśnię się po zwycięstwo jednodniowe. Niebo ze swoją wieczystą szczęśliwością nie otwiera się już nad głowami cierpiących na przyjęcie ich skarg i błagań. Zwyciężyć lub umrzeć na tej ziemi—taki jest cel gorączkowych zabiegów nowożytnych społeczeństw. To też sztuki odzwierciadlają tylko odmęt i zmysłowość życia materialnego, powtarzają wybuchy śmiechu zwycięzców, lub bluźnierstwa zwyciężonych; mowa poddających się wyrokom Opatrzności zamilkła. Sztuki wegetują bez widnokręgów; brak im nieskończoności; królestwo ich jest z tego świata—i dla tego niema sztuki religijnej.

Tak mówiono, powtarzając utarte komunały; aż pewnego dnia w kościele ś-go Marka w Medyolanie rozległo się *Requiem* Verdiego,

i odrazu serca wszystkich ogarnął lęk jakiś, z którego nikt sprawy sobie zdać nie mógł. Skąd dolatują te echa średniowiecznej grozy; gdzie źródło tego tragicznego patosu, wypowiadającego wszystkie duszy ludzkiej bóle i trwogi; jakim to językiem i kto przemawia wobec potęgi śmierci i zagrobowej na zmartwychwstanie pobudki; kogo i o co błaga i zaklina? Czem się to dzieje, że nowożytny słuchacz tak potężnego doznaje wrażenia?

Sceptycyzm miał gotową odpowiedź: to nie kościół, to teatr; to nie modlitwa, to dramat—jak gdyby dramatem nie był istotnie od początku świata stosunek stworzenia do Stwórcy, jak gdyby tragedia cierpień nie odgrywała się przez wieki między Tym, który powiedział kobiecie: „w boleściach rodzić będziesz“, i mężczyźnie: „w pocie oblicza twego będziesz spożywał chleb, aż wrócisz do ziemi, z którejś powstał“,—a tymi, którzy nie przestają wołać: „wieczne odpocznienie racz nam dać, Panie!“.

Dramat ten miał dwie sytuacje. W początkach muzyki Bóg w nim tylko przemawiał głosem, na który składały się hebrajskie hymny, z grecka nastrojone natchnienie Ojca Kościoła i geniusz Papięza. Śpiew ambrozyjański, chorał gregoryjański, naśladowająca gotyk architektura muzyczna niderlandzkich kontrapunkcistów, mistyczna ekstaza Palestriny, Gabrielego, Marcella, wszystko odtwarzało wszechmoc i glorię Przedwiecznego.

Aż przyszła reformacja.

I rozkrzyżowany w prochu wśród mroków katedry, krwawo i trupio zabarwionych, przytłoczony posepną grozą przybytku, gdzie tchnienie śmierci, przeciskając się przez las kolumn, budziło echa *De profundis*, unicestwiony majestatem, wśród którego czuł się robakiem, — odezwał się człowiek.

Wszak gdy mowa o modlitwie, nie można pomijać i tego, który się modli,—a on mówi o tem, co go boli, rozsnuwa treść walk swoich z życiem, i zarówno zwycięstwa, jak porażki, radości i smutki składa u stóp Wszechmocnego. Modlitwa nie przestała być modlitwą; tylko od chwili, kiedy rozmodlony człowiek przyszedł do świadomości, że jest czemś w tej walce; od chwili, gdy przestał być bierną ofiarą, a stał się czynnym bojownikiem życia,—do modlitwy wtargnął indywidualny dramat.

Rósł ten dramat w muzyce kościelnej; miał swego Danta w Bachu i swego Miliona w Händlu; wspiął się do indywidualnych wyżyn w natchnieniu Mozarta, dopóki rewolucya nie przeniosła go z nieba na ziemię, dając główną rolę nowemu, wyzwolonemu z karności religijnej bohaterowi, który, podyktowawszy prawa człowiekowi, wystąpił na ich podstawie z pretensją do Boga. Smutny ten, bezprzedmio-

towo rozmarzony, po własnych ideałach rozczarowany, ambitny, z niezaspokojoną myślą i nienasyconem sercem, podwójnie w swej nadszłości i w swym sceptycyzmie nieszczęśliwy bohater modli się inaczej, jeżeli się modli. W dramacie między Bogiem a nim, on głównie głos zabiera; modlitwa jego jest szeregiem rekryminacji do nieba za nieszczęścia, które sam sobie i sam w sobie wytworzył; wyprostowany z kornej postawy, ciska swe żale namiętnie; małe cierpienia do znaczenia wielkich męczarni potęguje; nie błaga, lecz dopomina się, wyzywa, nie sumituje się; z bóstwem obcować nie umie, tylko wzdycha do nieokreślonej istoty, która jest sumą jego bezkształtnych marzeń, snów i aspiracji, a modły takie najchętniej mówi w najbardziej nieokreślonej mowie — w muzyce, własną duszę obrawszy sobie za świątynię. Sienkiewicz głęboko tę świątynię scharakteryzował. „Dusze nasze mają pełno gotyckich strzelistości i załamania, których się nigdy nie pozbędą, a których nie miały dusze greckie“. W tych załamaniach i pośród tych strzelistości ciemność panuje, jak w tumie średniowiecznym; promienie światła wciskają się do wnętrza, zabarwione filozofią pesymizmu — a sam gotyk jest pusty i śmierć tylko po nim się snuje.

„*Mors, mors!*“ — ten jeden grobowy jęk nadaje ton całemu *Requiem* Verdiego. Jest to tylko kilka nut basowych, odzywających się na samym początku mszy na tle przerywanych złowieszczemi pauzami pogrzmiewań orkiestry — ale tchnienie tego krótkiego, trwożnego frazesu unosi się nad całym dziełem. Napróżno odzywają się z góry ponad otchłaniami archanielskie fanfary, od których zimno do szpiku kości przejmują; zdają się one zwiastować tylko „dzień gniewu“ i żadnej nie zostawiać nadziei. Napróżno błagania: „Panie, zmiłuj się nad nami“ rozlegają się z pewną rezygnacją, a rzesze z uniesieniem wołają: „Święty, Święty!“; napróżno o „Baranku Bożym, gładzącym grzechy świata“ śpiewają z cudowną łagodnością głosy niewieście i kobieta z głębi duszy wzywa „światłości wiekuistej!“ napróżno: „zbaw nas!“ modlą się wszyscy razem — wszystko to, nawet w pogodzie, ma niezatartą cechę melancholii, ponad którą wszechwładnie panuje groza strasznego „*Dies irae*“, z powracającym rozpaczliwie chromatycznym krzykiem przerażenia w chórach i z piorunową w orkiestrze groźbą. Kompozytor nie pominął żadnego momentu tej tragedji, w której człowiek nie zapomina wobec śmierci o swojej roli bohatera; jest dramatycznym, gdy wzywa imienia Chrystusa, kiedy z Matką Zbawiciela pod krzyżem płacze; tylko że dramatyczność jego wysoko ponad ziemię nie wzlata, a treścią jej zdaje się być nie trwoga o nieznaną wieczność, lecz skarga: „dla czego umrzeć muszę!“, mo-

dlitwa zaś brzmi tak, jakby w niej błagał o odpoczynek tu na tym padole duch znudzony, nigdzie nie mogący znaleźć spokoju.

Dziwnie to *Requiem* wypadło na uczczenie pamięci Manzoni, który się nażył, bo umierając, liczył nie mniej, jak 69 lat. Nie przypuszczał autor „Oblubieńców“, że mu nad grobem zabrzmi taka wstrząsająca tragedia śmierci; urodził się w chwili, gdy Mozart tworzył już zapewne swoje *Requiem* i z pogodą duszy, rozmiłowanej w jasnych, promiennych ideałach, na swój skon bez dreszczów grozy je przeznaczał. Przeżył Manzoni Mozartowskie ideały i o wieczny duszy jego odpoczynek ozwały się tragiczne błagania poety, który ostatni może w minionem stuleciu genialnie w muzyce kościelnej streścił nowożytny stosunek człowieka do Boga.

Nie mówmy, że to nie jest muzyka religijna, skoro czujemy w niej obecność Stwórcy i stworzenia; powiedzmy tylko, że jeżeli w niej Bóg jest groźnym, to i człowiek jest imponującym. Niepokoi w tej muzyce ludzki dramat z pewnym rysem fatalizmu, przejętym, jak już wspomniałem, od Wiktora Hugo. Tragiczna potęga śmierci była jednym z motywów francuskiego poety; ale autor „Legendy wieków“ miał poza nią widzenia nieskończoności, których Verdiemu brakowało; *les quatre vents de l'esprit* nie porywały go ku górze. Kończy on zapewne ewolucję w muzyce ideału indywidualizmu, po której zamknięciu Wagnerowski „Parcifal“ powitał w tajemnicach Świętego Graala zmartwychwstanie mistycznej symboliki.

Jaki zwrot w muzyce religijnej oprómiemi ta jutrzeńska, — przyszłość pokaże; tymczasem *Requiem* Verdiego niebywale wszędzie wywarło wrażenie, wywołując nowe komentarze co do psychologii twórczości sędziwego mistrza.

VI.

Komentarze omawiały tragizm mszy rekwalnej, upatrując w nim nastrój melancholika, owianego już zaświatowem tchnieniem, zwłaszcza że po tem potężnem dziele Verdi milczał całych lat trzynaście. Przez ten czas z mnóstwa awanturnych pogłosek rosła legenda o przygotowaniach do nowej opery; wymieniano nawet tytuł, — „Romeo i Julię“.

— Romeo i Julia! — odparł komuś z uśmiechem Verdi. — W moim wieku zazdrość prędzej, niż miłość, malować można.

Zazdrość — więc Otello! Zdradził się mistrz; „Otello“ ujrzał istotnie światło kinkietów 5 lutego 1887 roku i w zdumienie wprowadził słuchaczy najprzód niespożytą siłą twórczą, bijącą z nowego dzieła, a potem rolą, jaką w niem odegrał Iago. Wtajemniczeni wiedzieli, że opera miała pierwotnie nosić imię Jagona i przypisywali ten awans chorążego przy wielkorządcy Cypru wpływowi librecisty.

Mogło w tem być sporo prawdy. Z Henrykiem Boito, autorem tekstu, łączyły Verdiego nie tylko węzły przyjaźni, ale pewne pokrewieństwa temperamentu twórczego. Poeta wybitny, dramaturg wytrawny, rozmiłowany w arcydziełach literatury wszechświatowej, kompozytor, którego talent przebojem zdobył sobie w „Mefistofelesie“ poklask świata artystycznego, był Boito wymarzoną dla Verdiego współpracownikiem. Ale talent tego współpracownika jednym szczególnym odznacza się rysem: pesymistyczną skłonnością do budowania dramatów na demonizmie. Tworząc sam muzykę do „Fausta“, Mefista robi bohaterem; pisząc dla Ponchiello libretto do „Giocondy“ z Hugonowskiego *Angela Malipieri*, wysnuwa na pierwszy plan Homodeiego nadnaturalnej wielkości w postaci Barnaby; w „Otellu“ Jagonowi daje najwyrazistszą plastykę; — a każdy z nich, Mefisto, Barnaba, Iago wypowiada swoje *credo*, na którym poniekąd opiera się psychologia całego dramatu.

Mimo całą trudność formy, trzymanej w patetycznym *recitando* ten monolog Jagona uderza u Verdiego szatańską jakąś potęgą; czyż więc tylko suggestya poety mogła na taki ton nastroić muzyka? i czy niema w usposobieniu twórcy *Requiem* i „Otelła“ jakiegoś związku między grozą Śmierci, a grozą Zła, między dwiema tragicznymi fatalnościami życia? To pytanie nie jednemu przyszło na myśl — i odpowiedź, jeżeli się kiedyś z głębszych badań odezwie, rzuci niewątpliwie jaśniejsze światło na genialną indywidualność Verdiego; dziś poprzestać trzeba na zaznaczeniu domniemyanych takiego związku objawów; jednym zaś z nich byłaby mistrzowska charakterystyka Jagona, panującego nad całym dramatem.

Już pierwsze jego wtargnięcie do akcji jest jakby symbolem żywiołowej siły. Burza szaleje na początku pierwszego aktu, którego żadna nie poprzedziła introdukcya. Nie jest to tradycyjna w operach burza, zamknięta w okrągłych, symfonicznych formach, lecz sroży się w orkiestrze chaotyczną nawałnicą instrumentalnych świstów, błysków i gromów, a na scenie wołaniami strwożonych Cypru mieszkańców. Z tego rozrzuconego chaosu odgłosów wypływa wraz z okrętem, niosącym Otella, piekielne *brindisi* Jagona, ze swoim

chromatycznym zgrzytem, podniecającym Cassia do zwady, która pociągnie za sobą jego degradację, a następnie wstawienie się Desdemony i całą późniejszą tragedję zazdrości. Napróżno więc w naturze uspokoi się wszystko, i roz pogodzone niebo odbije się w cudnym duecie miłości Otella i Desdemony; odmęt nie przestanie kłębić się w duszy Jagona, a przeraziwszy nas w drugim akcie strasznym wybuchem *creda*, które jest jakby moralnem echem burzy z pierwszego aktu, porwie wszystkich naokoło w tragiczne wiry. Stanie się zaś to w słonecznych blaskach letniego poranku: na tarasie dziewczęta cypryjskie kwiatami darzą, przy dźwiękach mandoliny, promieniejącą od szczęścia Desdemonę; o parę kroków stamtąd Jago sączy w ucho Otella jad, spływający do serca Maura zdradliwie słodkim motywem o sennych Cassia marzeniach. Na działanie trucizny długo czekać nie będziemy: „krwi, krwi!” woła Otello; ale nim ją wytoczy w zemście, przypomni sobie, jak płynęła na polach chwały. Rycerz odzywa się w mścicielu; stary lew budzi się w Verdim, kiedy bohater w wojowniczym rytmie śpiewa:

Addio sante memorie“

Potem Jago kończy swoje demoniczne dzieło fortelem z chustką i niewidzialnie zarzuca już na szyję Desdemony pętlę intrygi, którą w ostatnim akcie zaciśnie Otello drżącemi od wściekłości rękoma. Przed tem jednak wypowiedział nam się Maur w samotności ze wszystkich swoich cierpień i bólów. On także ma swój monolog, krótki i zdawało-by się spokojny, — ale jakże w tym spokoju tragiczny! Na jednej nucie oparł go Verdi, niby *idée fixe* maniaka, około której krążą coraz inne modulacje, nawracając jednak myśl do tego samego, monotonnego tematu.

Zło spełniło swoje zadanie; teraz kolej na Śmierć — i tu Verdi dał jeszcze raz miarę swego geniuszu. Śmierć złowrogimi przeczuciami niepokoi śliczną, pełną prostej poezji piosnkę Desdemony o wierzbie; śmierć wciska tajemniczą jakąś nutę do pięknego w swej podniosłości *Ave Maria*; śmierć odzywa się w orkiestrze, przed wejściem do sypialni Otella, trwożnym motywem smyczkowym, przerywanym głuchemi uderzeniami tympanów, które brzmią, jak odgłosy spadających na trumnę grudek ziemi: śmierć bliska, nieuchronna dyszy urywanemi frazesami w szamotaniu się Desdemony i Otella; śmierć wreszcie łączy bohaterów w ostatnim uścisku miłości, przywołującym Maurowi na usta molodyjne echa rozkosznego nad brzegiem morza

duetu. Wszystko to w muzyce staje na wysokości Schakespear'a i jest wobec niego wspaniałem za chybionego „Machbetha“, odszkodowaniem, jak „Rigoletto“ był wobec Wiktora Hugo, zwycięską za Hernaniego kompensatą.

Mimo skończonych wtedy 74 lat, nie wyczerpał Verdi wszystkich niespodzianek. O jednym jeszcze odwiecie marzył i urzeczywistnił później to marzenie jako starzec ośmdziesięcioletni, wybuchnąwszy u schyłku życia szerokim śmiechem w „Falstaffie“. Co drgało w tym śmiechu: czy tylko zaraźliwość humoru Szekspira, czy zadowolenie artysty, który mistrzowską komedię liryczną rzucił wyniosłe szydercom z przed 50 lat, czy wreszcie rozwiązanie jakiegoś pesymistycznego w filozofii życia dyssonansu pogodnym akordem, — to zagadka, czekająca jeszcze rozwikłania. Tymczasem ten potężny wybuch śmiechu, dźwięczącego po Szekspirowsku, rozlega się dziś w Europie echemi XV wieku z równie niepowstrzymaną siłą, jak śmiech Beaumarchais'go, przynoszący nam w „Cyruliku Sewilskim“ Rossiniego melodyjnie uskrzydłone odgłosy XVIII stulecia.

Bohatera tytułowego skombinował Verdiemu Boito z Falstaffu „Kumoszek Windsorskich“ i z Falstaffa z „Henryka IV“. Typ, stworzony przez poetę anglosaksońskiego, w przetworzeniu artysty, należącego, w połowie przynajmniej, do rasy łacińskiej (Boito, syn Włocha urodzony jest z Polki) sprawia potrochu wrażenie jakiejś kompozycji Jordaënsa, naśladowanej wytwornym pędzlem Wenecyanina. Wobec tak kunsztownie wykończonych postaci, Verdi dokonał prawdziwego cudu twórczości. Starzec, który niegdyś nie zdołał usprawiedliwić tytułu swego poronionego utworu i w komizmie nie był nawet „jednodniowym królem“, a od tego czasu, nie dotknąwszy prawie struny humoru, przeszedł w rozwoju swego geniuszu wszystkie fazy gardzącej śmiechem romantyki; smutny syn tragedyi o surowem obliczu trybuna, wskrzesił typową operę *buffa*, tak od czasu Cimarosy i Rossiniego obumarłą, że nikt już w jej zmartwychwstanie nie wierzył. I jak wskrzesił! Ile tam bujnej, lotnej fantazyi w charakterystyce Falstaffa, ile subtelności w rysunku niewieścich postaci! Posłuchajmy co w pierwszym obrazie z nieocenioną swadą śpiewa Falstaff o honorze (raczej przeciw honorowi) i porównajmy to z piosenką w czwartym obrazie, w której stary wyga przypomina sobie czas, kiedy był paziem — wszak z tych dwóch tylko fragmentów złożyć już można całą, plastyczną, bijącą życiem figurę. A potem oddajmy się urokowi szczebiotania kokietującej Alicyi, romantycznej Anusi, spokojnej Meg, przedsiębiorczej Quickly; podziwiajmy zestrój tego kwartetu z dyalogiem mężczyzn, jednocześnie w odmiennym prowadzonym rytmie — i nie nam wtedy brakować nie będzie, ho w pomyśle

muzycznym, owiewającym słuchacza przedziwną świeżością, poznamy odrazu psychologię wszystkich bohaterów.

Nie tu miejsce wdawać się w szczegółowy rozbiór ostatniego arcydzieła Verdiego; rozwodzić się nad pięknościami końcowego obrazu z jego Windsorską maskaradą, na przemian poetycznie i komicznie nastrojoną, lub nad techniką finałowej fugi, której dziwić się musiał dyrektor konserwatorium medyolańskiego, o ile żył jeszcze. Ale jeżeli chodzi o psychologiczną zagadkę przedśmiertnej Verdiego kreacyi, może u kresu tego pobieżnego szkicu, człowiek wytłómaczy nam do pewnego stopnia niedomówienia artysty. Człowiek był idealnie dobry: o tem świadczyło przygnębienie Medyolanu i całych Włoch, gdy Verdi ostatnie wydawał technienie, świadczy pamiątka, jaką po sobie zostawił w królewskiej prawdziwie fundacyi dla weteranów sztuki. Był dobry, — i tę dobroć, najszlachetniejszy pierwiastek silnego, męskiego charakteru ukochano w nim, nie zrażając się trochę smutną, trochę szorstką, trochę niedostępną jej fizyognomią. Jak na górskich szczytach, przez chmurę, przesłaniającą tragiczne wyżyny, nie widać tam było pogody uczucia, pod którego światłem i ciepłem słonecznem kwitły i dojrzewały arcydzieła; a jednak najpiękniejszą w tych arcydziełach muzyką są właśnie uderzenia serca ich twórcy.

Dwóch wielkich muzyków miał wiek ubiegły: Wagnera i Verdiego; w poezyi tonów pierwszy był myślą, drugi uczuciem. Znalazłszy się wśród ewolucyi ideałów między temi przeciwległemi biegunami twórczości, czuliśmy się naprawdę bliższymi Verdiego; bo Verdi odzywał się do nas nie z Walhalli, nie głosem półbogów, tytanów, gotowych już bohaterów, lecz mową człowieka, dźwigającego się walką a cierpieniem na wyżyny heroizmu. Komu z nich dwóch było przeznaczone urzeczywistnić w muzyce ideę doskonałego dramatu lirycznego — przyszłość kiedyś rozstrzygnie. To pewna, że w dziejach tej idei, Verdi doniosłą odegrał rolę, a w historyi kultury minionego stulecia trwałemi konturami rysuje się jego genialna fizygnomia artysty i piękna postać człowieka.

WŁADYSŁAW BOGUSŁAWSKI.

Stowarzyszenia rolnicze.

Grono osób, łączących się w osobistość zbiorową w tem przekonaniu, że do pożądanego celu gospodarczego lub społecznego dojdą prędzej wspólnymi siłami, aniżeli w rozproszeniu, nazywa się stowarzyszeniem.

W stowarzyszeniach zawodowych, złożonych z osób jednego powołania, cel polega na wydobyciu jak największych korzyści dla uczestników, na ułatwieniu im doskonalenia się w zawodzie wspólnym, na zapewnieniu temuż zawodowi warunków powodzenia i na prowadzeniu go czynnem drogą postępu.

Pośród innych zawodów, rolnictwu oddały stowarzyszenia największe usługi. Naprzód dla tego, że dotychczas jeszcze ludność rolnicza jest wszędzie najliczniejsza, a następnie, że wobec konkurencji stref dalekich, współzawodnictwo miejscowe nie ma w rolnictwie znaczenia i nie zniewala wytwórców do tajenia metod, jakimi się posługują. Fabrykant, który-by wyjawil otwarcie sposoby, jakim za-

wdzięcza doskonałość wyrobu, lub taniość produkcji, oddał-by dobrowolnie broń w rękę współzawodnikom, dla tego też milczy. Rolnik może bezpiecznie i bez szkody wypowiadać wszystko, co mu na sercu leży i dopomagać współziemianom, i dlatego wymiana myśli na zebraniach i usług w życiu praktycznym przynieść mu może i przynosi rzeczywiście prawdziwy pożytek.

Stowarzyszenia rolnicze są dwojakiego rodzaju: jedne kładą nacisk główny na rozkrzewienie nabytków wiedzy i doświadczenia w rolnictwie, drugie dążą do osiągnięcia dla uczestników bezpośrednich korzyści gospodarczych i społecznych. W pierwszym kierunku pracują „Towarzystwa Rolnicze“, w drugim różnej nazwy „Stowarzyszenia“.

Chcąc dać obraz zakresu działania, sposobów postępowania, wpływu i celów tych rozmaitych zjednoczeń, umyśliłem zamiast abstrakcyi przedstawić zarys działalności tych stowarzyszeń, które przed innemi celują wziętością i zasługą, gdyż przypuszczam, że im bliżej w ich byt wtajemniczą się rolnicy, tem szerszy ujrzą przed sobą widnokrag, tem łatwiej im będzie wytknąć dla dróg własnych kierunek. Poznanie innych stowarzyszeń potrzebnem jest dla uzupełnienia wiedzy i zaspokojenia słusznej ciekawości, która względem stowarzyszeń własnych jest wprost powinnością. Przedmiot ten jednak bardzo obszerny wychodzi poza ramy mego założenia. Towarzystwa rolnicze dawniejsze są od właściwych stowarzyszeń, do nich więc przystąpimy.

A) Towarzystwa Rolnicze.

W połowie osiemnastego wieku, z postępem nauk ekonomicznych i społecznych, zaczęła przybierać wyraźne kształty nauka rolnictwa. Pod jej wpływem w umysłach światlejszych nabrało mocy przekonanie o doniosłem dla społeczeństwa znaczeniu zawodu rolniczego. Widząc go upośledzonym, ludzie gorętszego serca zapragnęli zwrócić nań uwagę, zając nim społeczeństwo, i w szacunku powszechnym go podnieść. Tym celem umyślili zawiązywać towarzystwa z osób, mogących wpływowym głosem swoim dopomóc tej sprawie. Dla tego też w liczbie najdawniejszych uczestników towarzystw rolniczych

spotykamy uczonych, mężów stanu, urzędników, a z pośród rolników tylko część ich najoświecieńszą.

Najpierwsze z tych towarzystw powstały w r. 1723 w Szkocji i w roku 1731 w Dublinie. Niektórzy kładą na r. 1751 początek wielkiego Towarzystwa Rolniczego w Anglii. W tymże roku znakomity ekonomista, Gournay, zapoczątkował we Francji założenie Towarzystwa rolniczego w Bretanii. W ciągu dalszych lat trzydziestu związały się podobne Towarzystwa w Niemczech, Austrii, Szwecyi, Włoszech, Hollandyi, Szwecyi i Danii. Fryderyk Wielki i Marya Teresa, popierali je gorliwie w swoich państwach. W Rosyi powstało wtedy Cesarzkie Towarzystwo wolno-ekonomiczne.

Przez czas długi były te Towarzystwa raczej zgromadzeniami naukowemi, przyrodoznawczemi, niż stowarzyszeniami zawodowemi. Wprawdzie już Towarzystwo rolnicze Szkoockie zaczęło wstępować na drogę praktyczną, lecz istotnie wkroczyło na nią dopiero

I.

Królewskie Towarzystwo rolnicze Angielskie.

(*Royal Agricultural Society of England*¹⁾).

Według podania inżyniera Eytta, twórcy Towarzystwa rolniczego w Niemczech, założone w r. 1838, trafiło na czas, kiedy rolnictwo w Anglii dużo brakowało do świetności. Jeszcze hodowla, dzięki wrodzonemu do niej upodobaniu Anglików, oraz corocznemu jarmarkowi w Smithfieldzie, lepsze znajdowała warunki, lecz technika rolnicza, a zwłaszcza narzędzia i maszyny, pozostały w wielkiem zacofaniu i, nie wzbudzając zaufania dla braku prób porównawczych, nie mogły się rozpowszechnić, skutkiem czego bardzo trafnie nawet pomyslane narzędzia spoczywały bezczynnie na składach fabrycznych. Uprawa była niedbała i płytką, chociaż pługi zużywały o 30% wię-

¹⁾ Wiadomości dotyczące tego Towarzystwa oparte są na sprawozdaniu inżyniera Eytta, założyciela Towarzystwa rolniczego w Niemczech.

cej siły pociągowej, niż obecnie. Drenowanie, tak nieodbitcie potrzebne w Anglii, znajdowało się jeszcze w kolebce. Wyższość Szkocyi nad Anglią pod względem rolniczym była uznaną; przypisywano ją po części charakterowi Szkotów, ale też po części działalności tamtejszego Towarzystwa rolniczego („Highland and agricultural Society of Scotland“), które właśnie w owej porze dało dowód żywotności, przeznaczając 1000 funt. szt. nagrody niejakiemu Elkingtonowi za postępy w drenowaniu.

Towarzystwo angielskie wzięło sobie za hasło kojarzenie praktyki z umiejętnością, rozumiejąc pod tą ostatnią zbiór wiadomości ze wszystkich, rolnictwa dotyczących, dziedzin. Uczoności książkowej i laboratoryjnej zamierzono dotykać z uszanowaniem, ale zdaleka i ostrożnie. Doświadczenie uznano za niezbędną podwalinę postępu i zamierzono zalecać rolnikom to tylko, co wytrzymało próby. Ażeby rolnicy wszelkich barw i przekonań pracować mogli w Towarzystwie solidarnie, wykluczono z niego stanowczo zabiegi polityczne, tak, że nawet dla zacieklej walki o cła zbożowe, toczącej się w czasie założenia Towarzystwa, umiało ono pozostać zupełnie obcem.

Na czele Towarzystwa stoją: prezes, wice-prezes i 12 radców, którzy wraz z 50 członkami, powołanymi przez wybór ogólnego zebrania, tworzą komisję generalną, zarządzającą Towarzystwem. W komisji tej mogą też zasiadać, bez prawa wszakże stanowczego głosu, tak zwani członkowie prezydyalni, tem tylko różniący się od członków zwyczajnych, że płacą nie 10 rubli, jak oni, ale 50 rubli rocznej składki. Rozumie się, że członek prezydyalny, do komisji generalnej wyborem powołany, korzysta w całej rozciągłości z prawa głosu stanowczego.

Komisya odbywa posiedzenia co miesiąc, przyczem dla prawomocności uchwał potrzebną jest obecność pięciu członków. Trzecia część każdorazowego kompletu może zażądać rozpatrzenia i zatwierdzenia powziętej uchwały na najbliższem posiedzeniu miesięcznem. Komisya generalna zawiązuje delegacye specjalne, czasowe i stałe, i mianuje do nich członków. Delegacye te rozwiązują się corocznie w grudniu, poczem komisya zawiązuje one na nowo, z tych samych lub innych członków, nie odnawiając delegacyi czasowych, jeżeli ukończyły czynność. W r. 1883 istniały delegacye: 1) finansowa, 2) administracyjna, 3) wydawnicza, 4) chemiczna, 5) chorób nasion, 6) chorób roślin, 7) weterynaryjna, 8) premiowania zwierząt, 9) premiowania narzędzi, 10) wystawowa, 11) wynajmu placu na wystawę, 12) wykształcenia rolniczego i 13) wyborcza.

Delegacye mają znaczenie jedynie doradcze, gdyż wnioski ich ulegają rozpatrzeniu i zatwierdzeniu komisji generalnej. Prezes, wi-

ce-prezes i radcowie podchodzą pod wybór corocznie, lecz mogą być wybrani ponownie, z wyjątkiem prezesa, który przed upływem trzech lat nie może być wybrany. Z liczby 50 członków delegowanych do komisji generalnej połowa ustępuje co rok. Wybory odbywają się na majowym ogólnym zebraniu Towarzystwa, lecz dawni członkowie zarządu pozostają na urzędowaniu aż do ukończenia wystawy, odbywającej się w lipcu i będącej dla Towarzystwa głównym zadaniem. W tych wszystkich urządzeniach przebija dążność do ciągłego odnawiania zarządu, aby dać do niego przystęp jak największej liczbie członków, i tem zastąpić bezpośrednio rządy ogólnych zebrań Towarzystwa, a nadto zapobiedz zastarzałości i rutynie w zarządzie.

Załatwianie spraw bieżących, oraz prawne przedstawicielstwo Towarzystwa należą do płatnego sekretarza, z pomocą biurową. Ogólne zgromadzenia zbierają się w Londynie dwa razy do roku — w maju i grudniu — dla załatwiania spraw wewnętrznych Towarzystwa. Trzecie zbiera się w czasie i miejscu wystawy, odbywającej się co rok w innym miejscu. Członkowie zwyczajni mają prawo uczestniczenia i głosowania w ogólnych zebraniach Towarzystwa, wolnego wstępu do jego bibliotek, zbiorów i wystaw, na których w razie udziału korzystają z rozmaitych ustępstw, otrzymują bezpłatnie publikacje Towarzystwa, i wreszcie korzystają z jego pomocy w zakresie chemii, botaniki i weterynaryi. W rocznikach Towarzystwa, których zbierają się rocznie dwa grube tomy, mieszczą się najbardziej palące kwestye rolnicze, rozprawy premiiowane, sprawozdania delegacyi, szczegółowe zestawienie rezultatów wystawy. Natomiast nie znajdują w nich miejsca rozprawy teoretyczne i abstrakcyjne, przedruki i kompilacje. Z opisów gospodarstw w szeregu lat umieszczonych można sobie wytworzyć doskonale wyobrażenie o stanie rolnictwa w rozmaitych okolicach Anglii. Tu roztrząsały się i dojrzały ostatecznie kwestye: plugów, drenowania, zastosowania pary, doświadczeń Lawesa, techniki rolnej i hodowlanej. Nawet tak potoczna z pozoru kwestya, jak budowa wozów, tu roztrząsana, znalazła rozwiązanie stosunkowo doniosłe, skoro doprowadziła do zupełnego zarzucenia wozów czterokołowych w gospodarstwach angielskich i do zastąpienia ich dwukołowymi. Tu każdy rolnik, w miarę możliwości, dokłada cegiełkę, choćby najskromniejszą, ale własną, i wszystkie idą na pożytek.

Towarzystwo posiada stację doświadczalną, laboratorium chemiczne, dokonywające analiz ziem, nasion i nawozów za cenę przystępną, i biuro porady do określenia gatunku roślin i zwierząt, ozna-

czenia chorób roślinnych i tępienia szkodników. Nadto zapewniło Towarzystwo na użytek swoich członków warunki ulgowe w najpierwszych zakładach weterynaryjnych Anglii.

Bardzo dobroczynnem w skutkach okazało się premiowanie gospodarstw, które w tym celu podzielono podług przestrzeni na klasy. Premia wynoszą od 15 do 100 funt. szt. Oględzin dokonywa komisya 3 sędziów, która zjeżdża do ubiegającego się majątku 3 razy do roku: około Bożego Narodzenia, dla skonstatowania zimowego utrzymania bydła, w maju dla obejrzenia pól, i w czerwcu dla obznajomienia się z rezultatem żniw.

Z Towarzystwami rolniczemi miejscowemi, złożonemi przeważnie z fermerów, stosunki Towarzystwa Królewskiego były zawsze jak najprzyjaźniejsze i zmierzały do zbliżenia ich wzajemnego i zawiązania pomiędzy niemi bliższych stosunków, ażeby je wyprowadzić w ten sposób z zaściankowego zasklepienia. Wzmacniając o ile możności drobne te zjednoczenia, Towarzystwo samo nie rośnie zbyt w liczbę członków. W r. 1883 było ich 8,000, obecnie cyfra ich dochodzi do 13,000. Obok starań o dostarczanie członkom jak największych korzyści nie ubiega się też Towarzystwo o gromadzenie funduszków. Z 10 rubli składki rocznej członka idzie na administracyę i druki 3 rub. 25 kop., na wydawnictwa 2 rub. 25 kop., na chemię, botanikę, weterynaryę i wykształcenie 2 rub. 50 kop., na wystawy i fundusz rezerwowy 2 rub.

Największe zasługi położyło Angielskie Towarzystwo Rolnicze w zakresie wystaw. Te odbywają się corocznie coraz w innem miejscu. Całą Anglię podzielono w tym celu na 8 okręgów, tak, iż w każdym co lat 8 powtarza się wystawa. Wybór miejscowości uchwała komisya generalna, podczas wystawy, z roku na rok. Na wybór ten wpływają: 1) Wysokość zasilku, deklarowanego przez ubiegające się miejscowości, zwykle 2,000 funt. szt. 2) Środki komunikacyjne. 3) Wysokość i rodzaj ulg, ofiarowanych przez drogi żelazne. 4) Możliwość otrzymania suchego i niezbyt odległego od miasta placu, trzymającego 45 do 90 morgów powierzchni. 5) Gęstość zaludnienia otaczających okolic. 6) Pierwszeństwo dla okolic bardziej zacofanych w rolnictwie.

Wystawa urządzi się corocznie w lipcu, przed żniwami, i niezależnie od prób trwa zwykle tydzień, a właściwie pięć dni, z czego wynika, że zabudowania muszą być lekkie, łatwo przenośne, a jednak wystarczające i w najdrobniejszych szczegółach obmyślane, gdyż opóźnienia i zamęt były-by dla przedsięwzięcia zabójcze. Z początkiem wiosny deklaracye bywają już zebrane i rozklasyfikowane. W maju długie szeregi zabudowań stoją już gotowe i stawia się parkan. Z po-

czątkiem czerwca drogi żelazne układają linie pomocnicze do wystawy. Na tydzień przed otwarciem całe pociągi zwożą narzędzia rolnicze, które w największym ładzie i spokoju rozstawiają się na miejsca. Wszystko odbywa się jak w zegarze. Rzecz można, że wyjątkowy talent angielskich przemysłowców do urządzania wystaw wykształcił się na wystawach rolniczych. Kilka delegacyi zajmuje się przygotowaniem do wystawy (zabudowaniami, zaprowiantowaniem, premiowaniem okazów). Prowadzeniem jej zarządzają czterej gospodarze mianowani przez komisję generalną. Corocznie ustępuje z nich jeden. Tym sposobem zapewnia się ciągłość i przygotowuje postęp. Pomimo deficytu, sprawionego przez niektóre wystawy, i znacznych premii, dochodzących corocznie do 4,000 funt. szter., pierwsze 41 wystaw dały zaledwie po 874 funt. szt. deficytu, co jest niczem, w porównaniu z przyniesioną korzyścią. Deficyty stopniowo maleją i zdarzają się coraz rzadziej. Koszt wystawy dochodzi zwykle do 17,000 funt. szt. i pokrywa się opłatą od wystawców, oraz dochodem z wejścia: pierwszego dnia po 2½ rubla, drugiego i trzeciego po 1¼ rubla, a przez dwa pozostałe po ½ rubla od osoby.

Dwa główne działy są to inwentarze i maszyny. W początkach swego istnienia znalazło Towarzystwo niektóre rasy u pojedynczych hodowców na wysokim stopniu udoskonalenia. Za jego sprawą rasy te i sposoby ich hodowania znalazły upowszechnienie. Dopomogło do tego wyróżnienie najlepszych okazów, motywowane opinie sędziów i sprawozdania Komisji wystawowych. Pojęcie hodowli zawodowej zostało ogólnie zrozumianem. Handel inwentarzem rasowym rozwinął się szybko, zwłaszcza z zagranicą, która teraz dopiero znalazła punkt zborny, gdzie mogła spotkać naraz corocznie to wszystko, co tylko najlepszego pod względem hodowli wyprodukowała Anglia.

Krocąc dalej tą drogą, zajęło się Towarzystwo wyróżnianiem i udoskonalaniem odmian miejscowych, urządzając dla nich po kilkadziesiąt konkursów na każdej wystawie. Zainteresowanie się hodowców wyraża się w liczbie przedstawionych okazów, powiększającej się z każdym rokiem.

Jeszcze bardziej dotykalne rezultaty odniosło Towarzystwo w zakresie maszyn i narzędzi rolniczych. W początkach jego istnienia nieliczne fabryki tych maszyn wiodły żywot suchotniczy, nie mogąc należycie zaprodukować swoich wyrobów. Dopiero wystawy dały im ku temu sposobność. Korzystając z niej, Ransome wystawił naraz w roku 1840 — 64 odmiany pługów. Wprawiło to rolników w osłupienie, bo wcale nie wiedzieli, czem się kierować w wyborze.

Okoliczność ta stała się powodem do zaprowadzenia na wystawach prób porównawczych dla narzędzi i maszyn. Dokonywali ich z początku sami tylko rolnicy, z wyłączeniem fabrykantów, lecz przekonano się wkrótce, że takie próby są bezowocne i zaproszono fabrykantów do przedstawiania okazów swoich na próbach. Środek ten okazał się nader trafnym, korzystając bowiem ze sposobności, rolnicy szczegółowo wyjaśniali fabrykantom swoje potrzeby, fabrykanci zaś szukali w technice środków ich zaspokojenia.

Z chwilą jak wypadło poddać próbom maszyny parowe, okazało się, że rolnicy, jako sędziowie, temu zadaniu nie mogą sprostać. Z tego powodu Towarzystwo zaprosiło im do pomocy inżynierów. Stało się, że najpierwsi technicy Anglii ofiarowali swoje usługi i udoskonalili mechaniczną stronę prób tak uniejętnie i z takim zrozumieniem celów praktycznych, iż utorowali tem drogę do dalszego postępu narzędzi rolniczych.

Z czasem napływ narzędzi na wystawy stał się tak wielkim, że do prób rozłożono je na serye; w jednym roku próbują pługów, w drugim siewników, w trzecim młocarni itd. Nowych pomysłów próbują corocznie.

Zdarzyło się raz jeden, że fabrykanci zaprotestowali przeciw wystawom, oświadczając, że są zbyt kosztowne, że premia dają nagrodzonym zbyt wielką nad współzawodnikami przewagę, i że odpowiednio do swoich zadań próby są niewystarczające. Z tego powodu wielu fabrykanci wcale nie obeśiali wystawy w Cambridge z r. 1861. Dzięki temu przypadkowi zjawiała się dla firm podrzędniejszych możliwość odznaczenia się na wystawie i pozyskania rozgłosu, od którego datuje się wszechświatowe ich powodzenie. Nauczeni doświadczeniem wielu fabrykanci nie opuścili następnie ani jednej wystawy.

Jak słabo upowszechniały się narzędzia, których wytwórcy nie chcieli korzystać z wystaw Towarzystwa, dają dowód żniwiarki. Te były znane w Szkocyi od r. 1823, lecz fabrykant Bell nie chciał się z nimi wcale popisywać. Nie były też w Anglii wcale używane. Kiedy zaś w r. 1851 Amerykanin Mac-Cormick przysłał je na wystawę wszechświatową Londyńską, Towarzystwo Królewskie wzięło tę sprawę w swoje ręce, poddało żniwiarki próbom i po upływie lat czterech pozyskały one na fermach w Anglii ogólne prawo obywatelstwa.

Nie dość tego, że wystawy poprowadziły do szybkiego i wszzechmiar zadawalającego postępu w budowie machin i narzędzi, stworzyły one z nich jeszcze nową i bardzo korzystną gałąź przemysłu i handlu, tak, że wyrabiające je ogromne zakłady nie mogą nastarczyć zamówieniom. Posłużyły one nadto do ujednostajnienia w świe-

cie rolniczym poglądów na narzędzia i metody uprawy, oraz do rozpowszechnienia maszyn, za najlepsze uznanych.

Towarzystwo rolnicze w Anglii usunęło zapory pomiędzy różnymi okręgami kraju, zbliżyło je z sobą i wyprowadziło z zacofania i parafianstwy na drogę postępu. Uczyniło to ono nie tyle przez propagandę i rozprawy, nie tyle przez pisma i druki, ile czynem, przez wciąż powtarzające się doświadczenia i próby. Uwidoczniło za pomocą wystaw wszystko, co w danej chwili najlepszego wytwarzało rolnictwo angielskie, i metodą, rzec można, poglądową zachęcało i wdrażało do postępu, oddając przez to usługę niezmierną nie tylko angielskiemu, ale też wszechświatowemu rolnictwu.

II.

Towarzystwo Rolników francuskich.

(*Société des Agriculteurs de France*¹⁾).

Od r. 1751 istniało we Francyi Towarzystwo rolnicze Bretanii o czem wspomniano powyżej. W r. 1761 Turgot zawiązał Towarzystwo, znane dziś pod nazwą: „Société nationale d'Agriculture“, idące w kierunku akademickim. Zniesione podczas rewolucyi, Towarzystwa te odrodziły się następnie i zaczęły się mnożyć. Za Ludwika Filipa istniało ich 566, lecz znaczenia nie miały. Od r. 1843 zaczęły się odbywać zjazdy delegatów tych Towarzystw, lecz druga rewolucya znów je przerwała. Dopiero w r. 1867 redaktor „Dziennika rolniczego“, Edward Lecoutoux, korzystając z licznego zjazdu rolników na próby orki parowej, przemówił do nich gorąco: „aby, przypatrzwszy się działaniu największej siły fizycznej, to jest pary, powzięli chęć korzystania z największej potęgi moralnej, jaką jest zjednoczenie, i nie

¹⁾ Materiały do opisanja Towarzystwa tego znalazłem w drukach, nadesłanych mi uprzejmie przez pana H. Johanet, sekretarza Towarzystwa.

szukali oparcia gdzieindziej, tylko we własnych siłach, zakładając w tym celu „Towarzystwo Rolników francuskich.“

Słowa te, w lot podchwycone przez prasę, utrafiły w potrzebę chwili i porwały za sobą rolników. Przystępowano do Towarzystwa tak tłumnie, że w 4 miesiące potem mogło już ono rozpocząć działanie, przyjmując za hasło: inicjatywę indywidualną i zbiorową.

Towarzystwo składa się z członków zwyczajnych, ofiarodawców i założycieli podług wysokości składki. Przyjęcie następuje na wniosek 2 członków wskutek tajnego głosowania rady. Wszelkie stowarzyszenia pokrewne rolnictwu, jak například: leśne lub wyścigowe, izby, kółka i syndykaty rolne, stowarzyszenia robotnicze wiejskie, mają prawo być przedstawianymi w Towarzystwie za pośrednictwem delegowanych w liczbie dowolnej, płacących każdy za siebie składkę członkowską. Prezydium składa się z prezesa, wice-prezesów, sekretarzy, skarbnika i archiwisty. Zarząd wykonywa rada, do której wchodzi całe prezydium, złożone z 14 osób, prezesa i wice-prezesa sekcjami, oraz 36 radców. Powyżsi członkowie rady wybierani są corocznie na zgromadzeniu ogólnem i mogą być ponownie wybrani. Głosy na nich podają nie tylko obecni na posiedzeniu członkowie, ale też i nieobecni, przez korespondencyę.

Dla prawomocności uchwał rady potrzebną jest obecność piętnastu członków. W wydatkowaniu funduszków rada rządzi się uchwałami ogólnego zebrania członków.

Towarzystwo zbiera się raz jeden do roku na zgromadzenie ogólne, trwające dni osiem. Zjeżdża się zwykle wtedy przeszło 5,000 członków. Przybywając na posiedzenie, członek zapisuje się do jednej z sekcji i w tej korzysta z prawa stanowczego głosu, w innych zaś, nie głosując, może brać udział w obradach.

Zadaniem sekcji jest przygotowywanie do rozpraw następujących się pytań i poddawanie ich pod obrady ogólnego zebrania. Każda sekcja wybiera sobie prezesa i wice-prezesa.

Obecnie jest ich dwanaście, a mianowicie: 1. Rolna, 2. Hodowlana i nabiłowa, 3. Uprawy winnic, 4. Uprawy lasów, 5. Ogrodnictwa i sadownictwa, 6. Inżynierii rolnej, 7. Przemysłu opartego na rolnictwie, 8. Owadoznawstwa (jedwabnictwa, pszczelnictwa i hodowli ryb), 9. Ekonomii i prawodawstwa rolnego, 10. Nauczania rolnictwa, 11. Hodowli koni, 12. Stosunków międzynarodowych i kolonialnych.

W czasie zjazdu na zgromadzenie ogólne, sekcye obradują codziennie w godzinach porannych, zgromadzenia odbywają się w południowych.

Z chwilą zakończenia sesji dorocznej rozwiązują się sekcye, a na ich miejsce rada mianuje delegacye stałe do przyjmowania w ciągu roku prac i wniosków w zakresie zadań sekcji, oraz przygotowania zajęć dla zgromadzenia ogólnego. Delegacye te zbierają się często w siedzisku Towarzystwa. Oprócz tego rada, w miarę potrzeby, powołuje delegacye czasowe. Protokoły delegacji ogłaszają się w buletynach, mieszczących w sobie sprawozdania Towarzystwa i jego sekcji, zawiadomienia prezydium, prace i rozprawy rolnicze, odezwy Towarzystw prowincjonalnych, kroniki tygodniowe, rozbiór prac parlamentarnych i wiadomości obchodzące rolników.

Główną charakterystykę Towarzystwa tego stanowi gorąca chęć i umiejętność zogniskowania w sobie życia rolniczego Francji. Spełnia ono program wypowiedziany zaraz na pierwszej sesji inauguracyjnej w słowach: „Francya pokryta jest stowarzyszeniami rolniczemi dobrze zasłużonemi krajowi. Towarzystwo nie będzie się kusilo o ich zastąpienie. Chce tylko związać z sobą te ciała rozproszone. Chce stworzyć z nich skojarzenie, a uszanować ich samorząd. Nie zamierza przez to bynajmniej uszczuplać ich znaczenia, gdyż to, że kłosa są związane w snop, żadnemu z nich bynajmniej wartości nie odejmuje.

Rządząc się tą myślą, członkowie Towarzystwa zbierają się na sesye prowincjonalne na zaproszenie kolegów, wysłuchują tam życzenia miejscowych rolników i poddają je rozprawom, po czym komunikują je sekretarzowi Towarzystwa w Paryżu.

Tego rodzaju zgromadzenia departamentalne mają prawo stawiać kandydatury do rady Towarzystwa.

Podczas wystaw prowincjonalnych, urządzanych z inicjatywy rządu, członkowie Towarzystwa zbierają się na narady. Za zgodą rady członkowie Towarzystwa zawiązują się w departamentach w oddziały, zjeżdżające się na posiedzenie po kilka razy do roku.

Lecz co najważniejsza: pięćset towarzystw, izb rolniczych i syndykatów przyłączyło się do Towarzystwa i idzie z niem razem, nic nie tracąc z samodzielności. Corocznie przed zgromadzeniem ogólnem Towarzystwo zwołuje do Paryża przedstawicieli stowarzyszeń prowincjonalnych na zjazd specjalny, gdzie każde z nich wypowiada życzenia swego departamentu, okręgu, lub kantonu. Życzenia te przesyła się sekcjom Towarzystwa i poddaje się pod rozprawy Zgromadzenia ogólnego.

Stowarzyszenia te otrzymują corocznie darmo po kilka grubych tomów buletynów Towarzystwa, oraz tom sprawozdań zgromadzenia ogólnego.

go i jego Sekcyi. Nadto na motywowane przedstawienie stowarzyszeń Towarzystwo rozdaje im medale dla nagradzania wystawców.

Świetnem uwieńczeniem tej działalności, ciągnącej się bez przerwy od zawiązania Towarzystwa, było naprzód ujęcie w ręce sprawy syndykatów zaraz w jej początkach, puszczenie jej w bieg i nadanie jej pierwszorzędnego znaczenia, a następnie założenie syndykatu centralnego, oraz związku syndykatów rolnych francuskich, wraz z zamianowaniem delegacyi pośredniczącej pomiędzy temi urządzeniami a Towarzystwem. Do instytucyi tych, będących dźwignią dla syndykatów francuskich, powrócimy w swoim miejscu.

Uchwały Towarzystwa, powzięte na sesyi dorocznej, ogłaszane w sprawozdaniach, szeroko rozbiegane w prasie wszelkich odcieni, rozsyłane władzom rządowym, członkom parlamentu, towarzystwom, izbom i syndykatom rolniczym, posłużyły za postawę dla mnóstwa reform w prawach i przepisach administracyjnych, zarówno jak dla wielu zmian doniosłych w metodach kultury.

Do pierwszorzędných zasług Towarzystwa należą jego starania około sprawy nauczania rolniczego. Dzięki niestrudżonym jego zabiegom założono wyższą szkołę rolniczą, pod nazwą: „narodowego instytutu rolnictwa“.

Niezależnie od starań o wykształcenie średnie w rolnictwie, Towarzystwo premiowało nauczycieli, którzy z własnej chęci wykładali ten przedmiot w szkołach ludowych, a co większa, wyjednało w izbach w r. 1879 prawo o nauczaniu początkowem rolnictwa, według programu wypracowanego w sekcyi wychowawczej Towarzystwa.

Dla wzbudzenia pomiędzy rolnikami ruchu umysłowego, każda z dwunastu sekcyi ma obowiązek zaprojektować w zakresie swoich zajęć plan konkursu, ulegający zatwierdzeniu zgromadzenia ogólnego. Delegacye stałe mają obowiązek czynić wnioski o przysądzenie za najlepsze rozprawy nagród, wydawanych w postaci kwot pieniężnych, przedmiotów sztuki i medali.

Towarzystwo posiada ogromne laboratorium chemiczne, ciesząc się europejską sławą i dokonywające analiz podług taryfy stałej.

Pod względem maszyn i narzędzi odbywają się za staraniem Towarzystwa próby porównawcze.

Ankiety Towarzystwa, gruntownie prowadzone, zwykle dotychczas odnosiły praktyczny skutek, gdyż, opierając się na nich, Towarzystwo wyjednywało u rządu zmiany prawodawcze.

Jakkolwiek zatem w mniemaniu samegoż Towarzystwa wzoruje się ono na Towarzystwie rolniczem angielskiem i utrzymuje z niem sto-

sunki jak najprzyjaźniejsze, to jednak bardzo widocznie odróżniło się od niego.

Naprzód za obowiązek poczytuje sobie ono wyjednywać od rządu zmiany prawodawcze dla rolników pożądane, czego Towarzystwo Angielskie pilnie unika, a następnie cieszy się większem i widoczniejszym powodzeniem w zogniskowaniu w sobie wszystkich stowarzyszeń rolniczych.

Obie te różnice tłumaczą się ustrojem społecznym dwu tych narodów. W demokratycznej Francji nieskończenie mniejsze zachodzą sprzeczności pomiędzy interesami wielkiej i małej własności, aniżeli w Anglii. Z drugiej strony, możność projektowania i popierania praw pożytecznych dla ogółu rolników stała się węzłem, wiążącym drobne stowarzyszenia z Towarzystwem rolników francuskich.

Na korzyść tego ostatniego przemawiają jeszcze wielkie jego zasługi około wykształcenia rolniczego wszystkich stopni. Natomiast Towarzystwo Angielskie pochłubić się może przeważnym udziałem w olbrzymim postępie rolniczym swojego kraju, przy pomocy wystaw i prób porównawczych, pod jakimi to względami mierzyć się z niem może jedynie

III.

Niemieckie Towarzystwo Rolnicze.

(*Deutsche Landwirtschaftliche Gesellschaft*) ¹⁾.

Twórcą jego uznanym jest inżynier, Max Eyth, znawca i wielbiciel Towarzystwa Rolniczego angiels. Przykładem jego pociągnął on Niemcy, wskazując na wpływ niezmierny, jaki wywarły wystawy wędrowne Towarzystwa na ogólno - krajowy postęp rolnictwa.

¹⁾ Opisanie Towarzystwa tego zawdzięczam wyjaśnieniom i drukiem, udzielonym mi łaskawie przez sekretarza generalnego Towarzystwa, radcę Wölbliuga.

Towarzystwo Rolnicze Niemieckie powstało w roku 1884, lecz urzędownie rozpoczęło działalność w roku 1886.

Według dosłownego brzmienia ustawy, jest ono zjednoczeniem, związaniem w celu materialnego postępu rolnictwa w Niemczech.

W tym celu założyło ono sobie:

a) Zbierać i rozpowszechniać praktyczne wskazówki doświadczenia.

b) Rozpowszechniać w sposób przystępny i treściwy rezultaty najnowszych dociekań naukowych, w związku z zastosowaniem ich praktycznym.

c) Oceniać wartość nowych metod za pomocą doświadczeń praktycznych i badań naukowych.

d) Dążyć do podźwignięcia rolnictwa pod względem uprawy, hodowli, narzędzi, komunikacji, melioracji i pobocznych przedsięwzięć.

e) Ożywiać handel krajowy i zagraniczny niemieckimi płodami i środkami pomocniczymi rolnictwa.

Do osiągnięcia tych celów służą Towarzystwu w myśl ustawy:

a) Coroczne zgromadzenia ogólne członków podczas wystawy, oraz inne zebrania członków.

b) Coroczne wystawy wędrownie rolnicze.

c) Konkursy inwentarzy i produktów rolnych.

d) Konkursy i próby narzędzi i maszyn rolniczych.

e) Rozprawy i dociekania konkursowe, dotyczące pytań, zachodzących w rolnictwie.

f) Zawiazywanie sekcji i podkomisyi.

g) Zaprowadzanie biur dla pośrednictwa w handlu.

h) Zaprowadzanie biur informacyjnych w zakresie rolnictwa.

i) Ogłaszanie prac Towarzystwa w roczniku jego, oraz innych publikacjach.

W tych zasadach odbija się wyraźnie dążenie do udoskonalania techniki rolniczej, za pomocą wzorów, badań, rozpraw, oraz naukowego uzasadnienia dróg i metod, w praktyce już używanych.

Członkowie zwyczajni płacą po dwadzieścia marek rocznie, lub też sto marek jednorazowo. Za opłatą pięć razy większą, uzyskują nazwę protektorów (Patronatsmitglieder). Prócz tego Towarzystwo ma prawo wybierania członków honorowych i korespondentów, jednych i drugich wolnych od opłat, biorących udział w rozprawach, bez prawa głosowania.

Towarzystwo ma 13,000 członków. Zastanawiającem jest, że ty-leż liczą Towarzystwa: Królewsko-Angielskie i Rolników Francusk.

Urząd prezydyalny Towarzystwa składa się:

1. Z prezesa, zwykle panującego rodu, piastującego godność tę przez rok jeden i przechodzącego na trzy lata następne na wice-prezesa honorowego.

2. Z dwunastu wice-prezesów, po jednym z każdego okręgu rolniczego Niemiec.

3. Z dwunastu do osiemnastu (obecnie trzynastu) członków wybieralnych.

Prezydyum zawiaduje sprawami Towarzystwa. Organem jego wykonawczym jest dyrekcya, do której prezydyum wybiera ze swego grona prezesa, jego zastępcę, skarbnika i pięciu do ośmiu (obecnie sześciu) członków. Prezes jest przedstawicielem prawnym Towarzystwa. Sekretarz generalny Towarzystwa (Hauptgeschäftsführer) działa i podpisuje w imieniu dyrekcji.

Funkcję komisji rewizyjnej spełnia tak zwana rada zarządzająca, złożona z siedmiu członków.

Zwierzchni zarząd w Towarzystwie sprawuje komisya generalna (Gesamtausschnss), do której wchodzi: całe prezydyum i rada zarządzająca, trzech wice-prezesa honorowi, stu członków zwyczajnych, czyli trzyletnich, oraz trzydziestu sześciu nadzwyczajnych, czyli jednorocznych, z wyboru ogólnego zgromadzenia członków, i wreszcie trzydziestu członków z zaproszenia komisji generalnej.

Dla prawomocności uchwał wymaga się obecności w komisji generalnej dwunastu, w prezydyum sześciu, w dyrekcji trzech członków. Komisya generalna wydaje instrukcye dla Towarzystwa, oraz przepisy dla sekcji i biur poszczególnych, układa budżet i upoważnia do wydatków, przewyższających 10 tysięcy marek, zbiera się na cztery posiedzenia rocznie.

Prezydyum, w razie odwołania się dyrekcji, rozpatruje ostatecznie jej postanowienia, rozstrzyga podane na nią zażalenia, upoważnia do wydatków, nie przechodzących 10 tysięcy marek, zbiera się w miarę potrzeby.

Dyrekcya nadaje bieg sprawom Towarzystwa i czuwa nad ich wykonaniem, upoważnia do wydatków, nie przewyższających 5 tysięcy marek; zbiera się co miesiąc, w dniu stale oznaczonym.

Czwarta część biorących udział w posiedzeniu członków, czy to w prezydyum, czy w komisji generalnej, rozpatrując jakieś pytanie, może zażądać głosowania na piśmie, które w takim razie odbywa się przez korespondencję, wystosowaną do wszystkich członków tego grona, z terminem na odpowiedź dziesięciodniowym. Rezultat głosowania przesyła się wszystkim członkom zapytanym.

W Towarzystwie liczą się sekcye następujące:

1. Nawozowa, z podkomisją do zużytkowania odpadków miejskich.
2. Nasienna.
3. Rolna, z podkomisjami:
 - a) ochrony roślin,
 - b) nawozów zielonych,
 - c) uprawy lnu,
 - d) uprawy torfowisk.
4. Hodowlana, z podkomisjami:
 - a) hodowli koni.
 - b) „ bydła,
 - c) „ owiec cienkowiełnistych,
 - d) „ „ mięsnych,
 - e) „ świń,
 - f) „ kóz,
 - g) zdejmowania wizerunków zwierząt,
 - h) zwalczania chorób zwierzęcych.
5. Melioracyjna.
6. Narzędzi rolniczych, z podkomisją wykonywania prób.
7. Owocarska i uprawy winnic z podkomisjami:
 - a) zasilania nawozami drzew owocowych,
 - b) sprzedaży i odstawy.

Prócz tego, nie należąc do żadnej sekcji, istnieją podkomisyje:

- A) Budowlana.
- B) Rachunkowości rolnej.
- C) Materiałów karmowych.
- D) Składu materiałów karmowych.
- E) Hodowli drobiu.
- F) Rybołówstwa.
- G) Zwiedzania gospodarstw.
- H) Wystaw nabiałowych.
- I) Składu nasion.
- K) Spostrzeżeń nad mięsem bitem.
- L) Szacowania gruntów.
- M) Urządzania wystaw.

Różne sekcje i podkomisyje posiadają siedmiu naczelników biura, całe zaś Towarzystwo sekretarza generalnego, którym jest od założenia Towarzystwa wielce zasłużony starszy radca ekonomiczny, Wölbling.

Dla dogodności członków, Towarzystwo przyjęło na siebie pośrednictwo w dostarczaniu rolnikom nawozów mineralnych. Jedną

z pobudek, do tego skłaniających, było nader wpływowe w stosunku do fabrykantów stanowisko długoletniego prezesa sekcji nawozowej, Szulca z Lupic, którego pracom i zachętom nawozy rzeczzone zawdzięczają ogromną wziętość w Niemczech; drugą zaś—chęć zastąpienia dla drobnych zjednoczeń rolniczych instytucyi, zespalającej je w jedną całość pod względem handlowym. Dzięki poważanemu swemu stanowisku z jednej strony i masowym zamówieniom z drugiej, Towarzystwo znalazło możliwość obsłużenia nietylko członków swoich, ale i drobnych rolników ze stowarzyszeń nawozami mineralnemi po cenie najprzystępniejszej i w gatunku jak najlepszym. Wprawdzie, według ustawy, Towarzystwu nie wolno przyjmować stowarzyszeń na członków, ale na to jest sposób, że przewodniczący stowarzyszenia zostaje członkiem Towarzystwa i dokonywa zamówień dla uczestników. Jak silnie rozwija się nabywanie nawozów mineralnych z poręki Towarzystwa, pokazuje następujące zestawienie:

Nabyto w kilogramach	w r. 1895	w r. 1898
Soli potasowych	153,097,760	253,657,950
Zużli Tomasa	27,480,800	30,487,469
Innych środków nawozowych	16,769,700	44,919,946
	197,348,260	329,065,365
Wogóle		

Wzrost obrotu wynosi 66% w przecięciu trzech lat. Sama zaś ilość 8 milionów centnarów 100-funtowych z roku 1898 bardzo jest zastanawiająca.

Dostawcy nawozów czynią tak wielkie ustępstwa, iż, niezależnie od zwrotów, jakie otrzymują nabywcy po zamknięciu rachunku, pozostaje dla Towarzystwa zysk znaczny (w roku 1898: 158,000 marek), z którego pokrywa się nietylko coroczna przewyżka rozchodów Towarzystwa, lecz jeszcze gromadzi się majątek, przenoszący obecnie 1,200,000 marek.

Na tych samych zasadach pośrednictwa komisowego, z prawem dla nabywcy sprawdzenia dobroci towaru, Towarzystwo zaprowadziło jeszcze dwie stacje: dostawy nasion i dostawy materiałów karmowych, dążąc do tego, aby sprzedaż i kupno dokonywały się pomiędzy członkami Towarzystwa. Operacje te nie mogą zatem dawać wielkich zysków, są jednak dla rolników bardzo użyteczne. W roku 1899 sprze-

łano w zaokrągleniu 4 miliony kilogramów nasion i 17 milionów kilogramów paszy ¹⁾.

Pod względem stacyi doradczych przy Towarzystwie istnieją:

Stacya doświadczalna, z zadaniem prowadzenia badań, potrzebnych Towarzystwu dla jego prac i przedsięwzięć. Zajmuje się ona głównie odpadkami miejskimi, oraz poszukiwaniem na drodze analitycznej i technicznej sposobów ich zużytkowania. Dokonywa rozbioru produktów używanych i wytwarzanych w rolnictwie, z wyjątkiem nawozów i paszy, już nabytych przez rolnika, gdyż czynność tę powierzyło Towarzystwo istniejącemu w Niemczech związkowi stacyi doświadczalnych.

Biuro budowlane ma śledzić postęp budownictwa i zastosowywać je w rolnictwie, wypracowywać wzory i udzielać członkom Towarzystwa porady i pomocy przy wznoszeniu budynków.

Biuro rachunkowości sprawdza na żądanie członków ich bilanse i księgi rachunkowe, urządza ich rachunkowość i ma nad nią na żądanie stały nadzór.

Takim jest zrab urządzeń tego ogromnego ciała. Spójrzmy na jego działalność.

Koroną jej są wystawy wędrownie, na których inwentarze, ziemiopłody, maszyny i narzędzia rolnicze, oraz środki pomocnicze w rolnictwie obficie przedstawione, z niemiecką gruntownością zbadane, ocenione, wypróbowane i opisane, ukazują się co lat dwanaście w każdym z tyluż okręgów rolniczych (Gaue), na które Towarzystwo dla wystaw podzieliło Niemcy.

Z przecięcia lat trzynastu od 1887 do 1899 roku obsyłały się wystawy jak następuje:

Koni	354 sztuk
Bydła	1,011 "
Owiec	511 "
Świń	415 "
Kóz	83 "
Drobiu	1.125 "
Królików	44 "
Produktów M-ów	1,339 "
Narzędzi	2,782 "

¹⁾ Jahrbuch za rok 1898, p. 535.

Wystawy stały się punktem zbornym hodowli i ogniskiem postępu rolniczego Niemiec.

Z przecięcia koszt wystawy wynosi 270,000 marek, lecz w ostatnich latach doszedł do 400,000. Deficyt przecięciowy dosięga 45,000 marek. Na same premia wydano na wystawie frankfurckiej 1899 roku w postaci nagród pieniężnych i medali 110,000 marek.

Na wystawach odbywają się próby, ekspertyzy, ogólne zebrania członków i posiedzenia sekcyjne. Ogólne zebranie wysłuchuje sprawozdania z działalności sekcji i podkomisji, bilansu i sprawozdania finansowego, wybiera siedlisko przyszłej wystawy, dokonywa wyboru na miejsca naczelne w Towarzystwie, i na ostatku wysłuchuje sprawozdania o stanie gospodarstwa w okręgu, w którym odbywa się wystawa. Każda z sekcji wysłuchuje sprawozdania z ostatniego roku swojej działalności, a następnie znakomici uczeni i praktyczni rolnicy występują z szeregiem odczytów, odznaczających się zarówno gruntownością, jako też obcą wszelkiej pedanterji przystępnością. W roku 1899 w sekcji nawozowej wystąpili: profesor dr Maerker z oznaczeniem potrzeby nawozowej za pomocą analizy chemicznej gruntu i prób wegetacyjnych; Wagner z Darnsztađu z krytyką przedwczesnego wyciągania wniosków z prób nawozowych; światły rolnik, Vibrans, z wyczerpującym odczytem o zużywaniu przez rolę nawozów obornych, chemicznych i zielonych. Toż samo dzieje się w innych sekcjach.

Wszystkie te prace nabierają szczególniejszej doniosłości, jeżeli zważyć, że odbywają się przy udziale 3,000 członków Towarzystwa, czyli $\frac{1}{4}$ części ogólnej ich liczby. Łatwo pojąć, jak ogromny wpływ na podźwignięcie praktyki rolniczej wywiera liczny zastęp ludzi, wracających z wystawy z umysłem, wzbogaconym najnowszymi zdobyczami techniki rolniczej, naukowo uzasadnionemi, doświadczeniem sprawdzonemi i wygłoszonemi ściśle, a jednak zupełnie zrozumiałe. Zwłaszcza ma to znaczenie w Niemczech, gdzie znajduje się największa liczba wyższych szkół rolniczych i największa też liczba światłych gospodarzy rolnych. Rzecz można, że Niemcy uczynili z wystaw i szkołę poglądową, i akademię popularną.

Z każdego działu wystawy sporządza się wyczerpujące analityczne sprawozdanie, które, wraz z treścią posiedzeń ogólnych i sekcyjnych, oraz z wiadomościami, dotyczącemi przebiegu jego przedsięwzięć w roku sprawozdawczym, zamieszcza się w rocznikach (Jahrbücher), których dotychczas wyszło czternaście tomów.

Z innych wydawnictw Towarzystwo, dla utrzymania ścisłych związków z członkami, ogłasza co tydzień zawiadomienia o rzeczach nowych i sprawach, obchodzących Towarzystwo (Mitteilungen). Wy-

daje nadto „prace“, mieszczące w sobie badania, rozprawy i sprawozdania, których wyszło dotychczas pięćdziesiąt tomów (Arbeiten), przewodniki dla rolnika praktycznego (Anleitungen), pisma rozmaite, dzienniki z czasu zebrań ogólnych (po kilka numerów na każdym zebraniu) i wreszcie sprawozdania rzeczoznawców rolnych i leśnych przy poselstwach niemieckich. Od założenia Towarzystwa wszystkie te wydawnictwa zapełniają 1,680 arkuszy druku, co czyni po 110 arkuszy rocznie.

W zimie odbywa się zwykle drugie ogólne zebranie członków.

Pozostaje nam jeszcze dać obraz jak najtreściwszy dorobków, przez Towarzystwo osiągniętych.

Pod względem roli. Wypracowane zostały oparte na naukach ścisłych metody szacowania urodzajności gruntów. Na żądanie członków, Towarzystwo deleguje do nich geologów, dla wskazania pokładów wapna i marglu, oraz sposobu ich użytkowania. Opracowuje prowadawstwo wodne.

Pod względem nawozów. Za pomocą odpowiedniej sekcji, Towarzystwo organizuje badania naukowe i praktyczne na polach doświadczalnych. Wprowadziło w powszechne użycie kainit, oraz inne nawozy mineralne. Jest na drodze poszukiwania metod przechowywania obornika. Stara się, nie szczędząc nakładów, o spożytkowanie dla rolnictwa odpadków miejskich, czemu poświęca własne pola doświadczalne. Wobec wysokiej wartości nawozów zielonych, daje wyczerpujące wskazówki co do ich zaprowadzenia i użytkowania. Usilnie popiera prace w chemii rolnej. Udziela stypendyów młodzieży, odbywającej wyższe studia bakterjologii. Dokonywa badań na wielką skalę nad nawożeniem winnic, plantacji tytoniowych, a zwłaszcza drzew owocowych. Urządza kursa dla nauczycieli wędrownych rolnictwa, aby roznosili światło pomiędzy włościanstwem.

Pod względem uprawy. Odbywa bez przerwy próby narzędzi. Obecnie studjuje plugi elektryczne rozmaitych konstrukcji.

Co do nasion. W przekonaniu, że używanie nasion wyborowych jest najtańszą i stosunkowo najkorzystniejszą z melioracji, prowadzi usilnie próby porównawcze plenności i zastosowania nasion do natury gruntów i warunków klimatycznych. Jak wielką jest doniosłość tych prób, okazuje się z różnicy plenności dwóch odmian żyta: Petkus i Sagnitz, opartej na dwudziestu pięciu doświadczeniach z jedenastu odmianami żyta w dwuletnim okresie. Różnica ta uczyniła pół trzecia korca na morderze. W pszenicy, wyprowadzona z doświadczeń z dziewiętnastu odmianami różnica plenności,

doszła do trzech korcy na morderze ¹⁾. Taki przyrost równał-by się podwojeniu czystego dochodu z ziarna. To znaczy, że, dzięki doświadczeniom Niemieckiego Towarzystwa, tyleż zyskać może pilny rolnik w porównaniu z niedbałym na zmianie nasion. Towarzystwo popiera usilnie produkcję, dobry wybór i należyte doczyszczanie ziarna, a chcąc zachęcić do produkcji nasion i rozciągnąć kontrolę nad ich czystością, zaprowadziło własne biuro, pośredniczące przy sprzedaży, z tem jeszcze w najnowszym czasie uzupełnieniem, że do producentów, zgłaszających się o sprzedaż nasienia, wysyła w czasie ziarnowania rzeczoznawców, dla sprawdzenia czystości nasion nie tylko po omłocie, ale i w kłosie.

Pod względem ochrony roślin. Urządziło w rozmaitych punktach Niemiec trzydzieści pięć biur, informujących o sposobach ochrony.

Pod względem sprzedaży. W czasie wystaw dokłada starań w tym kierunku i zawiązuje w tym celu delegacye, na przykład dla jęczmienia, chmielu, wina i t. p.

Przechodząc do inwentarzy, niepodobna podnieść dość wysoko tych usług, jakie Towarzystwo przyniosło pod względem zawiązywania i należytego prowadzenia stowarzyszeń hodowlanych. Liczba ich w czasie istnienia Towarzystwa wzrosła od 88 do 541. Aby je wprowadzić na tor należyty, Towarzystwo wzbrania dostępu na wystawę stowarzyszeniom, które, albo mają ustawę nieodpowiedną, albo odpowiedniej nie trzymają się ściśle, jeżeli to okazało się ze sprawdzenia. Dzięki tym stowarzyszeniom, drobny rolnik, będący hodowcą z powołania, ma możność korzystania z reproduktorów wyborowych. Dokładne pomiary zwierząt wystawowych i zdejmowane z nich podobizny, dają rolnikom podstawy do ścisłego poglądu na hodowlę. Towarzystwo słusznie przypisuje sobie zasługę, że dzięki jego wystawom, pozwalającym porównać naocznie hodowlę rozmaitych stajen, hodowla koni wierzchowych, kareciany i roboczych, krwi gorącej i zimnej, uczyniła w Niemczech ogromne postępy.

Co do żywienia inwentarzy. Towarzystwo prowadzi wyczerpujące badania. Utrzymuje własne biuro pośredniczące do kupna paszy. W biurze swoim budowlanem opracowuje wzorową konstrukcję obór i stajen, która już szerokie znalazła zastosowanie.

¹⁾ Odczyt d-ra Leśniowskiego, wygłoszony w dniu 18 stycznia 1900 roku w Seceji Rolnej T. P. R. P. i H.

Co do sprzedaży inwentarzy. Wystawy Towarzystwa są dla nich najkorzystniejszym rynkiem zbytu, również jak dla nabiału i wędlin. Dopomagają również producentom do rozejrzenia się w położeniu sprawozdania o handlu zagranicznym, przez rzeczoznawców przy poselstwach nadsyłane i przez Towarzystwo ogłaszane.

Co do rachunkowości rolnej Towarzystwo uważa, że do przekształceń gospodarstwa, niezbędnych wobec ogromnego postępu nauk przyrodniczych, komunikacji i przemysłu, rachunkowość dać powinna ściśle podstawy. Z tego powodu zaprowadziło ono u siebie biuro rachunkowe, które członkom Towarzystwa wielkie oddaje usługi.

Nadto, w celu rzucenia światła na organizację gospodarstw, Towarzystwo urządza wspólne wycieczki po rozmaitych okolicach Niemiec i obcych krajach. Wycieczki takie odbyły się już do Anglii, Belgii, Szwecyi, Węgier, Włoch północnych, nie mówiąc o Niemczech. Do zalet Towarzystwa policzyć należy, że nie zajmuje się ani polityką, ani wicherzeniem agrarnem. Na nieszczęście, nie jest ono wolnem od zasklepiania się w Niemczyźnie. Chlubiąc się samodzielnością, Towarzystwo to nie wchodzi w ramy ogólnej organizacji niemieckiej, w myśl której, na czele 3,500 drobnych towarzystw rolniczych (Vereine), zamiast znoszących się towarzystw centralnych każdej prowincyi, postawiono obecnie izby rolnicze (Landwirtschaftskammern), znajdujące się pod zwierzchnictwem rządu, do których należą delegowani towarzystw miejscowych. Zadanie to dla Niemiec całych spełnia Rada Rolnicza (Landwirtschaftsrat). Tym sposobem Towarzystwo Niemieckie znajduje już po części załatwionem zaszczytne zadanie przewodniczenia zjednoczeniom miejscowym, jakie spełniają tak chlubnie w Anglii i Francyi tamtejsze wielkie Towarzystwa Rolnicze. Nie przeszkadza to jednak, iż ofiaruje ono skwapliwie usługi swoje towarzystwom i stowarzyszeniom miejscowym, i obmyśliło wszystkie urządzenia swoje tak, aby z nich korzystać mogli drobni rolnicy ze stowarzyszeń. Nie z imienia więc, ale z rzeczy służy im za instytucję macierzystą.

W świecie rolniczym Niemiec jest ono wodzem uznanym.

Rozpatrując się w działalności Towarzystwa, streszcza się ona:

1. W wystawach wędrownych.
2. W doświadczeniach i próbach porównawczych.
3. W rozprawach i odczytach.
4. W badaniach naukowych i praktycznych.
5. W wydawnictwach.

6. W biurach, pośredniczących w handlu towarami, zapewniającymi postęp w rolnictwie.
7. W biurach doradczych, ułatwiających ten postęp.
8. W rozwoju stowarzyszeń hodowlanych.
9. W pieczy nad drobnym rolnikiem ze stowarzyszeń.

W każdym poruszeniu swoim Niemieckie Towarzystwo Rolnicze składa dowody ogromnej żywotności. Jest ono, rzecz można, jasną pochodnią, za którą krocząc, rolnictwo niemieckie wdiera się na coraz wyższe szczeble i coraz szersze w zakres udoskonalenia zagarnia kręgi. Odpowiada ono zatem swemu zadaniu, albowiem w pochodzie postępu rolniczego dzierżaw niemieckich zajmuje przodujące miejsce.

IV.

Królewsko - Duńskie Towarzystwo Rolnicze.

(*Det kgl. Landhusholdningselskab*) ¹⁾.

Założone zostało w roku 1769 z celem podźwignięcia dobrobytu rolników duńskich. Członkowie jego, których liczy się 800, płacą rocznie po 20 koron (około 10 rubli), i zbierają się na posiedzenia doroczne na jesieni, na żądanie zaś $\frac{1}{4}$ części członków, prezesa, lub rady, mogą być zwołani na posiedzenie nadzwyczajne każdego czasu. Na czele Towarzystwa stoi trzech prezesów, należących do rady, złożonej nadto z sekretarza, skarbnika, oraz 36-ciu członków, których połowę wybiera Towarzystwo na ogólnem zebraniu, drugą zaś połowę Towarzystwa prowincjonalne.

Urzędowanie prezesów i członków rady jest trzyletnie. Rada zawiaduje sprawami bieżącymi, na zasadzie wskazówek, udzielanych jej przez ogólne zebranie.

¹⁾ Wiadomości o Towarzystwie tem powziąłem z dzieła p. Kriukowa: „Dania“, delegowanego tamże z ramienia ministerium rolnictwa.

Obrót roczny Towarzystwa 286,000 rubli. Kapitał zakładowy 217,840 rubli, rezerwowy 7,800 rubli. Dla sprawdzenia funduszków wybiera się komisję rewizyjną. Towarzystwo załatwia sprawy następujące:

1. Wobec państw zagranicznych reprezentuje interesy duńskiego rolnictwa, zbiera wiadomości o korporacjach zagranicznych, mających związek z rolnictwem, zwłaszcza zaś o działaniach ministerjów rolnictwa, i z wiadomości tych układa sprawozdania roczne.

2. Stale dopomaga w czynnościach duńskiemu ministeryum rolnictwa, zwłaszcza w rozciągnięciu dozoru i opieki nad specjalistami rządowymi (staatskonsulenter), ustanawianymi dla technicznej porady rolnikom w sprawach hodowli, kultury, melioracyi i przemysłu rolnego. Towarzystwo urządza coroczne zjazdy tych specjalistów, a nadto zajmuje się przysposobieniem techników do gospodarstwa nabiałowego, oraz wydoskonaleniem majstrów na potrzeby rolnictwa. W ostatnich czasach zajęło się ono kształceniem specjalistów do szlachtowania nierogacizny.

3. Prowadzi próby maszyn i narzędzi rolniczych, otrzymując na ten przedmiot 2,600 rubli zapomogi rządowej.

4. W ogólnych zgromadzeniach i radzie rozważa nastęrczające się w rolnictwie pytania i obmyśla środki, do postępu rolnictwa krajowego prowadzić mogące.

5. Ogłasza sprawozdania, rozprawy i prace, dotyczące rolnictwa. Wydaje dziennik.

6. Prowadzi doświadczenia laboratoryjne i gruntowe w zakresie chemii rolniczej, a w szczególności zajmuje się badaniem słodu i pszenicy.

7. Rozciąga pieczę nad wprowadzeniem nowych metod w gospodarstwie nabiałowem, w hodowli i żywieniu inwentarza.

8. Zajmuje się kształceniem oficyalistów wiejskich, dzieląc ich na trzy kategorye: 1) do większych gospodarstw, 2) do mniejszych, 3) do hodowli i żywienia inwentarza.

Wysyła młodzież, pragnącą oddać się tym zajęciom, do majątków, w których ma ona obowiązek wykonywać bezpłatnie wszelkie roboty, co rok w innym majątku. Właściciel udziela praktykantowi mieszkania, Towarzystwo zaś daje mu na pożywienie w pierwszym roku 62, w drugim 78, w trzecim 94 ruble. Praktykant ze swej strony obowiązany jest prowadzić dziennik zajęć i przedstawiać go Towa-

rzystwu corocznie, a po upływie trzech lat otrzymać atestat. Dla kategorii małych gospodarstw wystarcza praktyka dwuletnia.

W roku 1896 w 54 majątkach było praktykantów gospodarczych 135, hodowlanych zaś 15.

9. Czyni zabiegi około podniesienia pośród rolników wykształcenia zawodowego, przeznaczywszy na ten przedmiot w roku jubileuszowym kapitał 11,440 rubli, którym zawiaduje komitet, z pięciu osób złożony.

10. Poczytuje sobie za jeden z najglówniejszych obowiązków udzielanie zachęty drobnym fermerom. W tym celu wydaje nagrody w przedmiotach i listach pochwalnych, lecz nie inaczej, jak na przedstawienie miejscowych Towarzystw rolniczych.

11. Troszczy się o rozwój gospodarczy północnych dziedzin Danii, to jest wysp Feroerskich, Islandyi i Grenlandyi.

12. Kontroluje zboża, znajdujące się na składzie w elewatorze i na śpichrzach wolnego portu w Kopenhadze.

13. Co lat pięć urządza zjazd (kongres generalny) rolników duńskich.

14. Co najważniejsza, jest ono wobec władz rządowych orędownikiem kólek, zjednoczeń i drobnych stowarzyszeń rolniczych Danii, wyjednywając dla nich przywileje i zasiłki, dzięki nietylko powadze stuletnich swoich zasług, ale też zwłaszcza doskonałemu zrozumieniu potrzeb krajowych, umiejętności ich przedstawienia, i gorącej chęci służenia rodzinnemu rolnictwu, co sobie liczy za właściwe zadanie.

W Danii uważa się za pewnik, że sprawa, którą bierze w ręce Królewsko-Duńskie Towarzystwo, nigdy nie bywa akademicką, lecz zawsze żywotną i pilną. Skutkiem takiego stanowiska, wszystkie duńskie drobne stowarzyszenia i kółka uważają Towarzystwo to za instytucję macierzystą.

Dowodem wysokiego uznania, jakim cieszy się ono u swoich, są rozmaite legaty, zapisane mu już to do rozporządzenia, już do użycia według uznania.

V.

K o n k l u z y e .

Skreśliwszy treściwą monografię czterech najznamienitszych Towarzystw Rolniczych, pozostaje mi jeszcze dodać słów kilka, dla wydobycia na jaw ich cech znamiennych.

1. Jedno z tych Towarzystw (Duńskie) spełnia bardzo wiele czynności, które w innych państwach powierzają się Władzom rządowym. Jest to, rzecz można, swego rodzaju ministerjum rolnictwa, wolne od biurokracyi, a natomiast bogate w stuletnie doświadczenie, świetną tradycyę i zastęp ludzi, gorąco miłujących krajowe rolnictwo. Niezawodnie takie sięgnięcie w głąb życia narodowego, opieka nad drobnym rolnikiem, kształcenie oficyalistów, majstrów i niższych techników na użytek ziemiaństwa, jak to czyni Duńskie Towarzystwo, jest budowaniem rolnictwa od fundamentów. Zasługuje kierunek ten na uwagę jak największą i za wzór służyć może, gdyż doświadczenie nauczyło niejednego, że największe usiłowania chybiały jedynie dla braku dobrego dozorca, pastucha, lub owczarza.

Z drugiej strony, usługi, jakie oddaje Duńskie Towarzystwo małemu rolnikowi, są zadatkiem wzajemnego zaufania, nadającym szczególniejszą siłę całej więzi duńskiego rolnictwa, idącego ławą naprzód, jak dobrze prowadzona armia. Do zasług Duńskiego Towarzystwa policzyć też należy perjodyczne zwoływanie zjazdów rolniczych.

II. Jedno Towarzystwo (Niemieckie) wzięło w ręce własne pośrednictwo w dostawie nawozów, nasion i paszy. Pomiędzy odbiorcami składów Towarzystwa znajdują się znacznej liczbie drobni rolnicy ze stowarzyszeń. Też samą usługę oddało stowarzyszeniom we Francyi tamtejsze Towarzystwo Rolnicze na innej drodze, zakładając Syndykat Centralny w Paryżu, zaopatrujący w towary syndykaty prowincjonalne, i pozostający za pośrednictwem delegacyi Towarzystwa w ciągłej z niem styczności. Dla kontroli towarów, stanowiącej

jedno z głównych zadań Syndykatu Centralnego, korzysta on z bogatego i znakomicie prowadzonego laboratorium Towarzystwa, u którego w każdej sprawie znajduje skwapliwą pomoc i życzliwą radę. Ale to jest dopiero jedna strona działalności, gdyż względem członków swoich Towarzystwo Rolnicze Niemieckie w odróżnieniu od Towarzystwa Francuskiego i innych, spełnia wszystkie najgłówniejsze zadania stowarzyszenia, przedstawiając typ zupełnie nowy, łączący w sobie cechy znamienne tak dobrze Towarzystwa, jak i syndykatu, co jest dziełem ducha nowszych czasów, kojarzących coraz ściślej pomiędzy rolnikami zjednoczenia i związku. Prócz tego uwydatnić należy i tę jeszcze okoliczność, że stowarzyszenia i syndykaty rekrutują się zwykle z drobnych rolników, wielcy zaś właściciele załatwiają zwykle swoje potrzeby sami. Tymczasem Towarzystwo Rolnicze Niemieckie jest zjednoczeniem przeważnie wielkich właścicieli a obok tego najświetlejszych rolników. Spełnia ono dla nich czynności pośrednika handlowego, nie wkładając w to kapitału, gdyż ten zastępują mu w zupełności jego zasługi, jego wpływ i znaczenie. Do każdego przedsięwzięcia, chociażby najtrudniejszego, znajduje ono w gronie swoich członków siły, zupełnie wystarczające, teoretyczne i praktyczne, może więc do przedsięwzięć tych przystępować bez obawy. Do tego należy dodać jeszcze, że pośrednictwo Towarzystwa w dostawie nasion i paszy dopomaga jego członkom do sprzedaży tych produktów. Myśli zatem przewodnie Towarzystwa i całą jego organizację uważać należy za bardzo trafne.

III. Dwa Towarzystwa (Angielskie i Niemieckie) oparły swoją działalność na wystawach wędrownych. Pierwsze celuje wysoką umiejętnością odbywania prób i ekspertyz; drugie korzysta ze sposobności wystaw, aby szerzyć usilnie pośród członków w sposób jak najprzystępniejszy naukę rolniczą. Jedno i drugie posiada umiejętność szczepienia wiedzy metodą poglądową i uogólniania swoich zdobyczy dla warstw szerokich. W Danii też samą zupełnie usługę oddają Towarzystwa rolnicze prowincjonalne. We Francyi rząd wziął pieczę nad konkursami.

IV. Dwa Towarzystwa (Francuskie i Duńskie) wzięły sobie za zadanie obronę wobec rządu interesów rolnictwa. Pierwsze czyni to, wyjednywając prawa, które za pożyteczne dla ogółu rolniczego poczytuje, drugie oddaje skromniejsze na pozór usługi, wyjednywając dla drobnych stowarzyszeń koncesye, zasiłki i ulgi. Oba te Towarzystwa przyczyniają się do rozwinięcia w świecie rolniczym poczucia solidarności i braterskiego związku pomiędzy przedstawicielami

większej i malej własności. Są to zadania doniosłości niezmiernej, dające tym Towarzystwom tytuł do chluby.

V. Dwa Towarzystwa (Francuskie i Duńskie) niemniej do pewnego stopnia i Niemieckie, postawiły w liczbie pierwszorzędných zadań swoich zakładanie drobnych stowarzyszeń rolniczych i rozciągnięcie czujnej nad nimi opieki. Dążenie to i Angielskiemu Towarzystwu nie jest obce. Chcąc zatem poznać, skąd wzięła się siła, świadomość i rozpęd stowarzyszeń rolniczych, trzeba sięgnąć do wielkich Towarzystw, poznać ich prace i ofiarność dla sprawy publicznej, a wtedy stanie nam przed oczyma całokształt sprawy rolniczej, nawskroś przeniknięty poczuciem solidarności zawodowej.

VI. Trzy Towarzystwa (Angielskie, Niemieckie i Duńskie), a po części i czwarte (Francuskie), załatwiają sprawy nie bezpośrednio przez ogólne zebranie, lecz przez wybranych przez nie przedstawicieli. Skoro organizacya ta przetrwała próbę lat długich, zasługuje więc na zastanowienie. Sprawowanie rządów za pośrednictwem przedstawicieli zapobiega częstym zmianom kierunku, jakie przy zmiennym komplecie ogólnych zebrań bardzo są możliwe, zwłaszcza w Towarzystwach, liczących członków na tysiące, i zapobiega też chwilowym uniesieniom, objawiającym się częstokroć w tłumnych zebraniach. Z drugiej strony, godną największych pochwał jest dążność do zajęcia jak największej liczby członków sprawami Towarzystwa, obok zaprowadzenia tak krótkich terminów odnawiania wyboru, aby ani w zarządzie, ani w delegacyach, nie mógł zasiedzieć się nikt nieużyteczny.

VII. Wszystkie cztery opisane powyżej Towarzystwa odznaczają się żywotnością, wszystkie odpychają szablon i rutynę, nie wojują *czczem słowem*, tylko *czynem*. Każde z nich utorowało sobie drogę własną, którą kroczy, nie zbaczając na strony. Wszystkie uznane są pośród swoich za przodujące krajowemu rolnictwu, i wszystkie spełniają to zadanie z nieporównanym blaskiem. We wszystkich przebiega uduchowienie celów, jakie założyć sobie może grono ludzi, zmierzających do podźwignięcia i uszlachetnienia swego zawodu, i uważających korzyść materyalną za wynik niezawodny umiejętności, pilności i zamiłowania swego powołania.

VIII. Pomijając wiele innych podobieństw i różnic, uwydatnić trzeba jeszcze, że wszystkie cztery te Towarzystwa odznaczają się gruntowną znajomością stosunków krajowych, sumienną a bezinteresowną pracą swoich członków i głębokiem ich poczuciem

obowiązku. Ku chlubie naszego kraju rzecz można, że i nasze Towarzystwo przez krótki czas swego istnienia tych wszystkich cnót najszlachetniejszych złożyło dowody. Niepożyte świadectwo tego spoczywa w rocznikach Towarzystwa Rolniczego, i dobrze się zasłuży krajowi ten, kto je podejmie z pyłu zapomnienia i prace poprzedników naszych w umysłach rodaków odświeży.

J. JEZIORAŃSKI.

Rok jubileuszowy

W RZYMIE.

W Kościele Piotrowym, wobec tysięcznych tłumów, Ojciec święty zamknął w uroczystym nabożeństwie drzwi Jubileuszu. Leon XIII wyszedł ze swych apartamentów do sali Klementyjskiej, gdzie „buffollanti“ czekali z lektyką, aby Go z wolna znieść przez schody Konstantyna. Na dole Papież siadł do „sedia gestatoria“, i poprzedzony przez swój dwór, udał się ku Drzwiom świętym. Twarz promieniała mu pogodą niezmierną, a siły, cudowne prawdziwie w tym 90-letnim Starcu, zdawały się, pomimo trosk, pomimo nieustannej pracy w tym roku, pełnym trudów, niewyczerpanie służyć Namiestnikowi Chrystusa. W rękę trzymał świecę płonąca i białym oplecioną jedwabiem, i tak, zatopiony cały w modlitwie, przebył próg świętych Drzwi i wstąpił do wielkiej Bazyliki wśród śpiewów chóru Sykstyńskiej kaplicy i okrzyków powitalnych ludu. Tu, przed grobowcem Apostołów, upadł na kolana, i uczyniła się cisza wielka, a Starzec Święty dłonie złożył w prośbie, białe czoło pochylił na nie i pozostawał tak chwilę

dlugą, myślą przed Tronem Bożym opieki nad Chrześcijaństwem wzywając. Od grobu udał się następnie do kaplicy Najświętszego Sakramentu, gdzie również zatrzymał się na modlitwie. Teraz, w otoczeniu kardynałów i prałatów, szedł do Portyku, by Drzwi Jubileuszowe zamknąć na nowy okres czasu. Ostatni z orszaku przebył je, sam, krokiem pewnym, niepodtrzymywany, i siadł na krześle złożonem. Wówczas przyniesiono mu wapno i cegły, które błogosławił, poczem wziął złotą łopatkę, nabrał wapna i trzy razy rzucił je na próg, mówiąc te słowa: „Przez wiarę i cnoty Pana Naszego Jezusa Chrystusa“ (tu wapnem obrzuca środek progu) — „który rzekł do księcia Apostołów: Ty jesteś opoką“ (rzuca na prawo), „a na tej opoce zbuduję Kościół mój“ — i ostatnim rzutem lewą stroną poświęca. Poczem na miejscach tych złożył i umocnił trzy cegły złożone i silnym głosem obwieścił: „Zakładamy ten pierwszy kamień, by zamknąć święte podwoje, które dopiero w roku Jubileuszu roztworzyć wolno. W Imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego. Amen“. W ten sposób dopełnił Ojciec święty u schyłku stulecia zamknięcia Jubileuszowego roku, a śpiewacy Sykstyńskiej kaplicy wzniesli pieśń, która wypełniła wysokie sklepienie: „Coelestis urbs Jerusalem“...

Teraz, gdy drzwi Roku świętego zamknięto na ćwierć stulecia (ogłaszając przecie, że przez sześć miesięcy odpust jubileuszowy dla wiernych mocy nie traci), trzeba nam i wypada rzucić okiem na rok ów cały, i spojrzeć na przebieg i na rozwój tych dni, tak ważnych dla katolickiego świata.

Jubileusz roku 1900 obwieścił Ojciec święty uroczystie w dniu 11 maja 1899 roku — dniu Wniebowstąpienia. Pierwszy to rok święty, jaki Chrystusów Namiestnik ogłasza od czasu, gdy Go pozbawiono władzy świeckiej. Trzydzieści lat przeszło od chwili, gdy Rzym odebrano Stolicy Apostolskiej, a wiadomo wszystkim, że w roku 1875 Pius IX nie otworzył Drzwi świętych. Stąd jubileusz zeszłoroczny więcej ma znaczenia i wagi od poprzedzających. Dziewiętnaście jubileuszów go poprzedziło, — gdyż od sześciu wieków zwyczaj ten Kościół obchodzi, — żaden się w takich nie odbył warunkach. W pismach kardynała Wisemana („Lectures on the catholic doctrine“) czytamy piękny opis Roku świętego 1825, za Leona XII, roku, który jeszcze Leon XIII pamięta wybornie. Gdy opis ten porównamy do dni niedawno ubiegłych, widzimy różnicę wyraźną w zewnętrznych formach nabożeństwa. Wówczas ulice Rzymu roiły się od pielgrzymiego ludu, a procesye, kazania i modlitwy odbywano często w mieście poza murami kościołów. Teatra i inne miejsca zabaw zamknięte, widowiska wszelakie zakazane, miasto wypełnione pątnikami — oto, co uderzało przybywających do Rzymu przed laty 75-ciu. Papież sam

dawał przykład, obchodząc Bazylikę pieszo, a za tym przykładem szli wierni, poczynając od rodzin panujących, że wspomniemy królową Maryę Teresę, wdowę Wiktora Emanuela I Sabaudzkiego, i córki jej: Maryannę i Maryę Krystynę, które bosą, z różańcami w rękę, zwiędziły kościoły jubileuszowe.

Dziś tej zewnętrznej cechy nabożeństw o charakterze popularnym brakło zapewne i pielgrzymek z rozwiniętymi chorągwiami na placach wielkiego miasta, i mnichów, każących na tych placach, otoczonych wieńcami ludu, a Ojciec święty nie mógł wyjść za próg świętego Piotra, a przecież czuć było przez rok ubiegły, że w Rzymie jednoczą się duchem wierni, i że miasto nie wygląda jedynie na stolicę królestwa włoskiego. Pielgrzymek napłynęło więcej, niż przypuszczać mogli ci, którzy nie fantazyjne, ale prawdopodobne czynili rachunki. Nie zebrano dotychczas wszystkich danych co do liczby pielgrzymów, i trudno będzie dokładnie oznaczyć, ilu było takich, którzy przybyli nie w grupach, ale osobno. Znany przecież ilość zgrupowanych pielgrzymek. Od Tygodnia Wielkanocnego aż do końca maja przybyło do Rzymu przeszło dwieście tysięcy; dodajmy liczne kompanie z Włoch północnych w lutym i marcu, francuskie, a wreszcie te, które w ostatnich trzech miesiącach roku napływały, a nie będziemy daleko od prawdy, twierdząc, że liczba pielgrzymów wszystkich dosięga miliona. Z tą cyfrą zgadzają się najlepiej poinformowani i dzienniki najpoważniejsze włoskie. Nie jest to, co prawda, ilość, równa owym tłumom, o jakich mówią dawni kronikarze. Za Bonifacego VIII przeszło dwa miliony wiernych dążyło do Rzymu, za Klemensa VIII w 1600 roku było ich osiem milionów! Jednakże w dzisiejszych czasach, pełnych walki o chleb i w gorączce pieniądza żyjących, ów milion ludzi, wiarą żywych, przybyłych na wezwanie Ojca świętego ad Limina Apostolorum, ludzi, wśród których i możni, i maluczy przyszedli tem samym uczuciem poniesieni, daje świadectwo o niewygasłej myśli religijnej. A nadto daje przedewszystkiem świadectwo o przywiązaniu i poszanowaniu wielkiem dla Starca, który rządzi Nawą Piotrową. Tem bowiem wyróżniał się nad inne rok mionego Jubileuszu, że pielgrzymi wszyscy nieśli swe serca Pasterzowi, i śpieszyli ku Niemu, jakby ten Jubileusz był jego własnem Świętem, radością dni żywota, pełnego zasług, pomnikiem i pamiątką Leona XIII. I był tą radością zaprawdę, gdy do sędziwego Papieża śpieszyły tłumy i witaly Go, ile razy pojawił się w kościele świętego Piotra, okrzykami niemilkącemi, entuzjazmem nie do opisania. Był w tem, jak się wyraża autor doskonale napisanego artykułu w „Civiltà Cattolica“, jakby plebiscyt sere dla Namiestnika Chrystusowego (Il Plebiscito romano dell' Anno santo. 6 ottobre. Civiltà Cattolica).

Kto nie był na takim przyjęciu u św. Piotra, nie może sobie wystawić obrazu, ani odczuć nastroju. Ojciec święty na swej sedia gestatoria unosił się nad tłumami, niby duchowe a nie cielesne już zjawisko, i zdawać się mogło, że ten gest błogosławiącej dłoni gdzieś z nieziemskiej krainy pochodzi, że widzimy w tym Starcu uśmiechniętym, białym, jakieś ciało nie z tego świata. A w kościele szumiały fale, huczały głosy powitania i szły wśród olbrzymiej nawy, jak burza około tego cichego i świętej myśli pełnego Starca. Może najpiękniejszym było przyjęcie w Bazylice Watykańskiej młodzieży uniwersyteckiej, zebranej w Rzymie na kongres katolicki w dniu 6 września.

Za wstawieniem się kardynała Parocchiego, studenci dostali się do kaplicy Najświętszego Sakramentu, gdzie zwykle, gdy Papież schodził do kościoła, nikt z pielgrzymów nie mógł się znajdować. Tu przyjęły Ojca świętego korpóracje i związki różne w barwnych strojach, otoczyły go i tak skupione koło sedia gestatoria prowadziły z okrzykami ku ołtarzowi głównemu.

Z polskich ziem cztery przybyły pielgrzymki. Pierwsza stanęła w mieście wiecznym 6 marca, równocześnie zaś z nią katolicy niemieccy z Wrocławskiej diecezji. i Papież przyjął je razem 9 marca w sali Beatyfikacyi. Było ich razem 450 osób. Wielka pielgrzymka galicyjska liczyła 8,057 uczestników, a przewodniczył jej biskup Puzyna i biskup Pelczar. Ci byli w Rzymie 5 maja. Wkrótce po nich stanęli Poznańczycy, w liczbie 340, pod przewodnictwem ks. monsig. Surzyńskiego. Wreszcie z ojcem Stefanem Porowskim, Franciszkaninem, przybyło 500 pielgrzymów galicyjskich w połowie września. Ze znanych rodzin z nazwiskami historycznymi było sporo przez ciąg roku jubileuszowego w kościele świętego Piotra, nie zebranych co prawda w liczniejsze grona, jak to uczynili Węgrzy, Austriacy, Niemcy lub Francuzi, którzy przybywali nieraz w kilkadziesiąt osób i wspólne mieszkali u Ojca świętego audyencye. Jednakże, razem wzięwszy, polskich rodzin było niemało, i nie jeden z przybyłych pielgrzymów miał szczęście widzieć Starca, rządzącego Kościołem, i usłyszeć z ust Jego słowa miłości i dobroci.

Wrażenie na obcych i na Rzymianach zrobiła pobożność serdeczna włóścian galicyjskich, a również malowniczość tej pielgrzymki, gdzie pełno było po kościołach stolicy chust krasnych, zapasek, guń, sukman białych i wyszywanych, a płowe włosy pochylnych głów kornych dotykały marmuru posadzek.

Pamiętam, było to ósmego maja; wczesnym rankiem udałem się do Bazyliki Liberyjskiej St. Maria Maggiore, na wzgórze Akwilińskie. Nawa kościelna, a zwłaszcza kaplica Najświętszego Sakramentu, przepełnioną była, wszędzie uderzały wzrok stroje ludowe. A lud

ten modlił się i płakał, i modlił się znów z całym oddaniem się, prawie że z namiętnością nietkniętej jeszcze wiary. Gdy wychodził, kilku Rzymian zbliżyło się do mnie i zapytało, co to za pielgrzymi? — Polacy, — odrzekłem. — Polacy? Jakżeż silną, żywą wiarę mają i jak się modlą, — mówiono mi, — toż zda się, że duszę wypłaczą.

Wśród Polaków, którzy przybywali do Rzymu, był hr. Józef Ledochowski, ów oficer, któremu stopień wojskowy odjęto nie za to, że się bić nie chciał, ale za to, że radził koledze, margrabiemu Tacoli, by nie przyjmował pojedynku. Czyn Ledochowskiego, w zgodzie z przekonaniem z punktu widzenia moralnego, jedynie na pochwałę zasługiwał; wojskowe przepisy nie mogły go żadną miarą karać, jedynie, gdyby był sam sprzeciwiał się regulaminom, pojąć-by można i usprawiedliwić jakąś naganę; naraził się młody oficer dlatego tylko, że tradycję pojedynkową naruszył w inną zasadę wznioślejszej. Przyjęcie w audyencji przez Ojca świętego i dobrotliwe słowa, jakie usłyszał, były mu zasłużonem zadosyćuczynieniem.

Już w bulli, obwieszczającej Jubileusz, pochwalił Papież myśl Komitetu międzynarodowego dla uczczenia Odkupiciela świata, myśl uświęcenia początku stulecia pamiątką widomą. W nocy ostatniej 1899 jak i 1900 roku zezwolił na odprawienie osobnych nabożeństw o północy z wystawieniem Najświętszego Sakramentu. W tym ostatnim dniu roku dał Rzym przykład wielkiej pobożności. Ulice miasta od jedenastej w nocy do czwartej zrana przedstawiały niezwykły widok. Mnóstwo osób dążyło na nabożeństwo, a podczas gdy Rzymianie w zapełnionych kościołach i bazylikach modlili się przy zamknięciu stulecia, Pasterz ich ofiarował Mszę świętą w swej prywatnej kaplicy za spokój i pomyślność Kościoła.

Lecz myśl Komitetu „*del Christo Redemptore*“ szła ku upamiętnieniu trwałem dziełem tej wzniosłej godziny. Postanowiono w całych Włoszech wzniesić na wysokich szczytach gór krzyże, jako znaki opiekuńcze i przypominające, że Chrystus we Włoszech panować winien przez wiarę, w uczynki obfitującą, a chronić mocą krzyża. Pod znakiem tym Włosi, jak i wszelki naród na świecie, zwyciężyć winni w boju ze złem i niewiarą.

Dziś, gdy to piszę, projekt Komitetu, na którego czele stoi hrabia Acquaderni, jest prawie czynem spełnionym. Wielka ilość pomników błyszczy już na szczytach Alp i Apeninów. Dla czytelników „Biblioteki Warszawskiej“ mniej ważnem wiedzieć, gdzie te pomniki postawiono, wspomnę tylko, że jest ich dwadzieścia, rozrzuconych po całym półwyspie i na wielkich wyspach, jak Sardynia, lub Sycylia, gdzie w październiku wzniesiono ogromny posąg Zbawiciela na górze San Giuliano, dawniej Eryx. Poświęcenie takiego posągu, lub krzyża

na wysokich wierzchołkach turni zwykle, niezmiernie pięknym i poważnym było aktem. Przykładem niechaj będzie uroczystość poświęcenia pomnika na szczycie Mombarone (2,370 metrów), blisko Iwrei w Piemencie. W dniu 23 września od wpół do piątej zrana górale i pielgrzymi, którzy z latarkami przez całą noc wdrapywali się na górę, gromadzić się poczeli u stóp gotyckiej kaplicy, wysokiej na 16 metrów, o wieżycy osmiokątnej, w której stoi figura Chrystusa z brązu. Pięć tysięcy osób otoczyło pamiątkową kaplicę w malowniczych grupach na skałach, wśród głazów olbrzymich, poszczerbionej ciemnej turni. Podczas Mszy trzysta osób przyjęło Komunię świętą z rąk kapłana. Dzień był jasny nad ludźmi i górami, a niżej o pięćset metrów, pod stopami górali, nad równiną, rozciągała się srebrna mgła, jak okiem sięgnął, jakoby kobierzec srebrny, niezmierny. Wokoło szczytu skaliste i śnieżne dobywały się z tej białej, uśpionej fali. I widać było Mont Cenis, Roccia melone, Gran-Paradiso, a dalej Mont Blanc, Mont Cervin, Mont Rose, wspaniale w błękicie i świetle, i tłem będące ołtarzowi i świętej Ofierze. O pół do dziesiątej biskup Iwrejski, monsignor Filipello, odprawił solemne nabożeństwo, udzielił błogosławieństwa Najświętszym Sakramentem i zaśpiewał „Te Deum...” dziękczynne, a następnie hymnu do Odkupiciela. Uroczystość cała miała niezwykle wielki i wzruszający nastrój. Pomnik wygląda wspaniale, gdy się zejdzie o trzysta kilkanaście metrów niżej, na poziomie jeziora Mombarone, i zdaje się na krawędzi skały, jakby dziwnem, do legend podobnem, zjawiskiem.

Podczas jubileuszowego roku Kościół święcił uroczystość dwóch kanonizacyi i liczniejszych beatyfikacyi. Nowi Święci, których cześć głoszone publicznie, są: święty Jan Baptysta de Lasalle (1661—1719) i święta Ryta de Cascia (1381—1457). Papież przy asyście około 300 kardynałów, patriarchów, arcybiskupów i biskupów, w dniu 24 maja, w Bazylice Watykańskiej dopełnił tej ceremonii solennej. Francuz Lasalle, to ów wielki wychowawca młodzieży chrześcijańskiej i twórca szkół elementarnych Braci Szkolnych (Frères des Écoles Chrétiennes), których obecnie Kongregacya liczy 15 tysięcy, nauczających przeszło 300 tysięcy dzieci.—Święta Ryta pochodzi z Umbryi. Nazywają ją „I a Santa del Impossibile” dla licznych cudów, któremi zasłynęła w swej ojczyźnie. Legenda piękna mówi, że pod jej oknami w zimie szkarłatna róża wyrosła.

Z beatyfikacyi, których 83 wyznawców i zakonników dostąpiło, najważniejszą była z dnia 27 maja. Siedemdziesięciu siedmiu bohaterkich misyonarzy krew przelali za wiarę w Chinach i Annamie. Są nam ci bohaterzy bliżcy czasem, gdyż zginęli między 1814 a 1856 rokiem, dwóch ich jedynie w 1798, i bliżcy są braci, niosącej nowy

posiew prawdy, tych, którzy poginęli w okrutny sposób w ciągu ubiegłego roku od żelaza, i gorszych od żelaza, mąk chińskich Bokserów.

Kościół Dominikański Sta Maria Sopra Minerva tysiącem świec, jarzących przez trzy dni, głosił chwałę sług Pańskich. A przed ołtarzem, gdzie ustawiono obrazy Błogosławionych, klęczeli i stali rzędem misyjonarze, z różnych zakonów, nowe zastępy, nowi rekruci męczeństwa, gotowi na głos starszych iść na światą krańce. I było niezmiernie dla patrzącego wrażenie widzieć stojących i wiedzieć, że są gotowi.

Następnie w poczet Błogosławionych zaliczono Maryę Magdalenę Martinengo, z hr. Barco (1687 — 1737), Piotra Berthelot, Francuza (1600—1638) i brata Redento de la Croce czyli Thomasza Rodrigueza da Cunha, Portugalczyka (1598 — 1638).

Upały letnie przerwały ceremonie Kościoła. W jesieni rozpoczęto je na nowo. W niedzielę 23 września ogłoszono beatyfikację Joanny de Lestournac (1556—1640), w następną niedzielę Antoniego Grani, oratoryanina, następnie 7 października siostry Maryi Cruancyi Höss, franciszkanki rodem z Bawaryi (1682 — 1744). Pierwszy to raz przy takich uroczystościach użyto w kościele świętego Piotra oświetlenia elektrycznego w tysiącach lamp, które tworzyły wieńce, korony i łuki, a płonąc jasnym, niebieskawym światłem, czarodziejские dawały efekta.

Wielkie tłumy, dochodzące do 40,000 ludzi, zapelniały w tych dniach ogromny kościół i wyrażały Ojcu świętemu z głębi serc przywiązanych cześć i umiłowanie, a On, niezmeńczony, niesłychany, ku wiernym śpieszyć nie ustawał.

Nietylko poświęcenie końca stulecia Zbawicielowi, uroczystości kanonizacyi i sześciu beatyfikacyi znaczyły wydarzenia ważne roku jubileuszowego. Godzi się wspomnieć również o kongresach katolickich w Rzymie. Cztery odbyły się w ciągu roku, a prócz jednego, wspólną posiadają cechę międzynarodowej, katolickiej działalności. Najważniejszym był kongres archeologii chrześcijańskiej, w sali seminarjum pontyfikalnego Ś. Apolinarego w czasie wakacyi wielkanocnych, t. j. od 15 do 25 kwietnia. Pierwszy podobny kongres lat temu sześć zebrał się był w Spalato w Dalmacyi. Uczeni zdecydowali urządzić następny w roku 1899 w Rawennie, lecz gdy różne wystąpiły trudności, zgodzono się na to, by przenieść datę na rok 1900. Na prezydenta honorowego komitetu organizacyjnego wybrano J. Eminencyę ks. kardynała Parocchi, na prezydenta rzeczywistego księdza Ludwika Duchesne. Najznakomitsi archeologowie ze wszystkich krajów, bawiący stale w Rzymie, stanęli w tem zebraniu, jako to: O. Grisar, profesorowie Gatti i Marucchi, baron Kanzler etc. Komitet ten zjednał

sobie współdział archeologów wielu zagranicznych, że wspomniemy ks. pro'esorą, a obecnie arcybiskupa, Bilczewskiego ze Lwowa, profesora Czobora z Budapesztu, Ehrharda i Swobody z Wiednia, Strzygowskiego z Gracu, Eugeniusza Müntza z Instytutu francuskiego, Müllera z Berlina, Ignacego Guidiego z Rzymu i wielu innych, których-byśmy wymienili chętnie, gdyby miejsca stało. Dokładnych wiadomości o kongresie tym zacerpnąć można z akt, które niebawem wyjść mają w druku. Tu wspomnieć pragnę jeszcze o wizycie uczonych członków kongresu do katakumb świętej Domicylli, wiernie opisanej w „Civiltà Cattolica“ przez jednego z członków, O. Angelo di Santi: „We wtorek rano 24 kwietnia, zebrani udali się do Bazyliki i na cmentarz świętej Domicylli. Heż poezyi w tym kościele starym! Na murach wieńce z mirtów i kwiatów, kolumny oplecione girlandami mirtowemi i tryumf świeżych kwiatów u kapiteli, i tyle tej zieleni ukwieconej na murach czcigodnych, na kamieniach napisami starymi poważnych, ciepłych prawie od pocałunków, jakie pierwsi chrześciance na nich złożyli“...

W środku absydy kazalnica na dawnym swem miejscu—schola cantorum w pośrodku szczątków dawnej. Tu schodzą seminarzyści rzymscy za celebransem—wschodni przechodzą w swych wspaniałych szatach barwnych—wrzeszcze Mons. Satolli w otoczeniu duchownych. „Scholae“ łacińska i grecka — pierwsza złożona z mnichów benedyktyńskich św. Anzelma i Augustyanów św. Moniki — druga z greckich wychowanków Collegium de Urbe, zajmują transepta oznaczone. Łacinnicy poczynają śpiewy Gregoryańskie, Grecy łączą się echem i śpiewają po nich Lekeye i Ewangelię. Po nabożeństwie Mons. Satolli zwrócił się do zebranych z przemową, przypominając, że z miejsca tego Grzegorz Wielki mówił o Męczennikach Nereuszu i Achilleuszu, tu pochowanych. Wszyscy z uczuciem pełnem poważania dla miejsca tak drogiego pamiątką pierwszej doby Chrześcijańskiej opuszczali katakumbę. Niemcy śpiewali swe pieśni—protestanci i katolicy jedno wynosili wrażenie“.

Inne kongresy w ciągu września niemniej ważne miały znaczenie —zwłaszcza zjazd międzynarodowy katolickiej młodzieży uniwersyteckiej i XVII ogólny wiec katolików włoskich. Ostatnim był kongres tercjarzy francuskich. Włoski wiec o tyle przyniósł owoce, że wzięto pod rozwagę postulata praktyczne i postawiono cały szereg wniosków użytecznych. Zebrani członkowie, a w imieniu ich hr. Karol Santucci, wystosowali telegram do ministeryum oświaty, domagając się prawa swobody w kształceniu dzieci. Hr. Santucci mówił o Włoszech i stolicy świętej i w jasnej przemowie wykazywał, że miłość kraju i uczucie wiary we Włoszech może iść w parze, byle-by

ustała nieszczęsna walka Kościoła z Państwem, wyniszczająca wszystkie siły żywotne półwyspu.

Młodzież katolicka obradowała nie długo na tym zjeździe, który się odbył między 1 a 5 września. Bano się, że to zebranie studenckie będzie dziecianną zabawą lub akademickim przedstawieniem, a jeszcze więcej bano się możliwych niewinnych wybryków. Trzeba jednak powiedzieć, że się rzecz zupełnie poważnie odbyła, a nie bez pożytku. Liczni reprezentanci uniwersytetów francuskich, belgijskich, hiszpańskich i niemieckich, z Austrii, jak i z Rzeszy, zebrali się w Seminarjum Rzymskiem, które na wszystkie owe zjazdy służyło za miejsce posiedzeń. Prezydenturę honorową dzierżył kard. Parocchi, — rzeczywistą Mons. Tovini; delegatami byli pp. Meyer Segnier, Poncelet, Gschladt, Darmstia, de Pomès. Ojciec święty przysłał obradującym Breve, w którym wyraża radość z programu — „aby ukrzepić wiarę, czystość obyczajów i wytrwałość w zamiarach“. — Zebranych było około 700 studentów, przedstawiających związki 12,000 młodzieży. Postanowiono założyć dziennik wspólnymi siłami dla studentów i utworzyć międzynarodowy komitet.

Tercyarze francuscy z różnych krajów zjechali się 22 września i zeszli w kościele św. Andrzeja della Valle. Zjazd ten więc odbył się o dzień wcześniej od socjalistycznego wiecu w Paryżu w sali Wagram. W przeciwieństwie do hałaśliwych i pełnych niezgody rozpraw paryskich, zebranie rzymskie, w którym uczestniczyło blisko 15,000 ludzi różnych języków, odbyło się w najwyższym ładzie i zgodzie — dając wyraz karnej sile, ugruntowanej na dobrej woli i pożytecznej myśli.

Poza temi zdarzeniami na polu pracy społecznej i naukowej wymienić nam trzeba czysto religijne, a rządów kościoła dotyczące czyny Ojca świętego. Naprzód więc Breve, wysłane w 22 stycznia do patriarchy Antyocheńskiego, Mons. Gerarigizego. Dostojnik ten stoi na czele Kościołów Antyochii, Aleksandryi, Jerozolimy i całego Wschodu w obrządku grecko-katolickim.

Zuana jest troskliwość Ojca św. o poddane władzy Jego wschodnie kościoły, to też z uczuciem radości dziękował patriarsze za dobre wiadomości, przysłane z Syrii, i rad był z powziętego przez Mons. Gerarigizego zamiaru zwołania synodu narodowego biskupów na Libanie.

Dokumentem pełnym wagi jest tu ogłoszenie Encykliki „de Christo Redemptore“, zwróconej do biskupów całego świata, a noszącej datę 1 listopada. Słowo Chrystusowego Namiestnika głosi naukę Kościoła wobec kierunków fałszywie zrozumianej wolności. Nie jest

to jedynie gorące wezwanie do pasterzy i ludu chrześcijańskiego, ale wskazanie drogi jasnej i rozumnej.

Dnia 4 marca, pamiątkę urodzin Ojca świętego, który 90 lat ukończył, obchodzono tego roku w sposób, jaki w dzisiejszej dobie, pełnej walki klas i rozterek społecznych, godnem było-by naśladować. Za inicjatywą kilku Towarzystw dobroczynnych dano dla 900 ubogich ucztę w sali Belvederu w Watykanie. Biedni ci siedzieli przy 26 stołach, obsługiwały im siostry miłosierdzia, oraz różni Rzymianie i Rzymianki z towarzystwa.

W ciągu ubiegłego roku założono w Rzymie nowe kolegium narodowe. Wiadomo, że kolegiów takich dla duchowych z różnych krajów jest kilkanaście w mieście Wiecznem, wśród innych polskie pod zarządem OO. Zmartwychwstańców.

Otóż Portugalia nie miała dotychczas swego, Leon XIII podczas swych rządów ożywił i na nowo ufundował kolegia hiszpańskie i czeskie, odłączył i odosobionem uczynił ruskie, dawniej z greckiem złączone. Teraz zaś stworzył portugalskie, mianując rektora, który wspólnie z portugalskimi biskupami decydować ma o dopuszczaniu kleryków. Z każdej diecezji krajowej i z kolonii wybrani, będą oni stanowić przedni szereg młodego duchowieństwa. Na razie po dwóch z diecezji stałego ładu wysłać mają biskupi. Do utworzenia kolegium w znacznej części przyczynił się ofiarnie p. Souza Robello Vahia, wice-hrabia de St. Juan de Pesqueira.

Zaznaczyć mi jeszcze wypada powstanie nowej instytucji dla obrony wiary. Tą jest „Towarzystwo zachowania wiary“ — a ma za cel obronę przeciw silnej agitacji protestanckiej, która, wspomagana przez zagraniczne — zwłaszcza amerykańskie — fundusze, w samym Rzymie pracuje przeciw usiłowaniom katolickim.

Nie mogę też pominąć poświęcenia nowego kościoła św. Anzelma przy benedyktyńskim kolegium na Awentynie. Tu muszę wspomnieć, że kolegium to z inicjatywy i dzięki poparciu Papieża zbudowano lat temu parę według planów ks. Hemptinne, prymasa (generała) zakonu. W 1896 ukończono gmach główny i można go było zamieszkać. Kościół zaś dopiero w zeszłym roku doprowadzono do końca. Poświęcenie tej świątyni po ceremoniach otwarcia i zamknięcia jubileuszowego roku, i po kanonizacyjnych uroczystościach, z pewnością najpiękniejszą było ceremonią w ciągu jesieni. Ojciec święty, który pragnął był sam tego poświęcenia dopełnić, gdyby mu na to pozwalały okoliczności, polecił uczynić to kardynałowi Rampolli mianując go legatem a latere ku temu celowi.

Akt uroczysty rozpoczęto o 8 z rana 11 listopada, a trwał aż do 2 po południu.

Przyniósł zatem rok miniony chwile radosne, myśli pocieszające i dużo miłości serc dla sędziwego Sternika Kościola, który pragnie pokoju i dobra dla wszystkich i jest tak prawdziwie, tak szczerze „mężem dobrej woli“, według słowa Bożego. Przyniósł jednakże i niejedno zmartwienie i przykrość niejedną.

Najboleśniejsem dla Leona XIII było oburzenie i sarkanie głośnie na komunikat św. Oficjum, tyczący się pobrzebu króla Humberta, a zwłaszcza modlitwy, którą ułożyła królowa Małgorzata. Prasa anty-religijna, a nawet znaczny odłam prasy umiarkowanej, podniosły protesty i skorzystały z tej okazji, by w słowach pełnych nieuszanowania wyrażać się o czcigodnej osobie Papieża. A przecież dokument ów wydrukowany w N. 190 (18 — 19 sierpnia) „Osservatore Romano“, nie miał nic wspólnego ani z polityką Watykanu, ani nawet wprost z J. Eminencyą kardynałem Rampollą. Był to dokument, przysłany do dziennika przez św. Oficjum, czysto kościelną instytucyę, której Ojciec św. jest prefektem, zajmującą się sprawami czysto rytualnemi.

Modlitwa przez kościół niezatwierdzona może na zebraniu prywatnem łączyć ludzi, może ich łączyć w sumieniach, ale w kościele, w nabożeństwie od ołtarza nikt jej narzucić nie może i kościołowi jedynie przystoi decydować w tej mierze. Jest to prostem i jasnym i nie potrzebuje tłumaczenia. W agitacyi, by modlitwę tę wprowadzić do nabożeństwa, wiele było złej woli, nie dziw tedy, że św. Oficjum postanowiło nie uleść przymusowi. Leon XIII sercem dzielił smutek nieszczęsnej wdowy królewskiej. Ohydne morderstwo, potępienia godny czyn, każdej uczciwej myśli wstrętny, podwójnie myśl Ojca św. zasmucił, gdyż mówił Mu o zdziczeniu i zepsuciu obyczajów we Włoszech. Oburzająca kampania dzienników zasmuciła Go najmniej, a widział śmiałość jej i bezkarność. Bo, gdy w Austrii dziennik tryesteński „Piccolo“ otrzymał naganę za przedruk artykułów pełnych jadu, dzienniki włoskie miały zupełną swobodę napadania na Starca.

Pocieszającym atoli było zachowanie się katolików włoskich. Na wielu zebraniach w różnych stronach kraju podniosły się głosy protestu. Dzienniki katolickie na wniosek biskupa, Józefa Consentego z Lucery (w Pugliach) otwarły dla tych protestów swe łamy, i napiętnowały bezczelność artykułu „Corriere di Napoli“, zatytułowanego „Leon XIII“, artykułu, w którym wszystko jest jedną wielką obelgą dla Głowy Kościoła.

Nie jedni tylko katolicy protestowali, ale w uczuciu tem łączyli się wszyscy uczciwie myślący we Włoszech.

I tak wiele zebrań wyraziło oburzenie przeciw napaściom li-chej prasy na Leona XIII. Rada miasta Condro na Sycylii wy-powiedziała swe zapatrywania w słowach rozumnych, które tu przy-taczamy.

„Zważywszy, że i artykuł Statutu uznaje religię katolicką, ja-ko państwową, że obelgi ciskane na Papieża przez prasę zaślepioną i agitacya rozwinięta gorączkowo przeciw Kościołowi sprzeciwiają się Statutowi temu, a również sumienie narodowe obrażają i mierzą ku temu, aby spokój we Włoszech naruszyć i walkę między Kościo-łem a Państwem rozpalic, zaczem szkodę przynieść społeczeństwu; Rada miejska postanawia, by głośno przeciw podobnym obelgom pro-testować, zarówno w poczuciu obywateli wiernych konstytucyi, jak katolików wiernych swym religijnym obowiązkom.“

Trzeba tu powiedzieć, że jeżeli rząd włoski prasie pozwolił na wszelkie wybryki, to starał się jednak pojednawczo działać i nie stwa-rzać nowych trudności. Pielgrzymi w Rzymie mieli zupełną swobo-dę, a ludność rzymska nie tylko nie spoglądała na nich nieprzyjaźnie, ale przeciwnie z wielką uprzejmością i tą „urbanitas“, jaka odznacza po dziś dzień Rzymianina. Co prawda, liczne rzesze przybywających z okazji Jubileuszu przynosiły mieszkańcom Wiecznego miasta za-robki i korzyści niemałe. Hotele, dorożkarze, kupcy, skarżyć się nie mogli, rok cały był dla nich żniwem obfitem.

Chrześcijański Rzym raz jeszcze więcej siłą przyciągającą i po-tokiem światła promieniał.

Ale i Rzym pogański, Rzym starożytny, niejedną ciekawą wabił nowością. Rząd włoski, przyznać mu trzeba tę zasługę, nie zaniedbuje rozpoczętych od dawnych czasów, za rządów Papieży, archeologicz-nych poszukiwań. Prace około odkrycia całego Forum Romanum, prowadzone pod światłym kierunkiem inżyniera, Jakóba Boniego, roz-ciekawily świat uczonych i znawców. W r. 1899 poszukiwania skiero-wano szczególnie na cztery punkta: stare Comitium, pomiędzy łukiem Septymiusza Severa, a kościołem św. Adryana, dalej miejsce Bazyliki Aémilia, między św. Adryanem a św. Wawrzyńcem, in Miranda w pałacu i domu Westalek, wreszcie wzdłuż Via Sacra od świątyni Faustyny aż do templum Veneris et Romae. Wszystkie dzienniki opisywały odkrycie kamienia czarnego, Niger lapis, to jest steli z na-pisami i innych pamiątek starożytnego miasta, wykopanych pod owym głazem w miejscu dawnego Comitium od 10 stycznia do 30 ma-ja 1899 r. Opis dokładny znajdują czytelnicy „Biblioteki Warszaw-skiej“ w majowym zeszycie wydawnictwa „Notizie degli Scavi“ (Wia-domości o wykopaliskach). Za tą pracą posypały się rozprawy liczne, gdyż cały świat uczony zainteresował się odkryciem i uważa je za

jedno z najciekawszych w ostatnich dwudziestu latach. Ojciec Antoni Cesar de Cara, znany orientalista, pisał ciekawe artykuły w „Civiltà cattolica“ pod tytułem „Della stela del Foro e della sua iscrizione arcaica“¹⁾ i poruszył polemikę ożywioną, gdyż, jak we wszystkim, co pisze, pełno tam poglądów oryginalnych i samodzielnych.

Wśród innych odkryć wspomnę o znalezieniu fundamentów Bazyliki Aemilia, które dowiodły, że plan pierwotny przypomina podobne greckie budowle, na przykład Stoa Attala w Atenach. Natrafiono tu na parę odłamów z architektury zewnętrznej, a wśród nich na części epistylu z napisem zatartym i zniszczonym imienia Paulus (Aemilius).

W progu domu z czasów bizantyjskich lub longobardzkich, a który stał na ruinach Bazyliki rzymskiej, trafiono na duży kawał marmuru, w części pokryty napisami, a pochodzący z tablic Fasta Capitolina.

A oto wiadomość ciekawa dla zwiedzających Rzym i przeszłością Wiecznego miasta zajętych turystów. Gdy zaczęto ruszać i badać bruk kamienny na Via Sacra, uważany dotąd za współczesny lukowi Tytusa, przekonano się, że można sięgnąć głębiej, i że się znów na płaski kamień natrafia. Dalsze roboty wykazały dowodnie, iż bruk, znany nam, jest późniejszym i pochodzi ze średniowiecznej doby, pod nim dopiero leżą konstrukcje z czasów cesarstwa, a niektóre pokłady jeszcze z epoki Rzeczypospolitej.

Tak pod kilofem i łopatą robotników, których prowadzi rozumna myśl archeologa, wracają na światło dzienne szczątki tego, co było bogactwem i potęgą pogańskiego Rzymu. I widzimy wyobraźnię ten ogrom białych murów po obydwu stronach Forum i wschodzące kapiolińskie stopnie, i ogromne zabudowania świątyni na wzgórze Jowiszowem.

A oczy, zwrócone na miasto dzisiejsze, każą nam potem poznawać drugi rzym—religijny—ten, który w roku Jubileuszowym żył, więcej i goręcej, niż zwykle, życiem powszechności wiernych i życiem katolickim.

W Rzymie tym, jak w Bazylice wielkiej, zbierały się tysiące, i w Rzymie tym szły tysiące ku Jednemu, który jest miłującym Ojcem ich i Pasterzem, ku Starcowi na Piotrowym tronie.

A ten patrzy się na rzesze pobożne i na końcu stulecia błogosławi je drżąca dłońią, ale silnem sercem, i krzepi wobec niebezpie-

1) O steli na Forum i napisie archaicznym na niej.

czeństw, jakimi grożą światu dusze, odrzucających więzy religijne a za temi moralne, by głosić prawo egoizmu i rewolucyi społecznej, nie ku ratunkowi bliźnich, ale ku samolubstwu wyznawane.

Przeciw temu niebezpieczeństwu wzywa Namiestnik Chrystusa opieki Bożej nad Kościołem i błogosławi wiek nowy, pomny słów obietnicy Pańskiej „Et portae inferi non praevalent”.

ROMANUS.

PISMIENNICTWO.

Al. Kraushar: „Towarzystwo warszawskie przyjaciół nauk 1800—1832“, Monografia historyczna oparta na źródłach archiwalnych.

Towarzystwo warszawskie przyjaciół nauk powstało pod rządami pruskimi, a Fryderyk hr. Skarbek szlusznie zauważył, że dozwolenie zawiązania się owego Towarzystwa mogło zadziwić nie jednego. Trudno bowiem było pogodzić z dążnością ogólną zagładzenia śladów narodowości powstanie Towarzystwa narodowego, które ocalenie i dalsze kształcenie języka, tudzież zachowanie dziejów narodowych, za główny cel usiłowań swoich obrało. Towarzystwu przyjaciół nauk, zdaniem Kraushara, należało się od dawna obszerniejsze wspomnienie, jako instytucji pamiętnej w dziejach umysłowości polskiej, która wywarła wysoce dodatni wpływ na kulturalny rozwój rodzinnego społeczeństwa.

Ślady owej działalności utrwalone są w zbiorze Roczników Towarzystwa, gdzie się znajduje szereg rozpraw i sprawozdań, składanych członkom naukowego grona przez jego prezydujących: Albertandiego, Staszica i Niemcewicza. Są one obrazem rezultatów zewnętrznych prac Towarzystwa, przeważnie poświęconych literaturze i historii ojczystej, oraz umiejętnościom ścisłym i stosowanym, lecz

nie wyjaśniają najważniejszej strony wewnętrznego życia grona mędzów przodujących w narodzie, którzy, rozpoczynając działalność za rządów pruskich, w najtrudniejszych warunkach politycznego bytu kraju, stopniowo zyskiwali dla instytucji owej coraz silniejszy grunt i zdobyli wreszcie dla niej prawo do bytu mocą wieczystych sankcji monarchicznych. Dotychczas też pozostała nierozjaśniona organizacja wewnętrzna Towarzystwa, obraz życia i dyskusji uczonego grona na posiedzeniach peryodycznych, na których zajmowano się wyłącznie sprawą oświaty ogólnej kraju i wzbogacaniem rozmaitych gałęzi literatury i umiejętności ścisłych pracami nie rzadko epokowymi. Bogate źródło do wyjaśnienia tej właśnie strony działalności Towarzystwa leżało dotąd nietknięte w aktach tegoż Towarzystwa. Autor spożytkował je sumiennie i, dawszy im szerszy podkład historyczny, skreślił na ich podstawie dzieje działalności umysłowej tegoż Towarzystwa oraz wykazał znaczenie tej instytucji dla podtrzymania ducha narodowego.

Zaraz na wstępie do tomu pierwszego swej pracy podał autor ciekawą charakterystykę trzech prezesów Towarzystwa: Albertrandiego, Staszica i Niemcewicza. Zdaniem Kraushara, Albertrandi, jako wzór pracowitości, erudycji i zapału do nauki, był duszą Towarzystwa. Układny i zręczny polityk i dworak, jednak często podejrzliwych powagą swego biskupiego stanowiska i lojalnością, nieco przesadną, swoich dążeń i aspiracji. Przeciwstawieniem jego był Staszic, mąż nieugiętej woli, swobody i bezwzględny w postępowaniu, pełen ambicji i godności w stosunkach z rządem pruskim, stojący czujnie na straży ustawy, karzący nieczynność swoich członków admonicjami, a nawet wyłączeniem ich z grona Towarzystwa. On jeden nie bawi się w układne słówka, nie lubi krasomówców i sam unika frazesów. Jest mężem czynu i pierwszy kładzie podwaliny siedziby stałej Towarzystwa; on stale przypomina Towarzystwu konieczność pozyskania dyplomu królewskiego i porucza delegowanemu komitetowi baczne pilnowanie tej sprawy. Trzeci prezes, Niemcewicz, poeta, mówca, historyk, jest niezmiernym twórcą projektów ogólniejszych. On urzeczywistnia myśl wzniesienia Kopernikowi pomnika, on pragnie nadać instytucji cechy istotnej Akademii literatury, umiejętności ścisłych i sztuk pięknych, on jeszcze jako członek czynny za prezydencji Staszica, najgorliwiej krząta się około myśli napisania zbiorowem siłami historii ojczystej, dawszy do niej hasło w popularnych śpiewach historycznych.

Zanim autor przystąpił do właściwej historii Towarzystwa Przyjaciół Nauk, uważał za stosowne przedstawić nam spuściznę po komisji edukacyjnej i działalność rządów pruskich w zajętych pol-

skich dzielnicach. Komisya edukacyjna, zdaniem autora, organizacją swą wzorową i systematem szkolnym, skierowanym ku rozwojowi nie tylko umysłu, lecz i pierwiastków etycznych oraz humanitarnych w młodem pokoleniu, była pierwszym w świecie ucywilizowanym ministeryum oświaty. Dała ona swym przykładem państwowi europejskim impuls do utworzenia władz specjalnych, poświęconych wyłącznie ważnym sprawom edukacji młodzieży w duchu narodowym. Klewitz w memoryale złożonym pruskiemu rządowi nazywał urządzenia polskie szkolne od 1783—1790 r. przedziwnymi, a Fryderyk Wilhelm II w reskrypcie z d. 13 lutego 1794 r., do kamery poznańskiej przesyłanym, wypowiedział o nich bardzo pochlebne zdanie, a mianowicie, że są tak wzorowemi, iż z pewnością jedynie zmianami zasługują na utrzymanie i nadal. Tego rodzaju pochwalna opinia nie oznaczała bynajmniej gotowości do popierania celu, ku któremu dawniej komisya edukacyjna zdążyła. Nie myślano też wcale pielęgnować w duszach i umysłach podbitego narodu miłości do języka, literatury i dziejów polskich. W krótkce też powstawały dziwne projekty założenia protestanckiego uniwersytetu w Toruniu. W języku polskim poczęto upatrywać głównego wroga nowego porządku rzeczy i hasło „ausrotten“ już wtedy słyszeć się dało.

Za panowania Fryderyka-Wilhelma III, w roku 1801 — 1802, rozpoczęły się wizytacye zwierzchników władz pruskich w dzielnicach niegdyś do państwa polskiego należących. Autor przytoczył nam memoryał Jerzego Samuela Bandtkiego, któremu po śmierci Gedickiego, wypadło, jako tłumaczowi i asystentowi, zdać sprawę z wizytacyi. W powyższym nadzwyczaj ciekawym memoryale, Bandtkie wyraża zdanie, że zaniedbanie języka macierzystego prowadzi raczej do zdziczenia, aniżeli do kultury. Szląsk górny już lat trzysta pod niemieckiem pozostaje panowaniem, a lat sześćdziesiąt pod pruskiem berłem, mimo to znajomość języka niemieckiego jest tam jeszcze małą, jeśli nie żadną, a język rodowity uległ tam zepsuciu. Bandtkie miał sposobność przytem się przekonać, że Polacy nigdy nie zasmakują w niemieckiej literaturze, jeżeli własnej pielęgnować nie będą mogli. Zyskuje się wszystko, jeżeli się zdobywa serce Polaka, którego z powodu właściwości jego charakteru nigdy zgermanizować nie będzie można. Jedynie zachowując jego polskość, można go wyrobić na najlepszego patriotę pruskiego. Niemcy, zdaniem Bandtkiego, zbyt często i zbyt silnie okazują niechęć Polakom, budząc w nich uczucie dumy i nienawiści. Tymczasem prostak polski musi być pozostawiony przy swoim wyłącznie języku, polskim, a Polak ukształcony powinien pielęgnować swój język ojczysty obok niemieckiego. Radzi też Bandtkie rządowi pruskiemu założenie w Warszawie Akade-

mii Umiejętności, przez co wzmogła-by się ambicya Polaków w kierunku odznaczenia się na polu nauki. Ministrowie pruscy nie dali się zresztą przekonać wywodom Bandtkiego. Dla nich pozostał zawsze ustrój języka polskiego wadliwym, a wartość dzieł literatury niewielką i dlatego nie mogli uwierzyć, aby skutkiem zaniechania języka macierzystego mógł naród polski popaść w barbarzyństwo.

Przedstawiwszy dokładnie stan szkolnictwa i tendencje germanizatorskie rządu pruskiego w prowincjach niegdyś do państwa polskiego należących, autor poświęcił następny rozdział umysłowości polskiej na schyłku XVIII stulecia i kiełkowaniu wśród tych sfer umysłowych nowych prądów. Dopiero po uporządkowaniu spuścizny umysłowej XVIII stulecia i skreśleniu charakterystycznym całej galeryi mężów wybitnej publicznej zasługi, autor przystąpił do dziejów Towarzystwa, nadmieniając, że inicjatywę wziął na siebie czynny i przedsiębiorczy Stanisław Sołtyk, i on pierwszy rzucił myśl utworzenia Towarzystwa Przyjaciół Nauk, złożonego z mężów, którzy w epoce Stanisławowskiej dali się poznać społeczeństwu, bądź na polu działalności twórczej, lub też z prac w dziedzinie nauk wyzwolonych, lub wreszcie z zamiłowania do piśmiennictwa ojczyźnego. Wprowadzenie w czyn tak niezwykłego projektu, w warunkach ówczesnych, gdy zaprowadzona edyktem z 12 lipca 1794 r., cenzura nad drukami miejscowemi, uniemożliwiła tego rodzaju agitatorską działalność, nastęrczała z góry już poważne przeszkody, przed którymi wszakże nie cofnął się Sołtyk. Pod jego też przodownictwem odbyło się zebranie dnia 1 listopada 1800 r., na którym uczyniono wybór członków czynnych z pomiędzy ludzi, nietylko pod panowaniem pruskim, lecz i w innych dzielnicach Polskich żyjących, jako widomy znak, że Towarzystwo Przyjaciół Na k nie będzie miejscową warszawską instytucją, lecz pragnie się stać środowiskiem umysłowego życia całego społeczeństwa polskiego.

Pomiędzy pierwszymi członkami czynnymi Towarzystwa znajdowali się: ks. Jan Albertrandi, Tadeusz Czacki, ks. Adam Czartoryski, generał ziem podolskich, Franciszek Karpiński, generał Konarzewski, Bogumił Linde, Poczobutt astronom, Matuszewicz, Mostowski, Jan Śniadecki, Staszic i ks. Jan Woronicz. Wybór w charakterze członków honorowych przeważnie dygnitarzy pruskich nasuwa domniemanie, iż wyborcy kierowali się zasadą oportunistu, pragnąc uspić drażliwość rządu pruskiego. W ustawie pierwotnej na czele postawiono zasadę, iż Towarzystwo warszawskie przyjaciół nauk jako cel główny i istotny obiera „przykładanie się do rozszerzenia nauk i umiejętności w polskim języku“. Na pierwszego prezesa wybrano Albertrandego, który, jak pisał Skarbek, przewyższał wszystkich

erudycją, a jak Dembowski twierdził, był prawdziwym mułem pracowitości.

W roku 1801, pamiętnym wstąpieniem na tron cesarza Aleksandra I, wystąpił Albertrandi na publicznem posiedzeniu z apoteozą języka polskiego w tej właśnie epoce, gdy w Berlinie minister Woellner nie tał się ze swemi przekonaniem o niższości tego języka i konieczności wyrugowania go na korzyść języka niemieckiego. Posiedzenia tygodniowe wydziałów Towarzystwa odbywały się kolejno, bądź w mieszkaniu Sołtyków na ulicy Miodowej, bądź w pałacu Stanisława Potockiego na Krakowskiem Przedmieściu. Na takich posiedzeniach, oprócz przemów programowych prezesa Albertrandego, wygłaszano rozprawy z różnych działów umiejętności: literatury, nauk przyrodniczych i matematycznych. W 1801 roku odbyło Towarzystwo publiczne posiedzenie, aby uczcić pamięć zmarłego Krasickiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego. Posiedzenie majowe w 1802 roku ważnem się stało z tego względu, że na niem po raz pierwszy z obłoków ogólnikowych projektów i najlepszych chęci wysuwać się zaczęło wyrazistsze oblicze tych robót piśmienniczych ogólniejszego znaczenia, jakie członkowie Towarzystwa wykonać postanowili. Najważniejszy ustęp przemówienia Albertrandego poświęconym był potrzebie opracowania historyi ojczyznej, która, skutkiem zgonu Naruszewicza, utraciła jedyne, jak dotąd, swego orędownika i przedstawiciela. Z pomiędzy następców może tylko Czacki zdawał się najgodniejszym do podjęcia tak olbrzymiego zadania. Do niego też Albertrandi zwraca się ze słowem nadziei, iż od tego brzemienia się nie uchyli.

W roku 1802 odwiedził Fryderyk Wilhelm III wraz z małżonką Warszawę. Towarzystwo przyjaciół nauk zamierzyło skorzystać z łaskawego usposobienia monarchy i wyjednać dla siebie protekcję monarszą. W tym celu zredagował Albertrandi odpowiedny memoriał w języku francuskim, w którym przypomniał królowi, iż w jego żyłach płynie krew Piastów. Odpowiedź królewska nie zaraz nadeszła. Dopiero z Poznania, za pośrednictwem ministra Vossa, otrzymało Towarzystwo reskrypt królewski, przychylający się do prośby o protekcję i proszący Boga, aby je miał w swojej świętej i godnej opiece. Jednocześnie z reskryptem króla nadeszło pozwolenie dla Czackiego na udanie się do Królewca z misją naukową i zapewnienie, że w drodze dyplomatycznej wyjednanem zostanie od Szwecyi pożądane archiwum polskie, i że ono będzie przesłane do Warszawy. W kilka tygodni potem, Tadeusz Czacki i Marcin Molski wybrali się w drogę do Królewca, i stamtąd, po zwiedzeniu pamiątek po Koperniku w Toruniu, Frauenburgu i Allenszteinie, przesłali Janowi Śniadeckiemu list, opisujący wrażenia, jakie na nich sprawił

widok grobowca Kopernika i pośmiertnych po nim szczątków. „Znaleźliśmy — pisali wówczas — tylko trochę nadgniłych kości. Złożyła ich część u siebie kapituła, a pięć części nam dając, wydała razem i uroczyste na nie, przez podpisy pierwszych prałatów, świadectwa. Posyłamy do świątyni w Puławach jedną część, a dwie odwoziemy Zgromadzeniu“ i t. d.

Reskrypt z 1802 roku, zapewniający Towarzystwu protekcję królewską, nie stanowił opoki, na której toż grono mogło budować widoki szerszego swego rozwoju. Staszic czuł dobrze chwiejność owej królewskiej protekcji, która, jako czysto osobista, żadnych obowiązków względem Towarzystwa na ewentualnych następców przelać-by nie mogła. i dlatego nie ustawał w staraniach o pozyskanie upragnionego dyplomu. W tymże roku minister Voss zawiadomił, że kamera warszawska ma przesłane sobie rękopisma zmarłego arcybiskupa Krasickiego, z zaleceniem udzielenia ich Towarzystwu do czasowego użycia. Albertrandi zaś zapowiedział rozpoczęcie druku słownika języka polskiego przez kolegę Lindego. „dziela, ogromnością swoją nie jednego pisarza, ale wielu współpracowników, przez długich lat przeciąg, zwątlie siły mogące“. W roku 1803 mógł Albertrandi zapowiedzieć ukończenie słownika, składającego się z ośmiu ogromnych tomów. Dzieło to, mówił on, język ojezysty od pierwszych, iż tak rzekę, atomów, z których się składa, wyprowadzając, cały w powszechności ogarnia, od pałaców, świątyn i gmachów, najpoważniejszych niegdyś prawodawstwa i sądownictwa siedlisk, aż do rynku, roli i lepierek, gdzie w prostocie swej język ten, nie mniej, a częstokroć bardziej jest ojczystym.

Początek roku 1804 przyniósł jaką taką w sprawie dyplomu królewskiego wiadomość, choć w niej mogło dostrzedz Towarzystwo chęć rządu do wykrętów i odmowy, co skłoniło je do tem większej wytrwałości i ostrożności. W tym roku Staszic przedstawił rozprawę Potockiego o rolnictwie, w której autor zbijał zarzuty cudzoziemców o mniemanem niewolnictwie włościan polskich, a król pruski nadał Lindemu bardziej pochlebny list, zalecający różnym instytucjom Prus południowych, aby się w jego słownik zaopatrzyły. W grudniu tegoż roku nadszedł nareszcie długo oczekiwany list króla do Albertrandego w sprawie urzędowej sankcji bytu Towarzystwa. List ten nie mógł zadowolnić nikogo, lecz stanowił przynajmniej wierny ślad, wobec władz miejscowych, że Towarzystwo przyjaciół nauk stanowi uprawnioną, choć niedyplomowaną przez rząd, instytucję, i że ona, jako taka, swobodniej na przyszłość będzie się mogła rozwijać. W zajęciach Towarzystwa nastąpiła przerwa w r. 1805; przerwa ta trwała od maja aż do października, i w czasie tym przybył cesarz Aleksan-

der I do Puław. Po klęsce austerlitzkiej przesłał monarcha dla Sybilli w Puławach płytę szklaną na dowód, iż bez względu na zmienność losów, pozostał w swej przyjaźni niezmiennym, i pragnie umieścić w świątyni wspomnień narodowych dar swój na miejscu takim, na którym-by jaśniał wysoko, promieniem nadziei. W tym roku złożył Staszic swą rozprawę o ziemiorodztwie gór dawnej Sarmacji, w której, zamieściwszy rozumną i piękną przemowę do wielkich właścicieli ziemskich, wyrzekł te pamiętne słowa: „Paść może i naród wielki, zniszczyć nie może, tylko nikczemny“.

Na posiedzeniu w 1806 roku zażądali członkowie Towarzystwa, by rozprawa Staszica o ziemiorodztwie wydrukowana została oddzielnie od Roczników. Postanowiono wydrukować 800 egzemplarzy. W przewidywaniu katastrofy w dniu 29 lipca 1806 roku kamera warszawska przestała robić Towarzystwu szykany w interesach cywilnych, a 1 grudnia tegoż roku zwołano posiedzenie nadzwyczajne Towarzystwa przyjaciół nauk, w celu przybrania deputacyi dla powitania Murata, księcia Bergu i Kliwii. Wybrano w tym zamiarze Albertrandego, Staszica, Bergonzoniego, Stanisława Potockiego i d-ra Lafontaine'a. W końcu, w imieniu Staszica oświadczył Albertrandi, iż domy na kanoniach są już własnością zgromadzenia, i że będzie można odbyć następne posiedzenie w sali gmachu, na to przeznaczonego, o czem publiczność zawiadomić należy.

Na roku 1806 autor zakończył tom pierwszy historyi Towarzystwa przyjaciół nauk. Z sumiennością wzorową Kraushar przedstawił działalność naukową Towarzystwa i trudności, z jakimi walczyć musiało. Przedstawił również martwość i odrętwienie społeczeństwa, z których otrząsnąć, odrodzić, do pracy publicznej przyzwyczać i podnieść serce narodu wzięło sobie Towarzystwo za pierwszy, kardynalny obowiązek. Stopniowy rozwój zrazu skromnej i szczupłej działalności Towarzystwa uwydatnił Kraushar doskonale, przedstawiwszy całe życie naukowe na ogólniejszem tle historycznem. Tendencje narodu pruskiego zarysowane zostały przez autora wyraźnie i dokładnie, z wykazaniem owego nieubłaganego prądu germanizacyjnego, który w samym zaraniu porozbiorowych dziejów występuje. Jednym słowem, praca Kraushara przedstawia się poważnie i interesująco, dorzucając sporo światła do dziejów cywilizacyjnych ówczesnej doby.

A. REMBOWSKI.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Inteligencja Warszawy, a właściwie ta część, która pracuje umysłowo, silnie odczuwa brak należycie zorganizowanej biblioteki publicznej. Sprawę tę poruszano już u nas niejednokrotnie, w nową właściwą atoli fazę weszła ona dopiero od chwili, kiedy projekt jej urządzenia podał i rozwinął p. Zygmunt Wasilewski w wydawnictwie zeszytowanym na rzecz kasy literackiej. Od owej-to pory, oprócz narzekań na brak biblioteki, zaczęto równocześnie myśleć i o jej utworzeniu. Wprawdzie dotychczas cała rzecz przedstawia się jeszcze ugławicowo, niewątpliwie jednak projekt p. Wasilewskiego prędzej czy później, z temi lub innemi zmianami, w zmniejszonym lub rozszerzonym zakresie—zostanie urzeczywistniony.

Według projektu tego—nowa biblioteka powstać powinna z inicjatywy lub oprzeć się o instytucję Kasy literackiej, urządzenie zaś jej powinno usunąć te wszystkie niedogodności, jakie wpływają na

małą stosunkowo frekwencją biblioteki głównej przy uniwersytecie i księgozbiorów prywatnych, jak bibliotek ordynacji Zamoyskich i Krasińskich. Niedogodności te polegają: 1) na wyłącznie przedobiednich godzinach funkcyonowania zakładów powyższych, 2) na utrudnionym dostępie do bibliotek prywatnych, co zresztą tłumaczy się łatwo zrozumiałemi względami, 3) na uposledzeniu pewnych działów naukowych, zarówno w bibliotece uniwersyteckiej, która nabywanie dzieł nowych normuje potrzebami katedr uniwersyteckich, jako też i bibliotek prywatnych, organizowanych niemal wyłącznie w kierunku historyczno-literackim. Nowa przeto biblioteka ma być przede wszystkim łatwo dostępna i tak urządzona, aby w niej można było pracować i w godzinach wieczornych (do 10), potem zaś uposażoną równomiernie w dzieła z rozmaitych dziedzin wiedzy. Oczywiście nie będzie ona mogła tak wszechstronnie odpowiedzieć wszystkim wymaganiom, jak biblioteki publiczne w innych miastach europejskich, przytoczone jednak wyżej warunki zapewnią jej dostateczne już powodzenie w Warszawie, a powodzenie to wprowadzi na drogę dalszego rozwoju instytucję tak doniosłego pożytku ogólnego, jaką jest dla nas bez zastrzeżeń projektowana księżnica.

Rychle jej powołanie do bytu zawisło atoli całkowicie od środków, jakie się uda na ten cel zgromadzić, i jeżeli Kasa literacka czuje się na siłach do podjęcia tego zadania, to już dziś myśleć musi o funduszach i o gromadzeniu ofiar na ten cel. Bez kapitału zakładowego do dzieła przystąpić nie można.

Czy kapitał ten powstanie z ofiar społeczeństwa, czynionych w pieniądzu i w naturze, drogą cedowania bibliotek prywatnych na rzecz publiczną, czy zostaną wyjednane i zdobyte na to jakie fundusze specjalne, czy i w jakim stopniu przyczyni się miasto do całej sprawy--przewidzieć dziś jeszcze nie można, dobrą jednak byłoby rzeczą zawczasu, powoli, groszowe ofiary jednać i tworzyć fundusz zawiązkowy.

Kasa literacka liczy obecnie dwustu kilkudziesięciu członków. Gdyby każdy z nich zdecydował się na wnoszenie miesięcznie oprócz 50 kop., przeznaczonych na fundusz obrotowy i pewnej zadeklarowanej kwoty na fundusz przezorności, jeszcze 50 kop. na rzecz biblioteki, stworzyłoby to wnioski 6-io rublowe roczne od każdego z członków, czyli wyniosłoby tysiąc kilkaset rubli, co przy ciągłości ofiar za lat kilka przy odpowiedniem oprocentowaniu dałoby już kapitał, pozwalający na zakup kilku tysięcy tomów.

Kapitał taki w rozporządzeniu Kasy literackiej oddałby niewątpliwie znaczne usługi przyszłej bibliotece, chroniąc przed rozproszaniem cenniejsze księgozbiory prywatne, które po śmierci ich wła-

ścicieli idą najczęściej pod młotek. Gdyby kapitał taki istniał już dzisiaj, można było-by ocalić bibliotekę po ś. p. Kenigu, bibliotekę dla publicystów wartości wcale niepośledniej, można było-by zakupić obecnie w całości pozostałe książki i rękopisy po ś. p. Stosławie Łagunie.

Oto w „Kuryerze Warszawskim“ z dn. 2 lutego r. b. w szeregu ogłoszeń rozmaitych zauważyliśmy ogłoszenie o tej bibliotece. Spadkobiercy, dla których papiery i „szpargały“ znakomitego uczonego nie mają wartości użytkowej, nawołują do ich nabycia „litościwych“, instynktowo może czując, że są tam rzeczy, które szkoda oddać w ręce antykwaryuszom, że są tam notatki i myśli, których marnować nie należy. Ogłoszenie to niewątpliwie przemówiło do ogółu i ktoś bibliotekę nabył lub nabędzie, o ile jednak lepiej było-by, gdyby księgozbiór ten stał się własnością Kasy literackiej.

Z nowej biblioteki przede wszystkim korzystać będą ludzie pióra, literaci i publicyści, ci ostatni zwłaszcza, którym zajęcia redakcyjne lub jakiegokolwiek inne uniemożliwiają pracę w godzinach rannych. Oni też stanowią najliczniejszy zastęp członków Kasy literackiej, czy więc dla samych siebie nie należy ustanowić tego podatku dobrowolnego i stopniowo, na razie chociażby w lokalu Kasy, gromadzić książki i tworzyć jądro przyszłej biblioteki?

Powieściopisarstwo polskie poniosło dotkliwą stratę. Śmierć zgasiła wśród niego jeden z bujniejszych talentów niewieścich. Po długiej walce z gruźlicą, w kwiecie lat, bo zaledwie w 35 roku życia, zmarła w Gerbersdorfie ś. p. Ludwika Godlewska, pochowana w dn. 2 lutego na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie.

Urodzona w r. 1867 w Niegłosach pod Płockiem, z ojca Rocha, inspektora szkoły rolniczej, i matki Felicji z Tokarskich, ś. p. Godlewska otrzymała staranne wychowanie domowe i wykształcenie, które rozwinęło w niej wrodzony talent pisarski. Nie rwała się jednak do pióra zbyt pochopnie, nie należała bowiem do tych organizacji artystycznych, które, wystrzeliwszy przedwcześnie raz lub drugi rakieta olśniewającą, potem słabym tylko świecą blaskiem. Talent jej miał w sobie duży zasób sił i obrał drogę powolnego rozwoju z dewizą ciągłego postępu. Z młodzieńczych utworów swoich nie

oddawała też autorka „Dobrych par“ żadnego do druku, z żadnym nie stała wobec szerszego koła czytelników i wobec krytyki. Do literatury weszła dopiero z powieścią dojrzałą, znamionującą zupełne opanowanie trudności natury technicznej, głębokość myśli i artyzmu w wykonaniu. Powieścią tą był drukowany przez Piotra Chmielowskiego w „Ateneum“ utwór p. t. „Po zdrowie“, który od razu zwrócił uwagę ogółu na talent powieściopisarski młodej autorki, ukrywającej się pod pseudonimem „Exterus“.

O „Exsterusie“ zaczęto wówczas mówić, a powieść zyskała powodzenie, raz, że z wielką prawdą odtwarzała sceny psychiczne swoich bohaterów, po drugie: pisana była językiem pięknym i stylem modelowanym na stylu Sienkiewicza.

W ślad za powieścią tą poszedł dwutomowy „Kato“, a oprócz tego kilka nowel, drukowanych w latach 1896 i 1897 w „Tygodniku Ilustrowanym“ i w „Głosie“. Exterus zyskiwał coraz większe uznanie. Dopiero jednak w r. 1898, ogłaszając nagrodzone na konkursie powieściowym „Głosu“—„Dobre pary“, uchylił przyłbicy. Nazwisko Godlewskiej stało się wówczas popularne, a młodej pisarce uśmiechnęło się życie, trudne i znojne wprawdzie, ale opromienione największą dla dusz szlachetnych nagrodą — uznaniem współczesnych.

I była-by je sobie niewątpliwie zaskarbiła w stopniu dużym zmarła autorka, gdyby śmierć nie przecięła pasma dni jej przed czasem, i to właśnie w chwili, kiedy talent jej począł świadomie tworzyć i wszedł na drogę dążeń obiektywnych, tak trudnych do osiągnięcia dla piór kobiecych

Szczupła jest dziś spuścizna literacka po Godlewskiej, ale—ilościowo. Jakościowo—wśród jej utworów niema żadnego wprawdzie, który-by nazwać można arcydziełem, ale niema też nic, coby trąciło miernotą dzisiejszą, coby nie odskakiwało wybitnie treścią i formą od tak często spotykanych „przeżuwań“ literackich, od tych utworów drugo i trzeciorzędnych autorów, które się piszą według recepty i są raczej przetwarzaniem, nie tworzeniem. U Godlewskiej tworzenie jest na pierwszym planie i siłą twórczą o mniejszym lub większym napięciu czuć w każdym z jej utworów. Obok tego potężnym czynnikiem w jej talencie była miłość — Godlewska kochała sercem dobrem, czułem i górnem, każdy przedmiot, którego dotknęło jej pióro i na tem podłożu miłości rozwijał się dopiero stosunek etyczny autorki do opisywanych ludzi i zdarzeń, kochała społeczeństwo i miłość ta pozwalała patrzeć w serce zbiorowe i dostrzegać tam wszystkie drgnienia szlachetniejsze i lepsze, kochała

ideę — i tę starała się szczepić dokoła siebie, a wierzyła, że płonka jest dobra.

Można jej zarzucić pewną nawet tendencyjność, uparte patrzenie na niektóre kwestye, jak kwestya kobieca, pod jednym wyłącznie kątem, trochę fanatyzmu i trochę apriorystyczności; ale niepodobna odmówić siły, miłości i wiary w to, że jej dobro, jej piękno i jej prawda — są dobrem powszechnem, pięknem powszechnem i prawdą, nie podlegającą wątpieniu. Ta siła, miłość i wiara mogły właśnie w dalszej twórczości ś. p. Godlewskiej zaprowadzić ją daleko, jak sprawiły, że imię jej postawić można obok wybitniejszych z młodych przedstawicieli powieści polskiej.

Na mogiłę Godlewskiej padły kwiaty i łzy — pierwsze od tych, którzy ją cenili, drugie — z oczu wszystkich, którzy ją bliżej znali. Trumna jej zamknęła tragedję życia, które walczyło z upartą i straszną chorobą, ale które mimo to było pożyteczne i potrzebne. Pozostawia ono jasne i świetlane po sobie wspomnienie.

Ogromnie pożyteczną instytucją okazały się w praktyce „oddziały ruchome“, złożone z lekarzy - okulistów i felczerów, wysyłane rok rocznie w czasie lata na prowincję, celem niesienia pomocy ludności wiejskiej i małomiejskiej, która niejednokrotnie, jedynie przez zaniedbanie choroby, traci wzrok zupełnie, lub podlega długotrwałym cierpieniom oczu.

Znana jest w tym względzie apatya i niedołączność ludu naszego, który zdrowie i higienę na ostatnim postawił planie i do lekarza udaje się dopiero wówczas, kiedy albo kalectwo przyszło ciężkie i nieuleczalne, albo kres ostateczny się zbliża. Najskuteczniej przeciwdziałać temu może oświata, chłop bowiem i mieszczanin oświecony, jak tego liczne dowiodły przykłady, chętniej szuka już porady i z większą wiarą oddaje się w ręce doktora. Zanim jednak ten czynnik najważniejszy, oświata, zrobi swoje, lata czekać trzeba. Tymczasem jednym z najlepszych środków tego zapobiegania złemu i wykozerowania go jest właśnie wysyłanie takich oddziałów ruchomych, które powoli przyzwyczajają ludność do korzystania z opieki lekarskiej. Kto raz doznał ulgi w cierpieniu, ten niewątpliwie sam potem

pójdzie i drugich pociągnie za sobą w kierunku racjonalnego ratowania zdrowia.

Że się już tak dzieje, świadczy najwymowniej sprawozdanie z działalności za rok ubiegły, ogłoszone świeżo przez oddziały ruchome przy instytucie oftalmicznym. Działalność ta była w roku 1900 o wiele rozleglejsza, niż poprzednio. W roku tym funkcjonowało przedewszystkiem sześć oddziałów, a nie trzy, jak to bywało dawniej. Stanowić to już pozwala o wzroście klienteli.

Oddziały te przebywały w następujących miejscowościach:

- 1) w Opatowie pod kierunkiem d-ra Jarnuszkiewicza;
- 2) w Pułtusk pod kierunkiem d-ra Cetnarowicza;
- 3) w Krasnymstawie pod kierunkiem d-ra Feinsteina;
- 4) w Rawie pod kierunkiem d-ra Rejro;
- 5) w Szczuczynie pod kierunkiem d-ra Józefa Marczewskiego z Częstochowy;
- 6) w Białej pod kierunkiem d-ra Feinsteina (powtórnie).

W skład każdego oddziału wchodził lekarz specjalista, jego pomocnik i fcler. Podnieść należy, że w Pułtusk i w Szczuczynie roli pomocników podjęli się lekarze miejscowi, którzy w ten sposób przebyli praktyczną repetycyę z oftalmologii i wielu rzeczy nauczyć się mogli. Gdyby tak samo działał się gdzieindziej, stopniowo wytworzyłby się zastęp okulistów prowincjonalnych, w wielu wypadkach mogących samodzielnie zaradzić, i nasze miasteczka mogły-by w ten sposób pozyskać stałą pomoc oftalmiczną, dla oddziałów zaś ruchomych została-by wieś, bądź co bądź, więcej zacofana i — biedniejsza.

Jak „oddziały ruchome“ czynności swoje rozwinęły i ilu udzieliły porad, bawiąc w przecięciu po dni 30 w każdej z wymienionych miejscowości — o tem mówią najdosadniej zestawienia cyfrowe, w sprawozdaniu zawarte. I tak:

W Opatowie zgłosiło się 1,350 chorych (co czyni 45 dziennie). Z tych udzielono porady po raz drugi 1,120 osobom, dokonano zaś operacyi ocznych na 96 pacjentach.

W Pułtusk chorych było ogółem 752, że jednak niektórym rady udzielane były kilkakrotnie, więc ogólna liczba konsultacyi wyniosła 2,833, w tem operacyi dokonano 140.

W Krasnymstawie było chorych 1,365, udzielono porad 2,400, dokonano operacyi 80.

W Rawie 756 chorym udzielone porad 1,545, operacyi dokonano 117.

W Szczuczynie 925 chorym udzielono 2,519 porad, operacyi dokonano 188.

W Białej udzielono 1,281 chorym 2,066 porad, operacyi dokonano 76.

Sumując powyższe dane, otrzymujemy następujący rezultat:

W sześciu powyżej wymienionych miejscowościach w ciągu 179 dni zgłosiło się 6,429 chorych, którym udzielono 12,483 porad, i na których dokonano 697 operacyi.

Przemawia to za stopniowym a ciągłym rozszerzaniem działalności oddziałów, co oczywiście, w miarę zwiększenia się funduszków na ten cel, uwzględnione będzie.

Dzisiaj strona materyalna młodej instytucyi pozostawia wiele jeszcze do życzenia, a skromny stosunkowo budżet, którego przekroczyć nie można, nie pozwala na zwiększenie liczby „stacyi oftalmicznych“ w kraju.

Budżet ten w roku 1900 opiewał w rubryce dochodów wpływy następujące: od naczelników gubernii, tytułem zasiłków, 2,900 rubli; z 5 kop. opłaty za poradę — 374 rub.; ofiary kilku członków komitetu 2,100 rub. i kilka pozycyi drobnych. Ogółem dochody wynosiły 5,406 rubli 7 kop.

W przeciwstawieniu do tego wydatku utrzymanie lekarzy, felczerów, narzędzia chirurgiczne i t. p., wyniosły 5,307 rub. 27 kop.

Biorąc pod uwagę te cyfry, filantropia nasza powinna pamiętać, że każdy tysiąc rubli w tę stronę skierowany, powróci wzrok, lub ulży cierpienia tysiącu blisko chorym, i że w miarę rozszerzenia działalności „oddziałów ruchomych“ zmniejszy się ta przerażająco wielka ilość ślepców-żebaków, którzy są ciężarem społecznym, a z których połowa, jeżeli nie więcej, może się stać siłą produkcyjną narodu.

W prasie warszawskiej odezwały się głosy przeciw paszkwiliowi. Zdawało-by się, że przy dzisiejszej kulturze umysłów i przy dziedzicznym dżentelmeństwie Polaków, niema roli, na której mógł-by ten chwast wyrosnąć, na której mógł-by się plenić i, oczywiście, wyjaławiać ją przez to. Tymczasem—atak był słuszny,

paszkwil bowiem zagościł w piśmiennictwie naszym i pod koniec stulecia odezwał się kilku bardzo zgrzytliwemi głosami.

Difficile est satyram non scribere. Istotnie, są ludzie, są zjawiska, są czyny, są w życiu jednostkowym i w życiu zbiorowym strony złe, są w życiu rodzinnem i w życiu społecznem pierwiastki rozkładowe, są w charakterach ludzi współczesnych, a raczej w braku charakterów, bardzo złe horoskopy na przyszłość, jest, słowem, wiele przywar, wiele wykroczeń, które smagać biczem satyry było-by zasługą niemalą.

Niestety, satyryków dzisiaj nie mamy. Piśmiennictwo polskie nie zdobyło się w wieku XIX ani na Krzysztofa Opalińskiego, ani na Naruszewicza, ani na biskupa Warmińskiego — a jedyny, nam współczesny, Rodoć, żadnego z nich nie zastąpi. Satyryka w większym stylu obecnie z pośród siebie nie wydany, a tylko takiemu wolno było-by głos zabierać, i grzmieć, i pioruny nawet ciskać. Inni niechaj się się tulą pod skrzydłami humoru i z nim razem na manowce schodzą.

Zamiast satyry mamy natomiast paszkwil, dla którego w żadnej uczciwej prasie, a tembardziej w żadnej uczciwej literaturze nie powinno się znaleźć furty, przez którą mógł-by się on przecisnąć, zająć trybunę i przemawiać do ogółu. Trybuną taką jest dziś słowo drukowane, którego nadużywać, czyli używać w celach złych i niskich — nie wolno.

W Rzymie, na mocy XII tablic, paszkwilantów karano chłostą, pozbawieniem czci, nawet mienia — teraźniejsze kodeksy karne również określają karygodność paszkwilu, a przecież tak niewinnie tolerowany on jest u nas, tak chętnie rozechwytywany przez tych nawet, co *coram publico* w gorących słowach potępić gotowi, a w zaciszu domowem chętnie mu ucha nadstawiają.

Sławetny ów szewc rzymski, *Pasquino* (około roku 1500), od którego ostrych szyderstw i języka złośliwego poszła nazwa paszkwilów, ani się mógł spodziewać, że jego metoda krzywdzenia ludzi będzie trwalszą od wielu zasad etyki, a mocniejszą od największej zasady Chrystusowej — miłości bliźniego.

Nie krytyka, nie sąd obiektywny, nie zarzuty poważne stały się u nas dzisiaj bronią przeciw innym, ale paszkwil, oszczerstwo, anonim.

Kiedyś, w roku zeszłym, lub zaprzyszłym jeszcze, w jednym z felietonów swoich w „Kuryerze Warszawskim“, Maryan Gawalewicz pisał o anonimach i przytoczył tam kilka faktów autentycznych, którym nie chciano dać wiary, a które okazały się jednak prawdziwemi. Anonim kwitł wówczas i kwitnie po dziś dzień w pewnych sferach, jest on tam jednak nie tyle wyrazem zwyrodnienia moralne-

go, ile wyrazem głupoty, braku inteligencji i wykształcenia. Paszkwil natomiast, pismo oszczercze, zjadliwe, nieraz usiłujące zabić, lub podkopać instytucję, albo człowieka — wkroczył tam, gdzie głupota nie jest wprawdzie wyłączona, ale gdzie nie może być mowy o braku inteligencji i powierzchownej kultury przynajmniej; gdzie uprawiający go roszczą sobie pretensje do wykształcenia i uzurpują prawo przemawiania do innych. Tu mamy już do czynienia z tak zwanym zwyrodnieniem etycznym, albo ze zboczeniem umysłowym, które należy do rzędu objawów tak zwanych *m o r a l i n s a n i t y*, jeżeli nie ze świadomym dopuszczeniem się zbrodni, z rozmyślnem wyłamywaniem swego „ja“ z pod praw moralnych i z najnieszlachetniejszą zemstą osobistą.

Tego gatunku paszkwil nie zadowolili się już świstkiem ulotnie rzuconym, nie poprzestanie na złośliwej plotce, kolportowanej w kółku bliżej znajomych, ale korzysta z usług prasy, która ma zupełnie inne zadania i zupełnie inne cele, i pod pokrywką tych zadań i tych celów, przenika w szerokie warstwy, dyskredytując, obrzucając śliną i błotem, pastwiąc się nad swoją ofiarą. I dalej jeszcze, tam, gdzie prasa jest dla niego niedostępna, ucieka się do powagi książki, na którą zawsze inaczej się patrzy, niż na pismo peryodyczne, którą się czyta z większą uwagą i która dociera dalej, bo jest trwalsza. Pod postacią powieści, sensacyjnej zwykle, nie robiąc sobie kłopotu nawet ze zmianą nazwisk, pisze się, lub wynajmuje się ludzi do pisania kalumnii na innych, i te kalumnie roznosi się po kraju, daje się je do ręki ludziom, którzy nieraz po pracy ciężkiej szukają w powieści rozrywki miłej, wrażeń podniosłych i pięknych, rozwiązania zagadnień, które ich niepokoją i dla których powieść jest jedyną ich literaturą *n a u k o w ą*. O tem nie pamięta ani autor, ani wydawca takiej książki. Pierwszemu idzie o dopięcie jakiegoś celu niskiego, drugiemu o zysk, bo książka sensacyjna, książka skandaliczna, zawierająca fotografie z natury, „pójdzie“ zawsze i zawsze ją czytać będą.

Paszkwil taki jest zbrodnią nie wobec literatury, która, jeśli jest, jak nasza, zielonem i urodzajnem drzewem, zrzuca z siebie wszelkie owoce, przez robaki toczone, ale zbrodnią wobec społeczeństwa, które od tworzących je jednostek ma prawo wymagać pracy usilnej, wytrwałej i pożytecznej, które od siewców musi żądać dobrego siania, od ogółu prawdy, pracy i sprawiedliwości, jeśli się ma oprzeć rozkładowi i kwitnąć.

Tych, którzy szkodzą, należy tępić, którzy hańbę przynoszą piętnować. Przeciw paszkwilowi powinno wystąpić dzisiaj całe społeczeństwo nasze, odpierając napaści paszkwilistów rozumnie wyrobioną opinią, która dla ludzi, lub instytucji, dotkniętych paszkwilem,

jedynym może być trybunałem, wobec przewrotności oszczerców, zabezpieczających się z góry od paragrafów kodeksowych. Pod działaniem opinii chwast musi być wyrwany z korzeniem, aby się nie rozrastał coraz bujniej i nie głużył roślin zdrowych i pożytecznych.

Publicyści warszawscy od czasu do czasu przypominają ziemiaństwu sprawę organizacyi pośrednictwa w pracy, które, wobec powtarzającego się stale w pewnych okolicach kraju braku robotnika rolnego, stało się kwestyą, wymagającą załatwienia i unormowania, tak dla poszukujących pracy, jak dla pracodawców.

Wychodźstwo zarobkowe włościan, czy to do ognisk przemysłowych w kraju, czy za granicę do robot w polu, stało się terenem nieuczciwych operacyi dla licznych agentów-werbowników. Zawód, jaki spotyka częstokroć włościan po przybyciu na miejsce, niejednokrotnie bywa bardzo opłakany. Robotnik oddaje zazwyczaj ostatni swój grosz w zamian za obietnicę zarobku, który najczęściej się okazuje bardzo lichym. W dodatku, po przybyciu na miejsce, nieraz odchodzi z kwitkiem. Tak dzieje się naprzykład w Warszawie z licznie przybywającą do robót budowlanych ludnością z okolic Biłgoraja. Agenci, zachęcający ludność tę do wędrowki, bynajmniej nie kłopotczą się tem, czy wszystkim będą mogli pracy dostarczyć. Idzie im tylko o pobranie swojej prowizyi, a kiedy już umówioną zapłatę otrzymają, nie troszczą się bynajmniej o los swych ofiar. Rzuceni na bruk miejski, włościanie, dowiadują się dopiero tutaj, że przybyli niepotrzebnie i że stanowią nadmiar rąk roboczych w danej gałęzi pracy. Ten który nie ma już za co do domu wrócić, godzi się chętnie na mniejszą zapłatę, co powoduje wogóle niżkę wysokości zarobku i wytwarza szkodliwe ekonomiczne współzawodnictwo. Podobnie dzieje się w innych gałęziach pracy, zwłaszcza z ludnością emigrującą do Niemiec, gdzie zamiast srebrnych talarów, obiecywanych przez agentów, wielu znajduje nędzę i spotyka się z wyzyskiem. Z drugiej strony — odbija się to niepomysłnie i na właścicielach większych posiadłości ziemskich, którzy w czasach zbiorów nie mogą zgromadzić odpowiedniej ilości robotnika, nawet za cenę względnie wysoką.

To wszystko jest zawiązkiem „kwestyi”, która zawiera w sobie wiele złowróźbnych na przyszłość znamion i domaga się zarówno gę-

bokiego rozważenia teoretycznego, jak i szeregu reform praktycznych.

Na razie nieodzownem jest zorganizowanie w kraju uczciwych i dobrze prowadzonych agencji, które-by dostarczały pracodawcom robotników zdolnych i pilnych, a tym ostatnim pracy bez wyzysku. Agencję taką, o ile nam wiadomo, pierwszą dopiero w Królestwie Polskiem, uchwaliło utworzyć i poprowadzić Łomżyńskie Towarzystwo rolnicze. Czy inne Towarzystwa rolnicze w kraju poszły lub pójdą za jego przykładem—nie wiemy. To pewna tylko, że przy tych właśnie instytucjach agencje takie były-by najwięcej pożądane, jako dające zupełną rękojmię uczciwego i użytecznego dla stron obu pośrednictwa. Agencje w tym wypadku miały-by charakter społeczny, a stąd bez obawy o współzawodnictwo prywatne mogły-by całkowicie wytepić dzisiejszy sposób werbowania ludności wiejskiej do pracy i nie dopuścić do operacji na tem polu sfer i żywiołów niewłaściwych. Były-by one tem, czem są gdzieindziej biura miejskie i rządowe.

Że sprawy tej nie można już obecnie lekceważyć, o tem wiedzą najlepiej nasi ziemianie. Powołujemy się zresztą w tym względzie na świeżo wydaną, treściwą, ale rzucającą jasne światło na towarzyszące wychodźctwu zło i dobre objawy naszego życia ekonomicznego, książkę p. Bolesława Koskowskiego, jednego z lepszych i głębszych publicystów, a dobrego znawcę stosunków agrarnych (B. Koskowski. „Wychodźctwo zarobkowe włościan w Królestwie Polskiem“. Warszawa 1901. Nakładem księgarni St. Sadowskiego).

„Musimy przyjść do przekonania—mówi p. Koskowski—że sprawa wychodźctwa zarobkowego włościan przeszła teraz ze stanu zapalnego w stan chroniczny. Wszystko wskazuje, że wychodźctwo rolne, nie zmieniając ze swej obecnej postaci, może się nadto rozszerzyć, ogarnąć szerszą połąć kraju, nawet przeobrazić się w stałą emigrację zamorską. Niepodobna patrzeć bez trwogi na tę perspektywę, na tę możliwość klęski dla całego kraju, jak dzisiaj ona jest dla części naszego ziemiaństwa. Niepodobna też dawać się unosić ślepego biegowi wypadków, kiedy można nastawić żagiel, ująć za wiosła, kierować łódź tam, gdzie wzywa ją potrzeba ogólna.“

W dalszym toku pracy swojej kładzie też autor nacisk na potrzebę omówionej powyżej organizacji pośrednictwa w pracy. Jeżeli — mówi on — w niektórych okolicach, gdzie istnieje przeludnienie rąk najemnych, niema jeszcze wychodźctwa w takiej lub innej postaci, to tylko dzięki pewnej bezwładności tamtejszego chłopca i nieznamości stosunków zarobkowych gdzieindziej. Otóż translokacja

stamtąd robotnika do gubernii, cierpiących na brak najemnika, może być zorganizowana bez trudów najmniejszych i z pożytkiem zobopólnym. Praktyka zresztą potwierdza ten wniosek dedukcyjny.

Sposób praktycznego przeprowadzenia tego pośrednictwa pozostawia p. Koskowski obmyśleniu samych kół ziemiańskich, które mają możliwość w Towarzystwach rolniczych zbiorowo sprawę tę rozpatrzyć, przypomina jednak o pracach i faktach w tym kierunku za granicą dokonanych.

I tak: w ostatnich kilku latach założono w Austrii, jak w Wiedniu, Pradze, Gracu i Lwowie, kilka „powszechnych biur pośrednictwa w pracy.“

Biura te rozwijają się wszędzie pomyślnie. Za najlepiej, bo najtaniej, najprościej urządzone uchodzi biuro w Gracu, oddane na użytek powszechny d. 5 lipca 1897, a utrzymywane przez „Styryjski krajowy związek dobroczynności“. Manipulacya odbywa się tam bardzo szybko przy użyciu pulsu o 30 przegródkach, dla tyluż rodzajów pracy, w sposób nader prosty i łatwy, tak iż jeden urzędnik, mimo dość znacznego napływu interesów, może jej podolać. W ciągu 1899 biuro przyjęło zgłoszeń: od poszukujących pracy (mężczyzn i kobiet) 5,000, od pracodawców, z zaofiarowaniem wolnych miejsc pracy, 3,300, rozdało zaś miejsce 3,000.

Austryackie ministerjum handlu bardzo gorliwie zajmuje się sprawą pośrednictwa pracy i zebrało w tym przedmiocie ciekawe i ważne materiały.

Niedawno bawił we Lwowie delegat tego ministerjum, dr. Juliusz Twardowski, i zasięgnął na miejscu informacji, zarówno co do rozwoju lwowskiego biura pracy, jak co do zakładania biur pracy przez inne gminy w kraju. Magistraty w Rzeszowie i Krakowie, tudzież rada powiatowa w Tarnobrzegu, czyniły już wówczas przygotowania do założenia biur takich. Lwowskie biuro pracy, otwarte 1 września 1899 r., spełnia zadania swoje z bardzo dobrym skutkiem.

Bardziej specjalnie pośrednictwem w dostarczaniu robotników zajmują się izby rolnicze w państwie niemieckiem. Praktyka więc istnieje pod tym względem duża i naszym ziemianom nietrudno byłoby skorzystać z niej przy organizacyi pośrednictwa dla swoich i robotniczych potrzeb.

Na tych wzorach powinny oprzeć się Towarzystwa rolnicze i dążyć do rychłego uporządkowania sprawy, tem rychlejszego, że, jak się okazuje, dążą do tego równocześnie agenci prywatni. Oto według doniesień prasy codziennej niejaki Jakób Fabrykant z Księżpola

wniósł świeżo do władz prośbę o pozwolenie założenia w Księżpolu biura pośrednictwa w pracy na całą gubernię Lubelską. Zanim kraj pokryje się siecią takich biur prywatnych, szkodliwych dla włościan, a wątpliwej użyteczności dla ziemian, Towarzystwa rolnicze wystąpić powinny z projektem organizacyi trwałej, o szerokim zakresie, po obywatelsku pojętej i po obywatelsku prowadzonej.

P. S. W ostatniej chwili doszła nas jeszcze pocieszająca wiadomość o rozpoczęciu starań o koncesyę na kaucyonowane biuro pod firmą „Pośrednik“, które ma zajmować się dostarczaniem robotników wiejskich i oficjalistów rolnych. Starania te rozpoczęli obywatele ziemscy pp.: Bolesław Morawski z Zagorzyna pod Kaliszem i Ksawery Morawski z Dębna w gub. Radomskiej.

Krytyka i bibliografia stoją u nas na bardzo jeszcze niskim stopniu. Ani jednej, ani drugiej właściwie nie mamy. Pierwszą zastępują wzmianki dziennikarskie, które mają charakter czysto informacyjny, i ze względu na szczupłe ramy, wyznaczane literaturze przez pisma bieżące, nie obejmują całego ruchu wydawniczego u nas, drugą—reprezentują księgarze, którzy, dla celów czysto handlowych i z uwzględnieniem swojej przedewszystkiem firmy, wydają co czas pewien katalogi, lub bezpośrednio klientów swoich ustnie o „nowościach literackich“ powiadają. I w jednym, i w drugim kierunku przeważa jednak belletrystyka, która cieszy się większymi względami redaktorów pism i recenzentów, oraz księgarzy, jako towar, do zbycia łatwiejszy. Książka naukowa tymczasem pozbawiona jest prawie zupełnie reklamy księgarskiej, a w bardzo stosunkowo rzadkich wypadkach spotyka się z oceną w pismach. Stąd powstaje zastój w zbyciu wielu użytecznych i cennych nawet dzieł, zastój, rzucający bardzo niekorzystne światło na inteligencyę, która książek i wydawnictw nie popiera, stąd latami leżą wydawnictwa Kasy Mianow-

kiego i wydawnictwa Krakowskiej Akademii, o których w Warszawie nikt nie wie, i których księgarze wcale nie mają na składzie, stąd wreszcie mieszkaniac prowincyi, który, korzystając z pobytu w mieście, pragnie zaopatrzyć się w książki, nie ma żadnego przewodnika w ich wyborze i nabywaniu, a oddany jest całkowicie na gust, upodobanie i przedewszystkiem na i n t e r e s księgarza.

Ktoś przyjeżdża ze wsi i udaje się do księgarni wielkiej i renomowanej po zakup książek. Przegląda nowości i wybiera. Dobry i sprytny księgarz przegląd ten urządza oczywiście w ten sposób, aby jego własne wydawnictwa rzucały się przedewszystkiem w oczy, zakłada niemi witrynę, zakłada niemi ladę, wysuwa je na miejsca widoczne, i klient bierze to, co mu „w oko wpadnie“. Wydawnictwa tymczasem inne, choćby najcenniejsze, wciśnięte są w każdej księgarni nakładowej w ką, i wydobywane stamtąd tylko na wyraźne żądanie kupującego. Rzecz to łatwa do zrozumienia. Księgarz na wydaniem przez siebie dziele zarabia 100%, na wydawnictwie zaś komiso-
wem 35%—25%. Idzie tu więc o większy zysk, o utrzymanie monopolu wydawniczego i t. d. Wiadomem na przykład jest, że książka wydana przez samego autora, nigdy nie pójdzie tak, jak poszła-by w wydaniu ruchliwego nakładcy, że nawet książka, będąca wydawnictwem księgarni z ul. Marszałkowskiej, nie pójdzie tak, jak poszła-by, gdyby ją opatrzył firmą swoją wydawca z Krakowskiego Przedmieścia.

Są to ciemne strony naszego handlu księgarskiego. Społeczeństwo tymczasem potrzebuje koniecznie informacji dobrych, nieobliczonych na spekulację, ale mających na celu jego dobro przez dbałość o rozwój literatury, posiadającej wartość trwalszą, a więc albo literatury prawdziwie pięknej, albo literatury naukowej, oraz przez dbałość o rozwój czytelnictwa kształcącego i możliwie najpożyteczniejszego.

Odczuwano też już oddawna brak u nas pisma, poświęconego wyłącznie literaturze i czytelnictwu, pisma, prowadzonego wytrawną ręką, uczciwego i bezstronnego, w którym odzwierciedlił-by się polski ruch wydawniczy z uwzględnieniem bibliografii poważniejszych czasopism.

Pismem takim, o ile wnosić można z zapowiedzi, tudzież z pierwszego już wydanego numeru, będzie „Książka“, miesięcznik, wychodzący od 1 stycznia roku bieżącego, pod redakcją p. Maryana Massoniusa, a przy współpracownictwie wybitniejszych naszych sił literackich i naukowych.

„Książka“ w ręku każdego czytelnika będzie doskonałym informatorem, a o ile zdoła się, jako wydawnictwo peryodyczne, w społe-

czeństwie naszym utrwalić, zakres swój rozszerzyć i objąć całokształt literatury bieżącej, stanie się niezmiernie pożyteczną i cenną.

Szkoda tylko, że starym naszym zwyczajem, skoro na ulicy X. powstał sklep, taki sam powstaje naprzeciwko.

Ledwie ukazała się zapowiedź „Książki“, urodziły się dwa nowe wydawnictwa o podobnym programie, przez współzawodniczące księgarnie podjęte. Trzy takie pisma nie utrzymają się żadną miarą, i dwa z nich muszą upaść, a oby nie stało się tak, że znów zostaniemy bez informacji.

Wiadomości bibliograficzne.

— Dnia 24 stycznia roku 1901 pod przewodnictwem prof. d-ra Maryana Sokołowskiego odbyło się posiedzenie Komisji historii sztuki Krakowskiej Akademii Umiejętności.

Prof. dr Jerzy hr. Mycielski podał treść drugiej części swej rozprawy pod tytułem: „Lucas Vorsterman i dwaj polscy panowie (1640 — 1646).”

Prócz blizkiego stosunku ze znakomitym rytownikiem w roku 1640, zawarł ks. Bogusław Radziwiłł w początkach zaraz swego pobytu w Hollandyi niezawodnie znajomość także i ze słynnym portrecistą domu Oranii, Michałem van Mierevelt (1567—1641) z Delft, czego dowodzi portret jego stryja, staro hetmana w. lit., Krzysztofa Radziwiłła, wykonany przez malarza według oryginału, za pośrednictwem bratanka z Polski przysłanego, a rytowany w roku 1639 przez Wilhelma z Delft. Rycina portretowa samego ks. Bogusława przez Vorstermana, której facsimile nadesłał referentowi posiadacz tego, jak się zdaje, unikat, ks. Ferdynand Radziwiłł z Berlina, stwierdza

w zupełności jego wywody. Utwór ten, po raz pierwszy teraz dla nauki wykryty, pochodzi napewno z drugiej połowy roku 1640, młody książę bowiem ma na nim lat 20, przedstawiony jest w pełnej zbroi na pamiątkę wyprawy wojennej, w której w lecie brał udział, a w podpisie nazwany chorążym litewskim, który-to tytuł właśnie pod koniec roku 1638 był od Władysława IV otrzymał. Rysunek do tej ryciny wykonał też niezawodnie sam Vorsterman, i podpis swój na niej położył. — Na drugą połowę roku 1645 przypada stosunek artystyczny antwepskiego rytownika, którego gwiazda już wtedy błędząc poczęła, a twórczość słabnąć, z innym z kolei Polakiem, głośnym satyrykiem i malkontentem wobec króla, Krzysztofem Opalińskim, wojewodą poznańskim. P. Hymans w dziele swem o Vorstermanie omówił także rycinę portretową Opalińskiego, ale żadnych objaśnień co do jej powstania, ani daty takowego nie podał. Referent kwestyę tę wyjaśnił w zupełności. Rycina powstała z okazji poselstwa Opalińskiego do Paryża, gdzie 5 listopada 1645 roku poślubił w imieniu Władysława IV królowę Maryę Ludwikę Gonzagę. Jadąc do Francyi, zatrzymał się w Antwerpii i tam do rysowanego portretu pozował. Wioząc królowę do Polski, bawił tam potem od 17 do 20 grudnia, i wtedy już niezawodnie rycinę gotową od Vorstermana odebrał; w samym końcu grudnia 1645 roku była ona już wystawiona u jednego z księgarzy w Amsterdamie, jak o tem wspomina *Le Laboureur* w swej „Relacyi podróży królowej Maryi Gonzagi do Polski“. Okoliczności, towarzyszące powstaniu ryciny, tłumaczy jej obramienie: nad piękną postacią Opalińskiego widne są w górze dwie, złączone do ślubu, ręce, dwa rogi obfitości z dziecięcemi główkami, Kaduceusz, jako symbol szczęścia, oraz dwa aniołki, trzymające pochodnie „hymenu“ i spuszczone w dół dwa ślubne wieńce — wszystko allegorye ślubu królewskiego, którym w dole odpowiada gloryfikacya ambasadora, herb jego „Ło-dzia“, broń, księgi, instrumenta muzyczne, lutnia poety i sowa (mądrość). Sama rycina jest nieco słabszem Vorstermana dziełem, ale referent odnalazł oryginalny do niej rysunek, bardzo piękny a obecnie w jego posiadaniu będący, który wedle jego porównawczych studyów wykonał niezawodnie w Antwerpii uczeń Rubensa, malarz i rytownik, Abraham van Dispenbecke (1596—1675). W ten sposób data i okoliczności powstania obu polskich rycin Vorstermana są zupełnie wyjaśnione, a przez to rzucono całkiem nowe światło na stosunek jego i kilku innych malarzy flandryjskich i hollenderskich do dwóch pierwszorzędnego znaczenia w Polsce wieku XVII osobistości.

P. Bersohn podał dokładniejszą wiadomość o skarben katedry plockiej i płaskorzeźbie srebrnej trybowanej, która się w nim znajduje i jest bardzo piękną renesansową robotą z końca XVI, lub początku XVII wieku, a do katedry plockiej ofiarowała ją podobno królowa Konstancya, żona Zygmunta III. P. Wawrzyniecki nadesłał opisy zabytków miasta Rawy i okolic gubernii Piotrkowskiej. Dr St. Kutrzeba przedstawił dwa ciekawe dokumenty z XVI wieku: Jeden, to list Krzysztofa Szydłowieckiego do biskupa warmińskiego

w sprawie nabycia obrazów flamandzkich, drugim zaś jest list króla Zygmunta I do St. Szafranca w sprawie checińskiego lazuru. P. Antoni Szutinas nadał fotografie z zabytków wileńskich, głównie ze skarbcza katedralnego, z kościoła świętego Piotra, oraz zabytków, wykonanych w gubernii wileńskiej, znajdujących się w jego zbiorach. P. G. Worobjew przedstawił fotografie i opis kościoła parafialnego w Różanie, w powiecie Makowskim, w gubernii Komżyńskiej, którego części pochodzą z epoki gotyckiej. P. Józef Smoleński podał dokładniejszy opis bardzo interesującego obrazu freskowego w kaplicy zamkowej w Lublinie, odkrytego w roku 1899. Jest to raczej kompozycja erekcyjna w bizantyńskim stylu, wymagająca gruntownego naukowego zbadania. W końcu profesor Piekosiński omawiał kafle, znalezione w Oświęcimiu, i ich zagadkowe herby z XVI wieku. O znalezieniu tych kafli p. Odrzywolski dodał objaśnienie bliższe i zwrócił uwagę, że należało-by sprawdzić, czy reszta ich, nieznana profesorowi Piekosińskiemu, nie jest również ciekawą pod względem heraldycznym.

— Rozpraw Wydziału historyczno-filozoficznego Krakowskiej Akademii Umiejętności wyszedł tom XIV (serya II, ogólnego zbioru tom trzydziesty dziewiąty), i zawiera prace: A. Prochaski: „Uwagi krytyczne o kłesce Warneńskiej“; „O dacie ugody Małopolskiej duchowieństwa ze szlachtą za biskupstwa Zbigniewa Oleśnickiego“; F. Piekosińskiego: „Statut litewski“, część I; „Wiece, sejmiki, sejmy i przywileje ziemskie w Polsce wieków średnich“; „Al Bekri o Polakach“; K. Potkańskiego: „Sprawa restytucji (rok 1374 i 1381)“; „Daty zjazdów Koszyckich (1373, 1374 i 1379 r.)“ i S. H. Badeńskiego: „Stanisław Ciołek, biskup poznański. Szkic historyczny z XV wieku“.

— Aleksander Rembowski wydał tom I pism swoich, w którym mieszczą się następujące studia: I. Izby wyższe i arystokracja nowożytna. II. Nasze poglądy polityczne w 1818 roku. III. O samorządzie miejskim w Królestwie Polskim. IV. Powieść i satyra w naukach politycznych. V. Przyczynki do historii literatury politycznej i ekonomicznej w Polsce. VI. Biografie naukowe. — Studya te nigdy w osobnej odbitce drukowane nie były; wydając je zaś w książce, autor powodował się,—jak to objaśnia w przedmowie, — prawem, jakie ma każdy autor do przedstawienia owoców swej dwudziestopięcioletniej pracy społeczeństwu, któremu piórem służył, i obowiązkiem, ciężącym na każdym badaczu naukowym, dopomagania innym pracownikom na tem samym polu do zapoznania się z dorobkiem umysłowym swego życia.

— Ukazał się IV zeszyt „Kwartalnika historycznego“ 1900 roku, w którym znajdujemy między innymi artykuły: Al. Winiarza: „Działalność naukowa Stosława Łaguuy“; A. Szlągowskiego: „Przesilenie pieniężne w Polsce za Zygmunta III“; Miscelanea, recenzje i sprawozdania i t. d.

— Wł. M. Kozłowski wydał szkic historyczny pod tytułem: „Rozalia Lubomirska, jako ofiara terroryzmu w 1894 roku“.

— Wyszedł z druku XI zeszyt „Księgi herbowej rodów polskich“ Juliusza hr. Ostrowskiego.

— Pan Adam Boniecki wydał również III zeszyt tomu III-go, swego „Herbarza polskiego“, zawierający herby Chrapowickich, Chrapowiczów, Chrenickich, Chreptowiczów i innych, których nazwiska zaczynają się od *Ch*.

— Miesięcznika „Wisła“ ukazał się zeszyt 6 tomu XIV (listopad, grudzień 1900 roku), i zawiera oprócz dokończeń poprzednich prac J. Fr. Magiera. Seweryna Udzieli i B. W., artykuły Ciechanowskiego Stanisława: „Pieśni szląskie z okolic Cieszyna“; H. L.: „Obrzędy weselne na Niżu Dnieprowym“; Zielińskiego G. J.: „Zwyczaj myśliwski“; K. Z. A.: „Nowa pieśń ludowa“; Bitnera Zdzisława: „Notaty z przeszłości“; Wawrzynieckiego M.: „Dzwonnice“.

— Notujemy tymczasowo ukazanie się drugiego zeszytu „Poradnika językowego“, zastrzegając sobie ocenienie wydawnictwa po wyjściu dalszych numerów.

— Biblioteki dzieł chrześcijańskich, wydawanej pod redakcją księdza Zygmunta Chełmickiego, wyszedł zeszyt lutowy, zawierający pierwszą seryę studyów i szkiców ks. Władysława Michała Dębickiego.

— Ukazał się również zeszyt 7 „Biblioteki neo-scholastycznej“ d-ra Merciera. Mieści się w nim dalszy ciąg Logiki.

— Do dziejów literatury polskiej przybyły dwa przyczynki: d-ra Stanisława Dobrzyckiego: „Polska poezya średniowieczna“, rozprawa, wydana w Krakowie, i ks. Karola Niedziałkowskiego studjum literackie pod tytułem: „Czemu dziś w poezyi nie mamy słowików?“, wydrukowane w Wilnie u Zawadzkiego.

— W dziedzinie poezyi mamy do zanotowania Jerzego Orwicza obrazek sielski: „Wśród rodzinnych gniazd“ i Wł. Bukowińskiego (Selima) zbiór poezyi pod nazwą: „Nowy zeszyt“.

— Kazimierz Kaszewski przysłużył się literaturze poetyckiej przekładem „Utworów Teokryta“. Tłómaczenie Idyl i Epigramatów poprzedzone jest

wstępem i objaśnione przypisami. O cennej tej pracy zasłużonego pisarza podamy obszerniejsze sprawozdanie.

— Jako wydawnictwo „Przeglądu Filozoficznego“, ukazał się przekład książki Tolstoja pod tytułem: „Co to jest sztuka“. Tłómaczenia dokonał z upoważnienia autora Adolf Jakób Cohn.

— Interesujący przekład z rosyjskiego wydaje „Biblioteka“ dzieł wyborowych“. W tomach 169 i 170 tej publikacji znajdujemy przetłómaczony przez Zenona Pietkiewicza obraz W. Doroszewicza pod tytułem: „Sachalin“.

— Nakładem Bronisława Natansona wyszły „Nowele“ Janiny Beaudouin de Courtenay.

— Wrażenia z podróży „Wschodnimi wybrzeżami Afryki“ opisuje Stefan Poraj Suchecki. Książką, ładnie wydaną, zdobią liczne ilustracye.

— Dwie prace z zakresu higieny wydali: dr Jan Stella Sawicki i dr Stanisław Kozłowski. Pierwszy mówi o „czerstwej starości“ i naucza, „jak zachować zdrowie do późnego wieku“; drugi odpowiada na pytanie: „Co wiemy o żywieniu się ludu naszego“.

— Materiały do odczytów ludowych pomnożyła broszurka, podpisana literami S. K., pod tytułem: „W naturze nie ginie“.

Sprostowanie.

W zeszytcie styczniowym, w artykule „Poeta myśli“ wkradły się następujące omyłki: str. 52, wiersz 33 zamiast: „*drzemania* własnych uczuć“, powinno być: „*d r a m a t u* własnych uczuć“; str. 57, wiersz 14, zamiast: „*wpół* zrozumiało“, powinno być: „*w p r z ó d* zrozumiało“; str. 62, wiersz 20, zamiast: „*i burzę* z listopadowego powstania“, powinno być: „*z burzy, z listopadowego powstania*“; str. 63, wiersz 33, zamiast: „*głosić ją począł*“, powinno być: „*głosić ją p o c z ę ł o*“; str. 64, wiersz 23, zamiast: „*Tak* Faust“, powinno być: „*J a k* Faust“.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca

Michał książę Radziwiłł.